

WEDŁUG GRIMMA I ANDERSENA.



# BAŚNIE



Dla Dzieci i Młodzieży.

ZEBRANE PRZEZ

WŁADYSŁAWA DYNIEWICZA.



CHICAGO, ILL.

Druk. i Nakł. W. Dyniewicz Pub. Co.

1912.





45/60/45

WEDŁUG GRIMMA I ANDERSENA

---



---

# BAŚNIE

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

ZEBRANE PRZEZ WŁ. DYNIEWICZA.



Biblioteka Jagiellońska



1002639231

CHICAGO, ILL.

Drukiem i nakładem W. Dyniewicz Publishing Company  
1911.

7-11102  
B 775 212



Bibl. Jagiellońska  
2019 D 3/280

## Pod starą wierzbą.

---

Duńskie miasteczko Kjoge leży nad brzegiem morza na równinie piaszczystej, jednostajnej; las duży widać wprawdzie w oddaleniu, ale droga do niego ciężka i daleka, a za miasteczkiem ciągną się pola i łąki, ot jak zwyczajnie na wsi.

Każdy wie jednak, że wszędzie można znaleźć coś ładnego, gdzie nam dobrze i miło, i nieraz potem w najpiękniejszych krajach tęsknimy do zakądka, gdzieśmy się chowali szczęśliwie jako dzieci i wydaje nam się piękniejszym od wspaniałych krajobrazów i ludnych stolic.

To samo można powiedzieć w Kjoge. Mieszkańcom podobało się czyste miasteczko, z szeregiem małych ogródków nad rzeczką, tu właśnie wpadającą do zatoki. Kochali je, bo tu im upłynęło życie, przyjemnie i szczęśliwie, jak dziecięce lata dzieciom sąsiadów, o których właśnie chcemy opowiedzieć.

Ogródki ich leżały tuż nad rzeczką; w jednym był bez wysoki, w drugim stara wierzbą,

trochę wypróchniała, lecz tutaj właśnie dzieci najlepiej bawić się lubiły, chociaż rosła nad wodą i łatwo któremu mógł się zdarzyć wypadek.

Ale nad dziećmi Bóg czuwa, bez tego kto by je upilnował?

Zresztą były ostrożne, a szczególnie mały Kanut, który tak lękał się wody, że nawet podczas lata nie można go było namówić, aby wszedł w morze. Inne dzieci lubiły pluskać się przy brzegu, wyśmiewały się też z niego, ale Kanut znosił cierpliwie ich żarty i nie przewycięzał trwogi.

Raz Joasi, córce sąsiada, śniło się, że sama płynęła czółenką, ale się bała i wzywała pomocy, a wtedy Kanut chciał się do niej dostać i wszedł odważnie w morze. Łódka była dosyć daleko od brzegu, więc woda dochodziła mu wkrótce do pasa, potem była po szyję, aż nakoniec cały zniknął w niej z głową.

Sen Joasi w Kanucie dziwną obudził ambicję: nie pozwalał odtąd dzieciom wyśmiewać się ze swego strachu i dowodził, że tak samo zrobiłby jak, we śnie, gdyby Joasia na niego wołała. Nie próbowano sprawdzić tego zapewnienia, ale Kanut był dumny, jak gdyby naprawdę spełnił czyn bohaterski.

Rodzice dwojga tych dzieci żyli z sobą w sąsiedzkiej zgodzie i przyjaźni, schodzili się

też często w jednym lub drugim ogródku i rozmawiając, patrzyli na pociechy, bawiące się wesoło na ulicy, lub nad rzeką, pod starą wierzbą. Tutaj najlepiej bawić się lubiły.

Środek miasteczka zajmował rynek dość obszerny, na którym podczas jarmarków ustawiono budy i kramy z trzewikami, wstążkami i wszelkim towarem. Tłok bywał wtedy straszny, a wedle zwyczaju zarazem deszcz i błoto, zapach koni, chłopskich kozuchów i smoły, lecz obok tego i zapach miodowy pierników, które rozkładano na wielkim straganie.

A najprzyjemniejsze było to, że człowiek, który sprzedawał owe prześliczne pierniki, corocznie podczas jarmarku wynajmował sobie izdepkę u rodziców Kanuta. Rozumie się, że przy okazji chłopczyk zarabiał na tem niejeden przysmaczek, a zawsze dzielił się tym podarunkiem z przyjaciółką swoją Joasią.

Najbardziej jednak cieszyły się dzieci z przyjazdu "piernikarza" dlatego, że umiał opowiadać niezmiernie ciekawe historye o każdej rzeczy, nawet o piernikach. Raz wieczorem opowiedział obojgu prześliczną, której przez czas długi zapomnieć nie mogły.

Bo też nie była to zwykła historia, sami posłuchajcie tylko:

Na straganie leżały dwa śliczne pierniki: żółty chłopiec w kapeluszu i różowa pasterka

bez kapelusza. Twarze miały zwrócone na bok i mogły się na siebie patrzeć, chociaż trochę zezem; ale oprócz tego chłopiec miał z lewego boku gorzki migdał, zamiast serca, dziewczynka za to była z najczystszej miodu. Rozumie się, że wyglądali tak wspaniale tylko z tej strony, na którą się patrzy, bo drugiej i tak nie widać.

Chłopiec i pasterka leżeli obok siebie na straganie bardzo długo: nie sprzedawano ich, gdyż przeznaczone były na wystawę, jako najpiękniejsze. A ponieważ leżały obok, patrzyły wciąż na siebie i były bardzo piękne, więc się podobały sobie i pokochały się nawzajem. Tylko żaden z pierników nie niemówił o tem drugiemu.

— On powinien odezwać się pierwszy, bo jest chłopcem — mówiła do siebie dziewczyna, ale nie wymagałaby nawet wyrazów, gdyby tylko wiedziała, że jest kochaną nawzajem.

Chłopiec myślał inaczej: różowa sąsiadka bardzo mu się podobała i marzył, że jest bogatym paniczem, ma pełną kieszeń złota, więc ją kupuje dla siebie i zjada.

Kilka tygodni leżały pierniki na stole i bardzo wyschły; ale kochały się zawsze, tylko nie nie mówiły, co było całym szczęściem.

— Dobrze, że chociaż leżę obok niego i mogę na niego patrzeć — myślała pasterka.



Wtem — knak! — bardzo pocichu — i złamała się w pasie, gdzie była najcieńsza.

— Gdyby wiedziała, jak bardzo ją kocham, nie byłaby się może złamała tak prędko — pomyślał chłopiec.

— Taka była historia, a oto są oba pierniki — rzekł dobry kupiec i dał Joasi chłopca, który był jeszcze cały, a złamaną pasterkę Kanutowi.

Ale dzieci były tak bardzo wzruszone, że nie miały serca jeść zakochanej pary.

Nazajutrz zabrały oba prześliczne pierniki i całą gromadą powędrowały aż na cmentarz. Tu ustawiły chłopca i dziewczynę pod murem, który osłaniał kobierzec wiecznie zielonego bluszczu, i zaczęły opowiadanie. Dziewczyna, zaczepiona rękami o liście, wyglądała, jakby nie była złamaną. Słońce padało na oba pierniki i cała powieść zdawała się jeszcze piękniejszą, niż wczoraj wieczorem w domu.

Wszystkie dzieci słuchały zachwycone i milczące a wtem spostrzegły, że najstarszy chłopiec — zapewne przez złośliwość — zjadł oba kawałki pasterki. Płakały po niej z żalu, ale potem — z litości naturalnie, ażeby biedaka nie zostawić samego na tym świecie — zjadły i chłopca.

Historyi jednak o wiernej miłości bez słów tej pięknej pary piernikowej nie zapomniały nigdy.

Kanut i Joasia byli zawsze razem, nie umieli nawet bawić się oddzielnie, pod bzem lub starą wierzbą opowiadali sobie codziennie przygody, śpiewali i biegali. Joasia miała głosik, niby srebrny dzwonek, Kanut śpiewać nie umiał, ale zawsze dobrze pamiętał słowa. I to coś znaczy przecie, a głos Joasi podziwiała sama właścicielka sklepu galanteryjnego i bardzo lubiła słuchać jej śpiewu z daleka.

Były to dni szczęśliwe. Ale nie mogły trwać wiecznie, bo wszystko się zmienia na świecie. Trzeba się było rozstać. Matka Joasi umarła, a ojciec zamierzał ożenić się powtórnie w stolicy, gdzie mu obiecywano korzystne zajęcie. Dzieci przy pożegnaniu płakały serdecznie, a rodzice przyrzekli sobie pisywać przynajmniej raz na rok.

Kanuta oddano także na naukę do szewca w Kjoge; zaduży był chłopiec, aby mógł zbijać baki całymi dniami po ulicy.

Przy pracy często myślał o Joasi. Jakżeby ją chętnie odwiedził w stolicy, która o pięć mil tylko była oddaloną! W dni pogodne mógł nawet widzieć kościelne wieże, a złoty krzyż wyraźnie połyskiwał w słońcu.

Czy też Joasia o nim myślała nawzajem?

Na Boże Narodzenie rodzice Kanuta odebrali list ze stolicy. Dawny sąsiad zupełnie zadowolony był z miejsca, a Joasi powodziło się

wybornie: jej piękny głos zwrócił uwagę i dostała miejsce w teatrze, a doświadczeni ludzie obiecują jej tam świetną przyszłość; i teraz już nawet trochę zarabia. Ze swoich oszczędności przysłała sąsiadom srebrnego talara, aby wypili jej zdrowie. Dopisała tę prośbę sama i dołączyła jeszcze “pozdrowienie dla Kanuta”.

Wszyscy płakali z radości i pili za zdrowie Joasi i jej ojca. Odtąd Kanut myślał o niej jeszcze więcej, i pracował z takim zapałem, że igła nieraz kłuła mu palce głęboko. Ale to nie znaczy, głupstwo! Joasia o nim pamięta serdecznie, a on ją kocha i pragnie ją pojąć za żonę, skoro się tylko wyuczy rzemiosła i zostanie czeladnikiem. Wtedy powędruje prosto do stolicy i opowie jej o swych zamiarach, żeby nie powtórzyła się historia nieszczęśliwej pary pierników.

Nadszedł na koniec czas oczekiwany: Kanut był czeladnikiem i szedł po raz pierwszy w życiu do stolicy, do znajomego majstra. Co to będzie za radość zobaczyć Joasię! Już nie są dziećmi: ona ma lat 17, on o dwa lata starszy.

Chciał jeszcze w Kjoge kupić dla niej złoty pierścionek, ale się zastanowił, że w Kopenhadze muszą być ładniejsze.

Pożegnał więc rodziców, zarzucił na plecy niewielki tłumoczek i ruszył w drogę późnym wieczorem jesiennym, mimo drobnego i

chłodnego deszczu. Porzucił swoje rodzinne miasteczko może na długo, lecz nie myślał o tem; liście spadały z drzew z cichym szelestem, błoto było na gościńcu, niebo szare.

Przybył do nowego majstra mokry i zabłocony, ale z tem sobie poradził bez trudu, a nazajutrz dał się poznać przy robocie.

W niedzielę dopiero jednak mógł odwiedzić rodziców Joasi. Ubrał się też starannie, w nowy garnitur i kapelusz, chociaż dotąd chodził w czapce. Ale przecież był już teraz czeladnikiem. Znalazł dom, ulicę i po wielu schodach wszedł tak wysoko, że w głowie mu się zakręciło. Jak ci ludzie w stolicy mieszkają tak jedni na drugich!

W pokoju, do którego wszedł po zapukaniu, było czysto i dostatnio, ojciec Joasi przyjął go bardzo serdecznie, a żona jego, choć obca osoba, poczęstowała gościa szklanką kawy.

— To się Joasia ucieszy! — rzekł ojciec. — Tęgi chłopak wyrósł z ciebie i przystojny. No, i ty zobaczysz, co się z niej zrobiło. Niejedną już pociechę miałem z tej dziewczyny, a da Bóg, więcej się jeszcze doczekam. Teraz, choć mieszka przy nas, ma swój osobny pokój i sama za niego płaci.

Zapukał do córki, jakby człowiek obcy, i wszedł razem z Kanutem. Tu dopiero było prześlicznie. Takiego pokoiku niktby nie zna-

lazł w Kjoge i królowa piękniejszego mieć nie mogła. Na podłodze leżał dywan, okno zasłaniały długie, białe firanki, kwiaty, na ścianach obrazy i lustro wielkie, jak drzwi. Przy stole fotel aksamitny — niby w pałacu.

Kanut objął to wszystko jednym rzutem oka, gdyż naprawdę nie widział prócz Joasi. Była zupełnie inna, niż ją sobie wyobrażał, lecz daleko piękniejsza. Żadna dziewczyna w Kjoge z nią się porównać nie mogła. W pierwszej chwili wydała mu się strasznie obcą, ale to trwało tylko mgnienie oka i zniknęło zupełnie, kiedy z okrzykiem radości rzuciła się ku niemu. O mało co go nie pocałowała, — powstrzymała się jednak: nie są przecie dziećmi. Och, ale ucieszyła się niezmiernie! Oboje łązy mieli w oczach, kiedy stali naprzeciw siebie, trzymając się za ręce.

A potem tyle pytań! tyle do opowiadania! O rodzicach, o starej wierzbie. O niczem nie zapomniwała. Nawet o piernikowych lalkach rozmawiali, ich stałej miłości i okrutnym losie.

Joasia się śmiała, ale Kanutowi serce biło bardzo mocno. W każdym razie nie była dumną: na jej życzenie rodzice zatrzymali Kanuta na wieczór. Joasia sama nalewała mu herbatę, rozmawiała wesoło. Potem czytała głośno taką piękną książkę, jak gdyby ją wyjęła z jego

serca. Nakoniec zaśpiewała. Słuchając, Kanut nie mógł się od łez powstrzymać, ale Joasia uścisnęła go za rękę i powiedziała.

— Jesteś dobrym chłopcem, masz serce. Takim zostań.

A ojciec przy pożegnaniu rzekł do niego:

— No, teraz nie powinieneś o nas zapominać. Spodziewam się, że zobaczymy się niedługo.

— Aż za tydzień! — pomyślał Kanut, ale codziennie wieczorem, gdy skończył robotę, szedł na przechadzkę, naturadnie na ulicę, gdzie mieszkała Joasia. Miło mu było patrzeć na jej oświetlone okno, a raz nawet wyraźnie widział jej główkę przez szybę.

— W niedzielę jej powiem, że musi zostać moją żoną — myślał sobie. — Nie chcę, żebyśmy zmarnowali życie, jak piernikowe lalki. Jestem wprawdzie dopiero czeladnikiem, ale nie lękam się pracy i niedługo zostanę majstrem, a wtedy się pobierzemy.

Ale w niedzielę Joasia była zaproszona z rodzicami na wizytę i musiała mu o tem powiedzieć. Jaka szkoda! Miał widać bardzo smutną minę i Joasi żal się zrobiło biedaka.

— Zobaczymy się wkrótce — rzekła. — Pewno nigdy w życiu nie byłeś w teatrze? Czekaj, śpiewam we środę, więc pszyślę ci bi-

let. Ojciec wie, gdzie mieszka majster, u którego pracujesz.

Dobra Joasia. We środę rzeczywiście przysłała mu bilet, jak list, w kopercie, i Kanut po raz pierwszy był tego wieczora w teatrze.

Co tam widział, nie umiał nawet opowiedzieć, ale Joasia śpiewała prześlicznie, choć była żoną jakiegoś obcego człowieka. Na żarty, naturalnie. Kanut dobrze to rozumiał, to też razem z innymi krzyczał i klaskał w dłonie, okazując jej przez to, jak mu się podoba.

Podobała się wszystkim. Sam król uśmiechał się do niej w swej łoży i Kanut uczył się strasznie nieśmiałym, tak oddalonym i maleńkim!

Odzyskał jednak prędko śmiałość i odwagę: przecież ją kochał najbardziej na świecie i gotów dla niej pracować do śmierci, żeby jej było dobrze. I ona kocha go też niezawodnie, tylko muszą rozmówić się zupełnie szczerze, żeby znów tak nie było, jak z owymi piernikami. On jest mężczyzną i powinien odezwać się pierwszy.

Z takim postanowieniem wybrał się w niedzielę. Szedł jak do kościoła. Joasię zastał samą i to go bardzo ucieszyło.

— Dobrze, żeś przyszedł — rzekła — chciałam nawet posłać po ciebie, ale się spo-



dziewałam, że dziś przybędziesz. Muszę powiedzieć ci o ważnej rzeczy: wyjeżdżam w piątek do Paryża. Muszę się uczyć, żeby coś ze mnie było.

Biedny Kanut oniemiał z żalu i zdziwienia, lecz Joasia serdecznie wzięła go za rękę i zaczęła pocieszać. Mówiła, że się uczyć musi, aby być wielką śpiewaczką i zarabiać dużo pieniędzy i żeby wszyscy zawsze ją chwalili.

Wtedy Kanut przemówił także, powiedział, jak ją kocha i jak bardzo pragnie, żeby została jego żoną. Nie potrzebuje wcale zarabiać pieniędzy, bo on dla niej pracować będzie całe życie, a pochwały obcych ludzi — cóż to warte?

Joasia zasmuciła się tem bardzo, a kiedy skończył, rzekła:

— Nie myśl o tem, Kanucie. Bylibyśmy oboje nieszczęśliwi. Ja cię bardzo, bardzo kocham, jak rodzona siostra, ale nie chcę być twoją żoną, bo wcale nie pójdę za mąż: chcę być tylko sławną śpiewaczką, żeby mię na całym świecie wszyscy podziwiali.

Wtem weszła do pokoju macocha Joasi i spojrzała ze zdziwieniem na bladą twarz Kanuta.

— Kanut tak się zmartwił, że wyjeżdżam — rzekła Joasia, jakby o niczem innem nie mówili. — No, bądź rozsądnym, mój pocziwy



chłopcze, jak zawsze byłeś w Kjoge, czy pamiętasz? Pod naszą starą wierzbą!

Nie pozwoliła mu odejść do domu, sama nalewała herbatę i podawała ją gościowi; potem śpiewała dla niego.

— Żegnam cię, dobry kochany braciszku — rzekła na pożegnanie — najlepszy towarzyszu moich lat dziecięcych!

I łzy popłynęły jej po twarzy.

W piątek odpłynęła do Francyi, a Kanut został w Kopenhadze.

Koledzy się dziwili, że taki posępny, wyśmiewali się z niego, namawiali do zabawy, do rozrywki.

Więc poszedł z nimi razu jednego do sali, gdzie się zbierano na tańce. Wszyscy się weselili, ale on był smutny, męczyła go zabawa i drażniła, widział Joasie ciągle koło siebie i nakoniec uciekł do domu.

I w domu było smutno. Cały świat wyglądał okropnie i ponuro; Kanutowi się zdawało, że jest na pustyni.

Była zima. Ziemia i wody zamarzły, świat stał się białą i cichą mogiłą.

Lecz gdy wróciła wiosna, ogarnęła chłopca wielka tęsknota i silne pragnienie iść w świat daleki. Spakował swój tłumoczek i wyruszył w drogę. Tylko nie do Francyi!

Udał się na zachód i szedł od miasta do miasta, coraz dalej i dalej, bez wytchnienia; aż zaszedł do starożytnej, pięknej Norymbergii. Tu zapragnął odpocząć.

Zachwyciło go miasto malownicze, jak wycięte z obrazka, niepodobne do żadnego, które widział dotąd. Prostej ulicy nie było tu wcale, domy ani myślały stać w równych szeregach, ganki, wieżyczki, gzymsy, posągi, filary wyskakiwały z nich na wszystkie strony, a wysoko rozpościerały się rynny i zlewy, niby bajeczne smoki, aż do środka ulic.

Na rynku jakaś dziewczyna czerpała wodę ze studni, otoczonej kamiennymi figurami i podała zmęczonemu chłopcu czysty napój; pęk róż miała w ręku, więc dała mu jedną. To wydało się Kanutowi dobrą wróżbą.

W kościele odezwały się nagle organy takim znajomym dźwiękiem, jakby pochodziły z Kjoge. Kanut wszedł do świątyni. Cicho tutaj było i uroczyście; promienie słoneczne przez różnobarwne szyby wpadały smugami i krzyżowały się pośród wysmukłych, w górę strzelających kolum. I wielka, uroczysta cisza przeniknęła aż do serca Kanuta. Został w Norymberdze.

Majster jego mieszkał w małym, malowniczym domku, za starymi murami, które stoją dotąd, nad kanałem, oblewającym piękne

miasto; bzy rozrastały się nad niskim domkiem i zaglądały do małego okna, w którym pracował Kanut.

Tutaj przebył lato i zimę, lecz na wiosnę powędrował znowu dalej. Bez był winien wszystkiemu: pachniał tak zupełnie, jak w ogrodach w Kjoge i zanadto przypominał mu ojczyznę. Przeniósł się więc w głąb miasta, gdzie bżów nie było wcale i u innego majstra znalazł pracę.

Warsztat jego teraz znajdował się blisko starego, kamiennego mostu, koło wodnego młyna, wiecznie szumiącego bystro spadającą falą. Wszystkie domy skupiły się tutaj w gromadkę i wysunęły naprzód swoje ganki i figury, jakby je chciały rzucić w nurty rzeki. Tu nie było ogrodów ani zieloności, nawet kwiatka w doniczce w żadnem oknie, ale naprzeciw szewckiego warsztatu rosła nad wodą wielka, stara wierzba, tuląc się do ścian domu, jak gdyby się bała, aby nie porwały jej szumiące fale. Giętkie gałęzie drzewa zwieszały się na dół i przyglądały chłodnej, czystej wodzie, zupełnie tak samo, jak w Kjoge.

Prześladowały go widocznie drzewa; wieczorem zwłaszcza, przy świetle księżyca, stara wierzba wyraźnie zwracała ku niemu swoje zielone i wiotkie gałęzie. Coś nieokreślonego płynęło z niej wtedy prosto do serca.

Kanut jej niecierpiał. Nie mógł patrzeć na nią dłużej i pożegnał majstra. Powędrował w świat dalej.

O Joasi nigdy nie mówił nikomu, ale nie mógł zapomnieć o niej. I stara historia piernikowej pary dziwnie często snuła się przed nim. Zdawało mu się teraz, że ją rozumie lepiej. Chłopiec miał gorzki migdał zamiast serca, a czyż jego serce nie było też gorzkim? Złe mu było na świecie, nie mógł znaleźć kąta, gdzieby odpoczął spokojnie, gdzieby go nie ścigały wspomnienia i drzewa. Duszno mu było; rozluźniał rzemienie swego tłumoczka, lecz to nic nie pomagało.

Dopiero widok gór sprawił mu ulgę. Leżały przed nim, niby skrzydła ziemi, złożone do spoczynku. Czy je rozpostarła kiedy? Czy próbowała na nich wzlecieć aż do nieba, ale opadła, jak bańka mydlana?

I patrzył na szeroki, rozległy krajobraz gór, lasów, chmur i jezior, szczytów i przepaści!

Szedł wciąż dalej; doliny wydawały mu się jednym szeregiem owocowych sadów; gdy przechodził, dziewczęta, zajęte robotą, przyjaźnie pozdrawiały go skinieniem głowy; śnieżne szczyty płonęły o zachodzie słońca; a gdy wśród ciemnych lasów ujrzął błękitne jezioro, wydało mu się, że czar jakiś przeniósł go nad brzeg morza w Kjoge.

I ogarnęła go znowu tęsknota, ale bez bólu.

Gdzie Ren szumiące fale rzuca w przepaść, która zamienia je w mgłę przezroczystą, w śnieżne obłoki, i w świat je wysyła, jakby tu było ich gniazdo rodzinne, — gdzie tęcza siedmiobarwne wstęgi rozwiesza nad przepaściami: tam Kanut widział młyn na rzece w Kjo-ge, gdzie woda także burzy się i szumi.

Zostałyby może chętnie w tej pięknej dolinie, ale za wiele wierzb i bzów tu rosło, — więc poszedł dalej. Wdzierał się wytrwale na szczyty śnieżne, na urwiste skały, przebywał drogi, jak gniazda jaskółek nad przepaściami czarnymi wiszące. W głębi szumiały potoki srebrzyste, chinury się przesuwwały pod jego stopami, deptał po ostach górskich i różach i śniegu, aż z północnego skłonu przedarł się na stoki gór południowe i wstąpił w krainę wiecznie zielonych drzew, winnic i słońca. Powitały go wonią kwitnące kasztany, pola kukurydzowe i żyzne doliny. Gdy zostały za nim, niby mur wysoki, który oddzielał go od wspomnień dawnych.

Zatrzymał się przed wielkiem wspaniałym miastem, które zowią Medyolan. Robotę znalazł łatwo u dobrych staruszków, którzy przywiązali się prędko do cichego i pobożnego chłopca. Niewiele on mówił, lecz pracował

dzielnie, gdyż jakiś wielki ciężar spadł mu tutaj z serca.

Wszystko to było nowe, a takie odmiennie, że w nim budziło podziw i zdumienie. Murowane kościoły, wieżycy, posągi zdawały się ze śniegu czystego wykute; nad nim błękitne niebo, a dalej zielona, nieskończona równina, od północy tylko zasłonięta szeregiem niebotycznych szczytów.

I przychodził mu na myśl kościół z czerwonej cegły, obwieszony festonami zielonego bluszczu — tam, na północy, w Kjoge. Nie tęsknił do niego, woli być pochowany tutaj, w górach.

Rok upłynął w ten sposób. Od trzech lat opuścił już kraj rodzinny, lecz nie myślał o tem; nie powróci tam nigdy.

Razu jednego majster, poczciwy starszek, który serdecznie polubił Kanuta, zabrał go z sobą na wielką operę. I w teatrze jest sala, którą poznać warto!

Prawda, że warto! Jasno, jak w dzień biały, piętra się wznoszą jedne nad drugimi, aż pod sklepienie, a dokoła w łóżach damy strojne, z kwiatami, panowie, muzyka — wszystko jak w Kopenhadze, tylko daleko piękniejsze; lecz tam — była Joasia.

I tu jest Joasia! Czy to czary?... Podniosła się wielka zasłona i stoi przed nim w jed-

wabiach i złocie, w złotej koronie, a śpiewa! — tak chyba w niebie Boże anioły śpiewają! To ona, ona! uśmiecha się, patrzy prosto na niego.

— Joasia! — krzyknął Kanut, chwytając za rękę starego majstra.

Szewc spojrział na afisz.

— Tak, Joanna — rzekł cicho, pokazując palcem jej imię i nazwisko.

Ludzie krzyczeli i klaskali w dłonie, rzucaли wieńce i kwiaty na scenę, wywoływali ją, skoro odeszła — musiała wracać znowu.

Na ulicy tłum cały otoczył jej powóz, ciągnął go zamiast koni. Kanut ciągnął także i krzyczał wraz z innymi; krzyczał głośniejsz od nich; a kiedy zatrzymano się wreszcie przed domem wspianiałym, oświetlonym, on otworzył dźwiczki, przez które wyskoczyła, lekka, jasna, uśmiechnięta... Joasia. Dziękowała spojrzeniem i skinieniem głowy, była wzruszona. Kanut stał tak blisko, patrzył jej prosto w oczy; i ona spojrziała na niego, uśmiechnęła się wdzięcznie — lecz go nie poznała!

Jakiś pan z gwiazdą błyszczącą na piersi podał jej rękę i zniknęli razem na marmurowych schodach, wśród blasku i kwiatów.

Kanut wrócił do domu, spakował tłumoczek i zabrał się do drogi. Powrócił do ojczy-



zny, do bżów, do starej wierzby. Przeżył już całe życie.

Pocziwi staruszkowie chcieli go zatrzymać, prosili, aby został, zwracali uwagę na blizką zimę; śnieg upadł już w górach.

Lecz Kanut się nie lękał: drogę znajdzie zawsze, a kij w ręku przyjaciel.

I poszedł.

Szedł znowu długo przez góry i skały, po ciężkich drogach; sił ubywa prędko, ale przed sobą nie widzi miasteczka, ani osady ludzkiej. I nikogo. Tylko gwiazdy nań patrzą z wysokiego nieba. A spoczynku już pragnie: nogi mu odmawiają posłuszeństwa, w głowie się kręci. Nagle w dolinie pod nim błysną gwiazdy. Czy to w jeziorze niebo się przegląda? Coraz ich więcej i coraz jaśniejsze; zmieniają miejsca, To małe miasteczko!

Ta pewność sił dodaje Kanutowi. Już niedaleko! Otóż i oberża; mała, uboga, ale dla niego wystarczy.

Noc i dzień w niej przepędził, gdyż potrzebował wypoczynku. Był chory, a deszcz padał, drogi się popsuły, ciężko iść dalej.

Lecz na trzeci dzień rano przyszedł wędrowny muzykant z katarynką i zagrał melodię, która tak żywo przypomniała mu ojczyznę, że tu dłużej wytrzymać nie mógł.



I znowu ruszył na północ, a szedł z takim pośpiechem, jak gdyby się obawiał, że zanim powróci, wszystkich mu śmierć zabierze. Nie mówił do nikogo o swej tęsknocie i nikt nie wiedział, co się działo w jego sercu, szedł przecie obcy pomiędzy obcymi, do swoich, do swej wioski dalekiej nad morzem, tam na północy.

Wieczór się zbliżał. Mróz wzmagał się zwolna, kraj był coraz równiejszy: pola, łąki, drogi. Przy gościńcu rosła wielka, stara wierzba; wyglądała tak dziwnie swojsko — jakby tamta.

Kanut był znużony, więc usiadł pod drzewem; potrzebował odpocząć — głowa mu ciążyła, oczy się zamykały. Zauważył jednak, jak troskliwie stara wierzba otuliła go swemi gałązkami — jak najtroskliwszy ojciec!

Bo też to była tamta! Wzięła go na ręce i jak małe dziecko niosła teraz do ojczyzny, do Kjoge, na znajome, piaszczyste wybrzeże, gdzie biegał dzieckiem. Tak, to była ona, ta sama wierzba. Wyszła naprzeciw niego, bo długo nie wracał, i znalazła go wreszcie i zaniosła do małego ogródka nad rzeczką, gdzie czeka już Joasia w złocistej koronie i wita go z daleka radosnym okrzykiem.

A oto znowu jakieś dwie postacie, podobniejsze do ludzi, niż przed laty. Szczególniej się zmieniły! To chłopiec z piernika i jego u-

kochana. Piękną stroną odwrócili się do niego, trzymając się za ręce.

— Dziękujemy ci — rzekli — nauczyłeś nas mówić i otośmy zaręczeni!

Idą przez ulicę razem, ręka w rękę, prosto do kościoła w Kjøge. Kanut i Joasia idą tuż za nimi, trzymają się także za ręce. Widać czerwone mury, bluszczem obwieszzone, drzwi otwarte szeroko, słychać organy, światła płoną na ołtarzu.

Orszak przez główne wejście wchodzi do kościoła.

— Państwo naprzód! — odzywa się chłopiec z piernika i ustępują miejsca Kanutowi, który z Joasią klęka przed ołtarzem. Joasia schyla wdzięcznie śliczną główkę, a z oczu jej spływają łzy, jak perły szronu. To lód, który niegdyś zamroził jej serce, a teraz stopniał pod tchnieniem wytrwałej, wiernej miłości. Te łzy zimne. . . .

W tej chwili Kanut się obudził. Siedział pod starą wierzbą, w obcym kraju, w chłodny zimowy wieczór. Z chmur zimne krople na twarz mu padały.

—To sen! — szepnął ze smutkiem. — Najpiękniejsza chwila mego życia! Pozwól mi jeszcze tak marzyć, o Boże!

I zamknął oczy.

I znów zasnął — i marzy.

Nad ranem śnieg spadł duży, wiatr mio-  
tał nim mroźny... Kanut spał.

Szeroką drogą ludzie idą do kościoła;  
pod starą wierzbą siedzi czeladnik wędrowny.  
Zmarzł, nie żyje. Pod starą wierzbą usnął, jak  
w dzieciństwie, ale = na wieki.

---

## Śpiewak z pod strzechy.

---

Zima. Ziemia śnieżną okryta zasłoną wygląda jak wykuta z marmurowej skały; powietrze jasne, czyste, wiatr kolący, ostry, ni-by miecz obosieczny; drzewa bezlistne, jak białe korale, jak migdałowe gaje w pełnym kwiecie; widok daleki, jak z wierzchołka góry.

I noce piękne pod niebem, usianem miliardami gwiazd, przy blaskach północnej zorzy.

Nadchodzi burza i z chmur ciemnych sy-pie puchy łabędzie; białe, lekkie płatki kołyszą się w powietrzu, pokrywają dachy, ulice, pola, drogi i gościńce. Białło, cicho i chłodno.

Lecz nam ciepło w izbie, przy płonącym kominku; wesoło w gromadce słuchać i opowiadać o czasach minionych, minionych dawno. Posłuchajmy baśni.

Na morzu, hen daleko, na szerokiem, był grób olbrzymi na skale. O północy siada na nim bohaterski duch pogrzebanego w tej mogile króla. Siada i ciężko wzdycha. Złocisty dyadem świeci mu na skroni, wiatr włos mu

rozwięwa; pierś ma w stal zakutą, lecz głowa ciężka spada mu na piersi, a z ust wyrywa się głuche westchnienie, westchnienie bólu.

Duch bohatera nie ma w mogile spokoju...

Okręt o białych żaglach płynie po morzu z daleka, przy grobowej skale zarzucił kotwicę, żeglarze na ląd wyszli. Pomiedzy nimi idzie pieśniarz stary, ten zbliża się do króla stopą śmiałą.

— Dlaczegoś smutny? — pyta. — Jaki ból cię tłoczy?

— Smutny jestem — odpowiada duch pogiębiony — bo czyny moje umarły wraz ze mną, zostały zapomniane, jak ja pod tą skałą. Żaden śpiew o nich nie rozbrzmiał po świecie, żadna pieśń w sercach ludzkich nie wzbudziła żalu, nie pozostała w pamięci mych wnuków. Więc smutny jestem, — zniknąłem bez śladu i ja i życie moje. Dlatego nie znam w mogile spoczynku. Duch bohatera świecić winien wiecznie, a mój zasłonił obłok niepamięci. Pieśń tylko takie zasłony rozdziera.

I mówił długo o swych wielkich czynach, które współcześni wielbili i czcili, lecz nie miał kto opiewać, gdyż pomiedzy nimi nie było ani jednego śpiewaka.

Wtedy położył pieśniarz dłoń natchnioną na strunach harfy i pieśń się rozległa potężna i wspaniała. Opiewał odwagę młodzieńczą bo-

hatera, jego śmiałe czyny, gorące serce i ducha wzniosego. Śpiewał w miłości i wierze i prawdzie.

Na grobowcu podniosła się postać królewska, a twarz jej zajaśniała, jak chmurka srebrzystaw blasku miesiąca. I rozplynęła się w blasku jak zorza, duch bohatera zniknął we własnych promieniach, rozwiął się razem z pieśnią.

Na samotnej skale pozostał się tylko samotny pagórek, a nim kamień grobowy bez znaku.

Ale ostatnim tonem wieszce harfy ze strun jej zerwał się ptaszek maleńki, ptaszek o cudnym głosie, w którym drżą naprzemian wszystkie tony serca ludzkiego: radości, bólu, tęsknoty i szczęści. Ptaszek wzniósł się wysoko i leciał nad morzem ku oddalonym łądom, ku góróm i lasom, ponad polami i ponad łąkami, gdzie go witano serdecznie, radośnie. Śpiewak to znany, śpiewak pieśni gminnej, co nigdy nie umiera.

I dziś go słyszymy, tu, koło kominka, gdzie puchy białe bujają w powietrzu i pod niebem burza się sroży. On śpiewa nam, co było, pieśni wesołe i smutne, o surowych krajach dalekiej północy i rozkosznych dolinach południowych; on ma słowa i tony, ma łyzy i u-

śmiechy w sercach ludzkich budzi wiosną młodą, albo okrywa je szronem jesieni.

Ptaka pieśni gminnej nigdy nie umiera, a żyje dawno i wszystko pamięta: i wielkich bohaterów i klęski okropne, wszystkie nadzieje i wszystkie zawody i język ojców naszych zapomniany i zapomniane prastare pamiątki on nam tłumaczyć umie słowem żywym.

A kiedy śpiewa, to burza nadchodzi, biją pioruny, lód pęka, świat płonie i drży w posadach ziemia — bo on potęgę ma i władzę wielką i królem jest i twórcą — choć nie Bogiem.

Zima. Wiatr ostry jak miecz obosieczny niesie tumany śniegu, góry całe. I wszystko sypie na miasto, skazane, aby zniknęło z ziemi. Dziwny sen zimowy. Skryły się domy i krzyże kościołów; góra śnieżna jaśnieje w przejrzystym powietrzu i odbija promienie słońca.

Nad pogrzebanem miastem krąży ptactwo, świergocze, krzyczy, śpiewa.

Wróble chmurą całą przysiadły na śniegu; wzrusza je każda drobnostka; opowiadają jak wiele, tak wiele o tem, co było w kuchni, a podwórzu. Wszystko wiedzą, wszystko wiedzą. Pi! pi! my znamy pogrzebane miasto, znamy każdy zaułek, każdy kącik. Pi, pi! wszystko, co żyło tam, leży pod śniegiem, wszystko, co żyło, pi! pi!



Czarne kruki i wrony unoszą się nad białym śniegiem, niby żałobne plamy. — Grab! Grab! — kraczą co chwila. — Tyle rzeczy do jedzenia pozostało pod śniegiem! Tyle rzeczy wybornych i pożywnych, kra! kra!

Lecą dzikie łabędzie, szumiąc wspaniałemi skrzydłami w górze, a pieśń ich mówi o tem, co wielkie i piękne w umarłem mieście było, w mieście pogrzebionem pod górą śniegu.

Ale ptaszek drobny głos podniósł także dźwięczny:

— O, nie nie umiera! Bo niema śmierci, a życie trwa wiecznie, choć się przelewa czasem w tony pieśni, w słowa prorocze, w promienie światłości, w mądrość i wiarę. Lecz nie ginie życie, ono wstępuje tylko w nowe serca, i bicia ich przyśpiesza, ono ożywia nasze myśli i wspomnienia i powstaje przed nami z każdego grobowca wieczne i nieśmiertelne. Co żyło, żyć będzie!

Tak śpiewał ptak natchniony pieśni gminnej, co nigdy nie umiera.

I w tej samej chwili spłynęło z nieba ciepłe tchnienie Boże, pękły śnieżne otchłania, słońce je zwycięża, przenika wewnątrz gór, kruszy jej potęgę i nową wiosnę budzi na mogile, i nowe życie na starym pniu szczepi.

Bo niema śmierci: co żyło, żyć będzie. Zwiastunem prawdy tej ptaszek maleńki, ptak pieśni gminnej, który nigdy nie umiera.



## Towarzysz Podróży.

---

Biedny Janek! Ojciec jego umierał po długiej i ciężkiej chorobie, lampa gasła na stole w ubogiej izdebce i nikogo z nim tu nie było.

— Byłeś dobrym synem, Janku — rzekł umierający — i Bóg cię nie opuści, chociaż sam zostaniesz. Pamiętaj tylko zawsze kochać ludzi i czynić im tyle dobrego, ile będzie w twojej mocy.

Chory spojrział na syna łagodnie, serdecznie i zamknął oczy — już na zawsze. Wyglądał, jakby zasnął. Janek płakał, bo nie miał nikogo na świecie, był zupełnie sierotą bez rodziny. Długo klęczał przy łóżku umarłego, całował ręce ojca, aż wreszcie znużony oparł głowę na twardej poręczy i zasnął.

Dziwny miał sen. Sniło mu się, że był w niebie, słońce i księżyc wyszły na jego spotkanie i witały go pięknie; ojciec zdrów i śmiał się jak dawniej wesoło, a królowa w złotej koronie na głowie z uśmiechem podała mu rękę.

— Oto twoja narzeczona — rzekł mu ojciec — najpiękniejsza i najlepsza królewna na świecie. Ale trzeba na nią zasłużyć.

Wtem Janek się obudził i wszystko zniknęło; ojciec leżał zimny i martwy na łóżku, w ciemnym pokoju nie było nikogo.

W parę dni potem pochowano nieboszczyka. Biedny Janek szedł za trumną, gorzko płacząc: nie mógł się z tem pogodzić, że już nigdy w życiu nie zobaczy drogiego ojca. Trumnę złożono w głębokiej mogile i zasypano ziemią; Janek słyszał, jak ziemia padała na wieko, zakryła je, i czuł tak wielki ból w sercu, jak gdyby pęknąć miało. Lecz zaśpiewano piękną pieśń pobożną, tak smutną, iż Jankowi łzy spłynęły z oczu i lżej mu było. Słońce świeciło na czystym błękitnie, a drzewa uśmiechały się do niego świeżą, jasną zielonością. Zdawały się mówić:

— Nie smuć się, Janku, nie płacz. Spójrz na niebo pogodne i czyste, jak tam pięknie! Twój ojciec już tam mieszka i patrzy na ciebie; jest szczęśliwy i prosi Boga, aby ci błogosławił w życiu.

A Janek otarł oczy i pomyślał:

— Będę się starał być dobrym, aby ojciec widział, że pamiętam jego słowa. A kiedy umrę, pójdę do niego do nieba i spotkamy się znowu. Jakaż to będzie radość! Opowiem mu

wtedy wszystko, co się ze mną działo tu na ziemi, a on mi wytłumaczy cuda rajy. Będzie mię uczył i obaj będziemy szczęśliwi!

Uśmiechnął się do tych myśli, choć łzy spływały mu jeszcze po twarzy. Po gałązkach ptaszki skakały wesoło i szczebiotały: kiwit! kiwit! chociaż przed chwilą były świadkami pogrzebu. Ale one wiedziały, że umarły w niebie szczęśliwszy jest niż tutaj, że ma piękne skrzydła i śpiewa cudne pieśni razem z aniołami. Więc to je tak cieszyło. Potem odleciały daleko, daleko, a Janek patrzył za nimi z tęsknotą i także miał ochotę ruszyć w świat nieznany, tylko przedtem zapragnął naznaczyć grób ojca choć prostym krzyżem. Zrobił go starannie i zaniósł wieczorem na cmentarz. Mogiłę zastał pięknie usypaną i przybraną kwiatami. Widocznie obcy ludzie pamiętali, jak dobrym dla każdego był nieboszczyk.

Nazajutrz wczesnym rankiem Janek zwinął w mały tobolek swoje rzeczy, zabrał pięćdziesiąt talarów i kilka drobnych monet, które stanowiły cały jego majątek, i wyruszył w drogę.

Przechodząc koło cmentarza, raz jeszcze wstąpił na grób ojca, aby się pomodlić i pożegnać go może na długo.

Na polu kwiaty świeciły perłami rosy porannej, grzały się w słoneczku, kołysały główki na figlarnym wietrze i zdawały się mówić:

— Prawda, jak tu ślicznie? Jak zielono! Witaj nam, mały przechodniu!

Oto i koniec wioski i stary kościółek, gdzie go niegdyś ochrzczono, gdzie przychodził z ojcem co niedziela na nabożeństwo i śpiewy. Przystanął, zdjął kapelusz i żegnał go wzrokiem. A wtedy na wieży wysokiej zobaczył krasnoludka w czerwonej czapce, który zasłaniał twarz ręką od słońca, aby patrzeć na drogę. Janek mu skinął głową życzliwie, z uśmiechem, a maleńki człowiek potrząsnął czapeczką, przycisnął obie ręce na chwilę do serca i przesłał mu tysiące pocałunków, aby okazać, jak szczerze mu życzy przyjemnej i szczęśliwej drogi.

I poszedł Janek dalej. Było mu rażno na duszy, — myślał, jak wiele nowych, pięknych rzeczy zobaczyć może, i szedł coraz dalej, tak daleko, jak nigdy jeszcze nie był w życiu. Nie znał też wcale miejsc, które przebywał, ani ludzi, których spotykał. Był już między obcymi.

Pierwszą noc przespał na otwartem polu na świeżym stogu siana, ale to mu się bardzo podobało. — Sam król nie ma wspanialszej sypialni — pomyślał — niż to pole, zasłane

zielonym kobiercem, przetykanym różnobarwnymi kwiatami, z błękitem nieba, zamiast zwykłego sufitu, z przezroczystym strumykiem, zamiast umywalni, i krzakami róż dzikich i czeremchy. Nad strumieniem sitowie i trzcina śpiewają mi ciche "Dobranoc", na niebie jasny księżyc zastępuje lampę. Nie potrzebuję jej gasić z obawy pożaru, lub dla braku oleju i mogę spać sobie spokojnie.

Spał też do samego rana. Dopiero słońce i ptaki wesole zbudziły śpiocha, wołając: — Dzień dobry! Dzień dobry, Janku! Czy dziś wstać nie myślisz?

Możeby pospał dłużej, gdyby nie te natrętniki, lecz nie gniewał się na nie. Dzwony się ozwały z blizkiego kościołka, gdyż była to niedziela, i Janek pośpieszył, aby być na nabożeństwie. Śpiewał i modlił się z całego serca, jak w swoim starym wioskowym kościele, gdzie go ochrzczono, gdzie przychodził z ojcem.

Potem zaszedł na cmentarz. Wiele grobów tutaj było zaniedbanych, zarosłych zieliskiem, trawą. Pomyślał, sobie, że tak może kiedyś wyglądać będzie i grób jego ojca, jeśli zabraknie mu synowskiej ręki. Więc powyrywał zielska, popoprawiał krzyże, które się pochylały, poukładał wianki na swoje miejsca, przez wiatr rozrzucone, i westchnął cicho: =

Może ktoś tak samo uporządkuje grób mojego ojca, kiedy mnie tam nie będzie!

Wychodząc z cmentarza, dał ubogiemu kilka sztuk monety i poszedł dalej.

Przed wieczorem pokryły niebo czarne chmury, deszcz zaczął padać. Janek przyśpieszał kroku, ażeby znaleźć schronienie pod dachem, lecz noc zapadła. Spozstrzegł wreszcie małą kapliczkę na wzgórzu i tutaj postanowił przenocować.

— Usiądę sobie w kącie i odpocznę — rzekł do siebie — jestem bardzo zmęczony i to schronienie mi wystarczy; wygod nie potrzebuje.

Odmówił krótkie modlitwy wieczorne, usiadł w kącie i zasnął. Na świecie tymczasem szalała burza, padały pioruny.

Północ była, gdy się obudził. Burza minęła, księżyc świecił jasno i zaglądał przez okno do kapliczki. Tu na środku stała trumna z nieboszczykiem, którego miano pochować naza jutrz.

Janek nie przestraszył się wcale. Miał czyste sumienie i wiedział, że umarli nic złego nie mogą zrobić żyjącym. Tylko żywi źli ludzie krzywdzą czasem innych. I właśnie takich dwóch złych ludzi chciało wyrzucić z trumny nieboszczyka.

— Co wy robicie? — zapytał ich Janek. — Dlaczego nie zostawicie go w spokoju? To wielki grzech i zbrodnia.

— Daj nam pokój — odpowiedzieli zło-  
czyńcy — pleciesz głupstwa bez sensu. My  
mamy prawo wyrzucić go z trumny, bo nas o-  
szukał. Winien nam pieniądze i umarł, żeby  
nie zapłacić długu. Ale nie darujemy: jak pies  
będzie leżał za progiem kościoła!

— Mam tylko pięćdziesiąt talarów —  
rzekł Janek — ale oddam je wam chętnie, je-  
śli mi przyrzeczecie zostawić tego biedaka w  
spokoju. Jestem zdrow i młody, mogę obejść  
się bez pieniędzy, zresztą Bóg mi dopomoże, a  
bezbronniego krzywdzić nie pozwolę.

— Dobrze — odrzekli źli ludzie — jeżeli  
nam zapłacisz dług nieboszczyka, możesz być  
spokojny, że mu nie wyrządzimy żadnej krzy-  
wdy.

Janek natychmiast oddał im pieniądze i  
poszli sobie, śmiejąc się z jego hojności. Ale  
pocziwy chłopiec nie uważał na to, sam uło-  
żył napowrót w trumnie nieboszczyka, złożył  
mu ręce, pożegnał i poszedł dalej przez las  
wązką drogą.

Księżyc prześlicznie świecił przez gałę-  
zie, a w jego jasnych, srebrzystych promie-  
niach widać było drobne elfy, igrające między  
drzewami, na zielonych listkach. Nie uciekały



przed Jankiem, —wiedziały, że to jest chłopiec niewinny i dobry, a tylko dla złych ludzi te śliczne, maleńkie duchy leśne stają się niewidzialnymi. Niektóre były mniejsze, niż szerokość palca, a na główkach miały złociste grzebyki, którymi pospinały długie, jasne włosy. Jedne bujały się na kroplach rosy albo ździebełkach trawy, inne tańczyły, skakały; czasem rosa spadała na ziemię, jak kula, a z nią i mały figlarz. Wtedy wybuchał chór śmiechu i wrzawa w tym małym, wesołym świątku. Wszystko to było śliczne! Elfy śpiewały cieniutkimi głosy i Janek poznawał z radością piosenki, których się uczył niegdyś, będąc dzieckiem. Wielkie pająki w srebrzystych koronach przerzucały wiszące mosty między gałęziami, budowały pałace z kryształowych nici; a kiedy rosa skropiła je lekko i błysnął promyk księżyca, jaśniały te budynki fantastyczne brylantowymi blaski.

Wszystko to trwało aż do wschodu słońca. Kiedy rozpierzchły się nocne ciemności, płóche elfy zasnęły w kielichach kwiatowych, a wiatr pozrywał ich wiszące mosty i tęczowe pałace.

Janek wyszedł z lasu i szedł teraz drogą, kiedy usłyszał za sobą wołanie:

— Hej, towarzyszu, dokąd, jeśli łaska?



— Przed siebie — odparł Janek. — Jestem sam na świecie, więc idę szukać szczęścia przy Boskiej pomocy.

— To możemy iść razem — odparł obcy, jeśli się zgodzisz.

Janek zgodził się chętnie i poszli dalej razem, a wkrótce polubili się szczerze. Nieznajomy był człowiek dobry, a przytem o wiele mądrzejszy od Janka, który podziwiał jego doświadczenie. Musiał on wiele podróżować w życiu, bo wszystko znał i wiedział, a opowiadać umiał bardzo zajmująco.

W południe znaleźli rozłożyste drzewo i usiedli, aby odpocząć i posilić się trochę. Rozmawiając, spostrzegli wychodzącą z lasu staruszkę jakąś, drżącą, pochyloną, wspartą na kijku. Na plecach niosła wiązkę suchych gałązek na opał, które zebrała w lesie, a z fartucha wyglądały jej trzy różdżki. Szła, opierając się na krzywym kijku, krokiem niepewnym; wtem pośliznęła się, krzyknęła głośno i upadła. Biedna staruszka złamała nogę.

— Musimy ją odnieść do domu — rzekł Janek, zwracając się do towarzysza.

Lecz ten rozwiązał swój mały węzełek, wyjął z niego słoik niewielki i powiedział, iż posiada taki balsam, pod którym złamana noga może się zrosnąć natychmiast i będzie je-

szcze mocniejsza, niż przedtem. Ale za takie cudowne lekarstwo żądał trzech różeg, które stara niosła w fartuchu.

— Mądryś! — rzekła babina i pokiwała głową z dziwnym uśmiechem. Nie miała ochoty pozbyć się różeg, lecz noga bolała ją bardzo i co robić, zanim się zrośnie zupełnie, zanim będzie mogła znowu na niej chodzić?

Więc po namśle oddała trzy różdżki, a podróżny wyjął balsam ze słoika i zaledwie dotknął nim złamanej nogi, kości się zrosły i starowina mogła iść dalej bez bólu, a nawet znacznie prędzej, niż poprzednio.

— Dobrze masz lekarstwo — rzekła też z uśmiechem — znam się na tem cokolwiek. Wiem też, iż w aptece dostać go nie można.

I poszła dalej, trzęsąc starą głową i uśmiechając się do siebie.

— Co ci po tych różgach? — spytał Janek towarzysza.

— Bardzo mi się podobały, a że jestem trochę dziwakiem i lubię osobliwości, więc sobie pomyślałem, że mogą mi się przydać.

Janek niebardzo mądry był z tej odpowiedzi, ale poszli dalej razem.

— Patrz — odezwał się Janek po niejakiem czasie — jakie okropne chmury! Pewno będzie burza.

— Nie, — odrzekł nieznajomy — to wcale nie chmury, to góry, mój kochany. Wspaniałe, wielkie góry, które wznoszą się ponad obłoki! Tam dopiero odetchniesz cudownem powietrzem! Stamtąd zobaczysz wielki kawał świata! Ale nieprędko się tam dostaniemy.

Rzeczywiście wędrowali cały dzień następny, nim dosięgli podnóża gór, okrytych płaszczem czarnego lasu i składających się ze skał olbrzymich, jak całe miasta. Wszystko tu było wielkie, wspaniałe i groźne, i sił potrzeba, żeby się piąć śmiało po stromych urwiskach na te wysokości. To też nasi podróżni zatrzymali się na noc w oberży, aby wypocząć przed jutrzejszą drogą.

W największej izbie zajezdneho domu wędrowny właściciel teatru marynetek dawał wielkie przedstawienie. W jednym końcu pokoju ustawił swój mały teatrzyk, a w drugim zgromadzili się goście przejezdni, służba, sąsiedzi. Każdy był ciekawy. Na samym środku stanął gruby rzeźnik z buldogiem, który warczał, pokazywał zęby i wytrzeszczał straszne ślepie na teatrzyk. Musiało to być zwierzę niezmiernie złośliwe.

Przedstawienie się rozpoczęło i było bardzo zajmujące. Śliczna sztuka! Król i królowa siedzieli na tronie, w złotych koronach i sukniach z długimi trenami. Widać zaraz, że mu-

sieli być bardzo bogaci. Inne maleńkie lalki, z wąsami i szklanemi oczyma, stały przy drzwiach, poruszając niemi bezustannie, zapewne aby utrzymać w pokoju świeże powietrze i przyjemny powiew. Śliczna to była sztuka!

Wtem królowa wstała i postąpiła kilka kroków na przód sceny. Nie wiadomo, co sobie pomyślał o tem buldog, dość, że warknął groźnie, poskoczył, schwycił nieszczęsną królową w swoją straszliwą paszczę — trzasnęła... Ach!...

Biedny właściciel teatru rozpaczał: pies odgryzł głowę najpiękniejszej jego lalce! Wszyscy byli zmartwieni. Przerwano przedstawienie.

Gdy się ludzie rozeszli, nieznanomy towarzysz Janka zbliżył się do strapionego dyrektora teatru maryonetek i powiedział, że mu naprawi tę szkodę. Wyjął swój słoik z cudownym balsamem, wziął lalkę, która była strasznie pokaleczoną, i opatrzył jej rany, posmarował, a w tejże chwili wszystko się zrosło znowu, zagoiło, a nawet maryonетка mogła teraz sama poruszać swobodnie rękami, nogami i głową i nie trzeba było ciągnąć jej za sznurek.

Można sobie wyobrazić radość lalki! Była jak żywy człowiek, tylko mówić nie mogła. Właściciel teatrzyku cieszył się także niezmiernie: królowa mogła chodzić sama! Natu-

ralnie, żadna inna jego lalka tego nie potrafiła.

Ale późno w nocy, kiedy wszyscy spali, dały się słyszeć takie okropne westchnienia, że wszyscy się pozrywali przestraszeni. Dyrektor pośpieszył zaraz do swoich maryonetek, gdyż z wielkiego pudła dochodziły te jęki. Otworzono je i ujrzano wszystkie lalki poprzewracane i wzdychające rozpaczliwie; wszystkie patrzyły szklanemi oczami na swego pana, gdyż wszystkie pragnęły być posmarowane cudownym balsamem, ażeby mogły poruszać się same.

Królowa padła na kolana i podniosła w górę złocistą koronę.

— Zabierz ją! — zawołała — ale posmaruj maścią mojego małżonka i dwór mój cały!

Właściciel teatrzyku nie mógł się wstrzymać od płaczu, tak mu żal było lalek. Ofiarował nieznajomemu cały swój zarobek z ostatniego przedstawienia, byle mu jeszcze kilka maryonetek posmarował. Ale poczciwy człowiek odpowiedział, że jeśli mu dyrektor odda starą szablę, którą nosił u boku, to i bez pieniędzy posmaruje jeszcze sześć lalek.

Rozumie się, że umowa stanęła natychmiast, słoik znowu wyjęto, uszczęśliwione maryonетки przewracały się z radości, aż sobie pootłukały końce nosów, lecz nieznajomy

i na to zaradził, a wkrótce potem wszystkie sześć tańczyły same tak prześlicznie, że dziewczęta z oberży nie mogły patrzeć na to obojętnie i zaczęły także tańczyć razem z nimi. Stangret tańczył z kucharką, lokaj z pokojówką, wszyscy goście i obcy ludzie, nawet obcęgi z żelazną łopatką. Ale ta para przewróciła się przy pierwszym skoku.

W każdym razie noc była niezmiernie wesoła.

Nazajutrz rano Janek ze swoim towarzyszem udali się w dalszą drogę. Szli przez sosnowe lasy coraz wyżej, aż stanęli na wierzchołku góry tak wysoko, że kościelne wieże wydawały im się w dole niby ciemne jagody na tle zieloności. I widzieli dokoła miasta, wsie i kraje, w których nie byli nigdy, daleko, daleko! Janek nie miał pojęcia, że świat jest tak wielki, tak wspaniały i piękny! Jasne słońce świeciło na błękicie, powietrze było czyste i orzeźwiające, z lasów dolatywał głos rogów myśliwskich tak prześlicznie, że Jankowi łzy w oczach stanęły.

— O dobry Boże! — zawołał z miłością.  
— Jakżebym Cię gorąco pragnął ucałować za to, żeś taki dobry, żeś stworzył dla nas ten świat tak piękny!

Nieznajomy złożył ręce do modlitwy i w milczeniu patrzył na lasy i miasta, kąpiące się w ciepłych słonecznych promieniach.

Nagle nad ich głowami rozległ się śpiew dziwny, jakiego nigdy w życiu nie słyszeli, i zobaczyli w górze pod błękitem nieba płynącego wolno łabędzia. Łabędź śpiewał prześlicznie, ale coraz ciszej, coraz ciszej... Pochylił piękną głowę, skrzydła poruszały się słabo i wreszcie upadł u nóg ich martwy.

Janek litościwie pochylił się nad nim, ale w królewskim ptaku śladów życia już nie było.

— Skrzydła mu teraz nie potrzebne — rzekł podróżny — a nam przydać się mogą; takie ogromne i silne! Widzisz, jak dobrze, że mam z sobą szablę dyrektora teatrzyku.

Jednem uderzeniem odciął łabędzie skrzydła i schował je do tłumoczek.

Minęli góry i szli bardzo długo po drugiej stronie przez nieznanne kraje, aż nakoniec przybyli do wielkiego miasta. Setki wież i kościołów błyszczało jak srebro w blasku słonecznym, pośrodku stał biały pałac murmurujący ze szczerozłotym dachem. W pałacu król mieszkał.

Obaj podróżni zatrzymali się w małej oberży pod miastem, bo nie chcieli zakurzeni i zdrożeni wejść do pięknej stolicy. Gospodarz, człowiek rozmowny, natychmiast zaczął im o-



powiadać bardzo ciekawe rzeczy. Król w tem państwie był stary, ale bardzo dobry, nikt się na niego nie uskarżał, bo nigdy żadnej krzywdy nie wyrządził nikomu. Ale za to córeczka! Boże zachowaj od takiej królewny. Piękna, jak nikt na świecie, ale zła czarownica, która już wielu książąt życia pozbawiła.

— Jakże to? — pytał Janek. — Za co?

— Każdemu pozwalała starać się o swoją rękę, wszystko jej było jedno: król czy żebrak. Ale musiał odgadnąć trzy razy jej myśli. Jeżeli mu się uda, zostanie jej mężem, a po śmierci jej ojca panem całego kraju; ale jeżeli nie zgadnie trzy razy, co ona pomyślała, pójdzie na śmierć; zetną mu głowę i kwita.

Stary król martwił się tem niesłychanie, lecz nie poradzić nie mógł. Raz jej pozwolił wybrać sobie męża, jakiego będzie chciała, i nie mógł cofnąć słowa; a na zgryzotę jego córka nie zważała. Bardzo złe miała serce. Ile razy zjawił się nowy konkurent, królowna przyjmowała go uprzejmie, a że nie umiał odgadnąć jej myśli, to nie jej wina; wiedział przecież, o co chodzi i na co się naraża; po cóż był taki śmiały?

Biedny król każdego roku jeden dzień poświęcał na modły, aby królownie zmiękczyło się serce. Od poranka aż do nocy klęczał wtedy ze wszystkimi rycerzami, ale to nie a

nie nie pomagało. Cały naród zresztą bardzo nad tem ubolewał i nawet stare babcie, które lubiły wódeczkę, na znak żałoby dolewały do niej czarnej farby. Cóż więcej zrobić mogły?

— O szkaradna królowna! — zawołał Janek oburzony. — Gdybym był starym królem, dałbym jej porządne różgi! Zasłużyła na to doskonale.

Wtem na drodze usłyszeli okrzyk ludu:

— Wiwat! wiwat!

To królowna przejeżdżała. Była tak piękną, twarz miała tak dobrą i smutną, że ludzie zapominali o jej złości i nie mogli jej wierzyć, patrząc na nią. Otaczało ją dwanaście najpiękniejszych panien, w białych sukniach, na czarnych prześlicznych wierzchowcach, każda ze złotym tulipanem w dłoni. Rumak królowny był biały, kosztownie przybrany w dyamentowe i rubinowe ozdoby. Suknię miała złocistą, a w ręku szpicrutę, podobną do promienia słonecznego. Na głowie dyadem, ni-by szereg drżących gwiazd w czarnych włosach, a płaszcz z motyliich skrzydeł.

Twarz jej jednak była piękniejszą od stroju.

Janek spojrzał na nią i oniemiał ze zdziwienia: była to bowiem ta sama królowna, którą widział we śnie, gdy zasnął przy łóżku zmarłego ojca.

— Nie, nie, to nieprawda! ona nie może być tak złą, jak mówią — pomyślał zaraz. — Nie uwierzę temu. Jest piękną i dobrą, a ponieważ każdemu pozwalała się starać o swą rękę, spróbuję i ja szczęścia. Przekonamy się zresztą, co to wszystko znaczy, ojciec nademną czuwa i nie lękam się niczego.

Oznajmił zaraz o swoim zamiarze, ale wszyscy mu odradzali: zginie, jak tylu innych. Towarzysz podróży odradzał mu także, lecz to nie pomogło. Janek wierzył w swe szczęście i w dobroć królowny, przypuszczał, że jej okrutne postęпки muszą mieć jakąś ukrytą przyczynę i uparł się przy swoim.

Oczyścił sobie buty i ubranie, umył się czysto, uczesał i poszedł do pałacu królewskiego.

Zapukał do drzwi śmiało.

— Proszę wejść — dał się słyszeć głos starego króla, który wyszedł zaraz na jego spotkanie w szlafroku i wyszywanych pantoflach; na głowie miał koronę, berło w jednej ręce, a złote jabłko w drugiej.

— Zaczekaj — rzekł i czempredziej włożył złote jabłko pod pachę, aby podać Jankowi prawicę.

Lecz skoro się dowiedział, że jest nowym konkurentem do ręki jego córki, zaczął tak mocno płakać, że upuścił berło i jabłko na zie-

mię i ocierał oczy połamami szlafroka, gdyż nie miał z sobą chustki.

Biedny, dobry król stary!

— Daj temu pokój — rzekł wreszcie, kiedy się uspokoił tak, że mógł przemówić. — Nie chcę więcej patrzeć na te okropności! Zresztą chodź i sam zobacz.

I zaprowadził Janka do ogrodu królewny. Okropny widok! Na każdym drzewie wisały po dwa i trzy szkielety zamordowanych książąt, którzy się ubiegali o rękę królewny. Za każdym powiewem wiatru uderzały ich kości o siebie, a wystraszone ptaki nie śmiały się gnieździć w tym prawdziwym ogrodzie śmierci. W doniczkach nawet stały trupie główki zamiast świeżych, pachnących kwiatów. Rzeczywiście dziwny był ogród królewny.

— Sam widzisz — rzekł król stary — tak i z tobą będzie. Daj lepiej pokój. Dostyc mam już zgryzoty i zmartwienia, bo nie mogę o tem nie myśleć.

Janek pocałował w rękę dobrego króla i prosił go, żeby nie martwił się wcale, bo wszystko dobrze będzie.

Właśnie na dziedziniec zamkowy wjechała piękna królowna ze swemi damami, więc pośpieszyli, aby ją powitać. Uśmiechnęła się przyjaźnie do Janka i podała mu rękę z tak

dobrem spojrzeniem, że od tej chwili ani myślał wierzyć, aby była złą czarownicą. Wszyscy następnie zasiedli do stołu, paziowie roznosili konfitury i migdałowe ciastka, ale król nie mógł nic jeść ze zmartwienia. Zresztą makaroniki były dla niego za twarde.

Postanowiono, że nazajutrz z rana Janek się stawi w królewskim pałacu, aby odgadnąć pierwszą myśl królowny. Sędziowie i rada stanu będą świadkami tego, i jeśli mu się uda, musi dwa razy jeszcze powtórzyć taką próbę. Ale nie zdarzyło się dotąd nikomu przeżyć dnia podobnego.

Janek nie troszczył się o to zupełnie. — Pan Bóg mi dopomoże — myślał sobie — a księżniczka taka piękna, że obawiać jej się nie umiem. I szedł wesoło przez ulice miasta aż do oberży, gdzie na niego oczekiwano z niepokojem.

Przez cały wieczór nie mógł się naopowiadać, jak dobrą była dla niego księżniczka, jakie ma smutne i prześliczne oczy i jak mu pilno przekonać świat cały, że wcale nie jest ona tak okrutną, jak ludzie opowiadają.

Towarzysz jego smutnie potrząsał na to głową.

!

— Coś w tem być musi jednak — mówił z niepokojem — żalby mi było stracić cię tak wcześnie, przywiązałem się do ciebie. No, ale

zobaczymy. Próżna trwoga nie nie pomoże, bądźmy weseli, dopókiśmy razem. Jutro sobie zapłaczę, gdy pójdiesz do zamku.

Wieść o nowym konkurencie rozeszła się w mgnieniu oka po stolicy, w której zapanowała obawa i smutek. Teatry pozamykano, w cukierniach zasłonięto ciastka czarną krepą, król klęczał przed ołtarzem, księża odprawiali żałobne nabożeństwa. Bo dlaczegoż temu jednemu miałoby powieść się lepiej, niż innym?

Lecz w oberży nieznamy przygotował wazę ponczu i rzekł do Janka:

— Pijmy za zdrowie królowy i bawmy się wesoło.

Zaledwie jednak chłopiec wypił parę szklanek, ogarnęła go senność, nie mógł otworzyć oczu i zapadł w sen głęboki. Wówczas nieznamy położył go ostrożnie na łóżku, rozebrał i nakrył kołdrą, a kiedy się zupełnie zciemniło, przywiązał sobie mocno skrzydła łabędzia do ramion, wybrał największą różgę z tych, które dostał w lesie od staruszki za to, że uleczył jej złamaną nogę, otworzył okno i wyleciał. Wśród ciemności unosił się ponad domami i kierował prosto do okna królowy. Tu, przytulony do muru, czekał, co nastąpi.

Cisza głęboka panowała w mieście, tylko zegary od czasu do czasu odzywały się, wydzwaniając poważnie godziny. Gdy wybiło trzy

kwadransie na dwunastą, okno królowny otworzyło się cichutko, a ona sama wyleciała z niego na wielkich czarnych skrzydłach, w białym płaszczu i popłynęła szybko w stronę wielkiej góry.

Lecz towarzysz podróży Janka w tej samej chwili stał się niewidzialnym i, lecąc za nią, smagał ją różgą tak mocno, że krew płynęła jej z pleców. To była podróż! Wiatr unosił w górę biały płaszcz księżniczki, jak żagiel, i miotał nim na wszystkie strony, a księżyc świecił dziwnie.

— A to grad! Okropny grad! — narzekała księżniczka przy każdym uderzeniu i starała się lecieć coraz prędzej. Nakoniec dopłynęła do ogromnej góry i zapukała trzy razy. Rozległ się grzmot przeciągły, góra otworzyła się szeroko i królowna z niewidzialnym swoim towarzyszem dostała się do środka.

Tutaj szli najpierw długim korytarzem, którego ściany dziwne wydawały światło: pełzało po nich we wszystkich kierunkach mnóstwo ogromnych, świecących pajaków, przez co wyglądały jak z żywego ognia. Następnie weszli do olbrzymiej sali, zbudowanej wspaniale ze srebra i złota. Ogromne kwiaty, niby słoneczniki, świeciły na jej ścianach purpurowym albo błękitnym blaskiem, ale nikt dotknąć ich nie mógł, ponieważ łodygi stanowiły wstrętne,



jadowite żmije, które zionęły z paszczy ogień w kształcie kwiatów. Sufit też okrywały błyszczące robaczki świętojańskie i sine nietoperze, które wciąż były cienkimi skrzydłami.

Wszystko to było straszne.

Prawie na środku sali stał tron ze szkła mlecznego, oparty na szkieletach końskich, wysadzany ognistocie błyszczącymi pajakami. Poduszki stanowiły małe czarne myszy, gryzące się nawzajem w cieniutkie ogonki. Ponad tronem wznosił się kosztowny baldachim z purpurowej pajęczyny, przybranej zielonemi skrzydełkami, które jaśniały jak drogie kamienie.

Na tronie siedział stary, szkaradny czarownik w koronie, z berłem w dłoni. Gdy ujrzał królową krwią oblaną, z oczyma łez pełnymi, pocałował ją w czoło, posadził na kosztownym tronie obok siebie i skinął na muzykę. Natychmiast odezwały się chóry szarańczy, umieszczone w rogu sali, a wielka sowa biła się po brzuchu, zastępując odgłos bębna. Szczególny to był koncert!

Małe czarne koboldy i karzełki z błędnymi ognikami na śpiczastych czapkach rozpoczęły nadzwyczajny jakiś taniec, a we drzwiach ukazali się dworzanie, w szatach wspaniałych, dumni i dystyngowani. Zresztą musieli oni trzymać się bardzo prosto, gdyż by-

ły to kije od mioteł z osadzonemi na nich głowami kapusty, które czarownik przybrał w piękne suknie i obdarzył pozornem życiem.

Nieznajomy ukrył się zaraz za tronem i nikt go widzieć nie mógł, on sam zaś wybornie widział i słyszał wszystko, co mówili czarno-księżnik i królowna. Ta ostatnia uspokoiła się od chwili, kiedy władca tego państwa podziemnego pocałował ją w czoło. Uśmiechała się nawet, opowiadając mu o nowym konkurencie, a potem zapytała, o czem ma pomyśleć, gdy nazajutrz przed nią stanie.

— Słuchaj uważnie — rzekł do niej czarownik, mierząc ją strasznym, pałającym wzrokiem, jak gdyby chciał w nią przelać tem spojrzeniem własne uczucia i myśli. — Kiedy stanie przed tobą, powinnaś pomyśleć o czemś najprostszem, na przykład o swoim trzewiczku. Tego nigdy nie zgadnie. Potem każesz uciąć mu głowę i przyniesiesz mi jutro jego oczy. Ha! tak dawno nie jadłem już tego przysmaku! Więc pamiętaj o wszystkim i spełnij dokładnie.

Królowna wstała z tronu i schyliła głowę, oddając mu pokłon długi i głęboki, a oczy jej w tej chwili były znowu smutne. Czarownik skinął, góra otwarła się przed nią i wyleciała razem z nieznajomym, który tak samo bił ją całą drogę giętką i mocną różgą. Skarżyła się

więc znowu na grad i śpieszyła, jak tylko mogła do swojego okna, które natychmiast zamknęło się za nią.

Wtedy podróżny wrócił do zajazdu, gdzie Janek spał spokojnie, odpiął łabędzie skrzydła i zmęczony z przyjemnością rzucił się na łóżko.

Jednak obudził się wcześniej i zaczął wybierać się w drogę. Nieznajomy wstał także, opowiadając wesoło, iż śniło mu się, że królowna pomyślała o swoim trzewiczku. Radził też Jankowi taką dać odpowiedź na dzisiejsze jej zapytanie.

— Dobrze — rzekł Janek — posłucham cię chętnie, może to ojciec natchnął cię tą myślą? Wierzę mocno, że mię Pan Bóg nie opuści, lecz na wszelki wypadek żegniam cię serdecznie i dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla mnie. Może być, iż nie zobaczymy się więcej.

Uścisnęli się mocno, potem Janek pobiegł do zamku królewskiego.

W tronowej sali pełno było ludzi. Sędziowie zasiedli na wielkich fotelach i wsparli głowy o puchowe poduszcзки, gdyż bardzo wiele mieli dzisiaj do myślenia. Stary król wstał i otarł zapłakane oczy białą chustką od nosa. [Dziś miał ją przy sobie]. Wtem weszła królowna. Wydała się Jankowi piękniejszą niż wczoraj, choć oczy miała dziwne, jak gdy-

by uśpione. Podała mu uprzejmie rękę i powiedziała dzień dobry.

Teraz Janek miał zgadnąć, o czem pomyślała. Patrzała nań spokojnie, lecz kiedy wymówił słowo: trzewiczek, zbladła, zachwiała się jakby zbudzona, a na jej pięknej twarzy odmalowała się okropna trwoga.

Ale to wszystko jedno. Król z wielkiej radości podskoczył prawie do sufitu, aż żółte jabłko upadło na ziemię i potoczyło się pomiędzy sędziów, że go musieli berłem wygarnąć z pod fotela. Wszyscy klaskali w dłonie, cieszyli się i winszowali Jankowi, któremu pierwszy raz tak się powiodło.

I nieznamy się ucieszył, kiedy mu Janek wszystko opowiedział. Potem obydwaj dziękowali Bogu za okazaną pomoc, a Janek był już teraz zupełnie spokojny, choć wiedział, że na zajutrz ma znowu zgadywać.

Wieczór upłynął jak dnia poprzedniego. Gdy Janek zasnął, towarzysz podróży poleciał na skrzydłach łabędzia za księżniczką do czarownika, ale tym razem bił ją jeszcze mocniej, gdyż wziął z sobą dwie różgi. Nikt go nie widział, a on słyszał wszystko. Księżniczka miała jutro myśleć o rękawiczce. Powtórzył to Jankowi, niby sen, i naturalnie chłopiec szczęśliwie odgadł po raz drugi.

Cały dwór skakał z radości i wywracał koziolki za przykładem starego króla, który położył na fotelu berło, koronę i jabłko, żeby mu nie przeszkadzały w chwili tak wielkiego szczęścia. Księżniczka tylko omdlała prawie z przerażenia; złożono ją na sofie, ale słowa przemówić nie mogła. Nikt się nią zresztą bardzo dzisiaj nie zajmował, bo wszyscy myśleli o tem, że jeżeli Janek po raz trzeci wyjdzie zwycięsko z tej próby, to zostanie mężem królowny, a po śmierci jej ojca panem całego kraju.

— No, ale jeśli omyli się jutro — wszystko przepadło. A szkoda byłoby takiego zucha.

Wieczorem Janek wcześniej odmówił pacierze i udał się na spoczynek, ale przyjaciel jego przypasał do boku starą szablę, zabrał wszystkie trzy różgi i na łabędzich skrzydłach pośpieszył znowu do pałacu.

Noc była ciemna. Wicher dał tak przeraźliwie, iż zrywał dachy z domów, a drzewa w ogrodzie królowny jak trzcina zginały się do samej ziemi. Błyskawice krzyżowały się na czarnem niebie, grom huczał bezustanny, zdawało się, że chyba świat pęka na drobne szczątki.

Przed pół nocą otworzyło się okno księżniczki i wyleciała z niego smutna, blada jak płaszcz biały, który natychmiast wicher por-

wał w górę i z wściekłością szamotał nim na wszystkie strony. A nieznajomy, lecąc tuż koło niej, bił ją różgami tak mocno, że krople krwi padały niby deszcz na ziemię. Osłabła też nakoniec i już prawie lecieć nie mogła, gdy stanęła przed górą.

— Straszna burza i grad — rzekła, otrząsając się w proggu — jak żyję, nie dokuczyła mi tak niepogoda.

— I dobrego bywa za wiele — odparł tajemniczo czarноксіężnik.

Wtedy opowiedziała mu o drugiej szczęśliwej próbie Janka. Jeśli jeszcze raz zgadnie, zostanie jej mężem, a wtedy... kto wie, co z nią zechce zrobić...

— Nie zgadnie — rzekł czarownik — już moja w tem głowa. Chyba, że mocniejszym jest ode mnie. Ale tego się nie obawiam. Bawmy się więc wesoło.

Wziął królownę za ręce i zaczęli tańczyć pośród małych koboldów i karzełków z błędnymi ognikami na czapeczkach. Cały dwór tańczył także, ogniste pająki podskakiwały wesoło na ścianach, z kąta brzmiała szarańcza, sowa biła się po brzuchu, nietoperze uderzały cienkimi skrzydłami, słowem, bal był, co się zowie.

Nakoniec oznajmiła królowna, że czas na nią wracać do domu. Czarownik postanowił

sam ją dzisiaj odprowadzić dla większego bezpieczeństwa.

Lecieli więc przez burzę i pioruny, a przyjaciel Janka bił ich tak gorliwie, że połamał wszystkie trzy różgi. Jeszcze takiego gradu nie kosztował i czarnoksiężnik.

Przed samem oknem pożegnał nakoniec księżniczkę i szepnął jej do ucha: — Myśl o mojej głowie.

Lecz nieznamy usłyszał te słowa i gdy księżniczka zniknęła za oknem, pochwycił czarownika z całej siły za brodę i szablą uciał mu głowę tak prędko, że niegodziwiec sam nawet nie miał czasu spostrzedz, kiedy się to wszystko stało. Szkaradny tułów rzucił potem w głąb jeziora rybom na pożarcie, a głowę opłukał w wodzie, związał w chustkę od nosa i zabrał z sobą do oberży, gdzie spokojnie spać się położył.

Nazajutrz oddał węzełek Jankowi i zapowiedział, aby go nie rozwiązywał, dopóki go królowna nie zapyta, o czem sobie pomyślała.

W królewskiej sali było dziś tak pełno, że dygnitarze państwa deptali sobie po odciśkach i mimowolnie popychali się nawzajem. Radycy siedzieli na swoich fotelach z miękkimi poduszczkami pod głową, król sam miał nową suknię, a złote berło i korona były świeżo wyczyszczone i błyszczały z daleka.



Wszystko też wyglądało uroczyście, tylko królewna była strasznie blada i ubrała się w szaty żałobne.

— O czym myślę? — spytała Janka głosem drżącym.

On rozwiązał chusteczkę i sam się przestraszył szkaradnej głowy czarownika. Cały dwór zadrzał i zasłonił oczy, a księżniczka, jak skamieniała, długo jednego słowa przemówić nie mogła.

Podniosła się nakoniec i podała rękę Jan-kowi.

— Zgadłeś — rzekła dziwnym głosem — jesteś moim panem. Dziś wieczorem nasze wesele.

— Dzięki Bogu — zawołał stary król uszczęśliwiony. — Dożyłem przecie tego dnia upragnionego!

Wszyscy krzyknęli: — Wiwat!

Na ulicach dała się słyszeć muzyka, odezwały się dzwony kościelne, cukiernicy pozdejmowali czarną krepę z ciastek, wszędzie panowała radość i wesele. Na rynek wyniesiono trzy pieczone woły, nadziewane kurczętami i kaczkami, i każdy mógł sobie odkrajać kawałek i jeść albo zabrać do domu. Fontanny napełnione winem, a piekarze każdemu, kto kupował bułkę za dwa grosze, dodawali sześć sucharków i ciastko z rodzynekami.

Wieczorem całe miasto oświetlono, żołnierze strzelali z armat, a mali chłopcy z kapiszonów. Na zamku jedzono, pito, trącano się pułkami, skakano i tańczono. Damy księżniczki i piękni dworzanie śpiewali na przemiany nikt rozmawiać nie mógł spokojnie z powodu wielkiego hałasu.

Ale królowna nie kochała Janka, choć została jego żoną, i przyjaciel jego zauważył zaraz, że czary z niej dotąd nie zostały zdjęte. Więc dał Jankowi kilka kropel płynu w kryształowej buteleczce i trzy małe piórka ze skrzydeł łabędzi.

— Każ przygotować przed jej łóżkiem dużą wannę z wodą — rzekł przytem — włóż w nią piórka i wlej ten płyn przezroczysty, a kiedy rano żona twoja się przebudzi, pchnij ją tak zręcznie, żeby wpadła prosto do wody. Niech się w niej z głową trzy razy zanurzy, a władza czarownika nad nią zniknie i będziecie oboje szczęśliwi.

Janek wykonał wszystko, co mu przyjaciel poradził. Królowna krzyczała głośno i po pierwszym zanurzeniu zmieniła się w czarnego łabędzia i oczyma błyszczącymi, jak płomień. Po drugim zanurzeniu łabędź stał się biały i tylko czarna obrączka pozostała mu na szyi. Janek przeżegnał się i po raz trzeci zanurzył ptaka w wodzie, a wtedy łabędź zamie-

nił się w księżniczkę, stokroć piękniejszą, niż była poprzednio.

Ze łzami w oczach dziękowała ona Jankowi, że ją wybawił od czarów, i powiedziała, że kocha go nad wszystko w świecie.

Nazajutrz ustanowiono dzień przyjęcia i państwo młodzi od samego rana przyjmowali życzenia i powinszowania. Pierwszy złożył je stary król ze swoim dworem, potem przychodzili urzędnicy, obywatele, wojsko, kupcy i przemysłowcy, słowem, nie było końca tej procesyi.

Towarzysz podróży Janka przyszedł także z małym tobołkiem i kijem podróżnym, widocznie w dalszą drogę się wybierał. Ale Janek, wzruszony, rzucił mu się na szyję, prosząc, aby z nimi pozostał na zawsze, gdyż nigdy nie zapomni, ile mu zawdzięcza.

— Nie mogę — odrzekł wtedy nieznajomy, łagodnie potrząsając głową — czas mój minął. Spłaciłem dług i muszę powracać do siebie. Czy pamiętasz w kapliczce tego nieboszczyka, którego chcieli skrzywdzić dwaj niedobrzy ludzie? Oddałeś wszystko, coś miał, by zapewnić mu spokój w grobie. Ja tym nieboszczykiem jestem.

I w tejże chwili zniknął.

Wesele królowny trwało cały miesiąc. Młodzi byli szczęśliwi i kochali się bardzo, a

stary król dożył wielu dni przyjemnych, huśtając na kolanach małe wnuki i pozwalając im bawić się berłem i jabłkiem. Czasem tylko miał wielki kłopot, kiedy się napierały koniecznie korony.

Ale tego nie wolno było się dotykać.

A potem Janek został królem i panował szczęśliwie, długo, razem z żoną.

---

# Królowa Śniegu.

## I. O czarodziejskiem zwierciadle.

No, a teraz baczność!

Zaczynam! a jak dojdziemy do końca bajeczki, więcej będziemy wiedzieli, niż na początku!

Był sobie pewien czarownik, i to nie lada jaki, jeden z najgorszych, krótko mówiąc, dyabeł wcielony!

Otóż pewnego dnia ogromnie się ucieszył, sporządził bowiem lustro, które było takie dziwne, że wszystkie dobre i piękne rzeczy, co się w niem odbijały, nikły prawie zupełnie, a przeciwnie wszystkie złe i brzydkie stawały się jeszcze gorszymi. Najpiękniejsze łąki, pola i lasy wyglądały w lustrze, jak talerze z gotowanym szpinakiem, a z najlepszych ludzi robiło się poprostu coś obrzydliwego: albo stawali na głowach bez kadłubów, albo mieli twarze tak wykrzywione, że ich niepodobna było poznać; najmniejszy pryszczyk albo pieg wyglądał w lustrze, jak ogromna plama na nosie lub na czole.

Dyabeł utrzymywał, że to bardzo śmieszne.

Wszyscy zaś słudzy jego i przyjaciele nie mogli się naopowiadać o wielkim cudzie, który pojawił się na świecie. Zaczęli odbywać z tem lustrem podróże po wszystkich lądach i morzach, aż wreszcie nie było już na ziemi ani kraju, ani człowieka, coby w niem nie został wykrzywiony i zeszpecony. Nakoniec postanowili dostać się także do nieba, żeby dokuczyć aniołkom, które tam mieszkają. Im wyżej jednak wznosili się ku niebu, tem bardziej trzęsło się lustro, tak iż zaledwie zdołali utrzymać je w rękach, aż wreszcie zadrgało tak silnie, że spadło na ziemię, gdzie rozbiło się i rozproszyło na mnóstwo setek tysięcy i jeszcze więcej kawałków. Teraz dopiero zaczęło się prawdziwe nieszczęście, niektóre bowiem z tych kawałków, drobne, jak najmniejsze ziarnko piasku lub maku, rozleciały się po całym świecie i gdy komu wpadły do okna, to już w niem zostawały na zawsze; więc ludzie wszystko widzieli na opak i w każdym, choćby najpiękniejszym przedmiocie dostrzegali tylko to, co było najgorszego, bo najmniejsza nawet skorupka tego lustra była równie szkodliwa, jak i całe zaczarowane zwierciadło. Innym nieszczęśliwym ludziom odrobinka lustra wpadła

do serca, a z tego wynikały najstraszniejsze i najsmutniejsze rzeczy, serce bowiem biedaków robiło się od razu zimnem, niby bryła prawdziwego lodu. Z większych skorup porobiono gdzieniegdzie szyby do okien, ale przez te szyby przykro było patrzeć nawet na swoich najlepszych przyjaciół. Inne kawałeczki osadzano w okularach, więc źle się działo, kiedy kto takie okulary włożył na nos, chcąc się czemuś dobrze przypatrzeć, bo właśnie widział wtedy źle i fałszywie.

Dyabeł zaś śmiał się z tego tak silnie, aż mu się ogromne brzuszysko trzęsło, bo te wszystkie smutne wypadki i nieszczęścia ludzkie łechtały go mile po jego szatańskim sercu. A tam, na świecie, małe cząsteczki niedobrego szkła unosiły się ciągle w powietrzu....

A teraz posłuchajmy innej bajki:

---

## 2. O JANKU I MARYSI.

W pewnem wielkiem mieście, gdzie tyle jest domów i tylu mieszkańców, że brak miejsca na to, by każdy człowiek mógł posiadać choćby najmniejszy ogródek, i gdzie z tego powodu po większej części ludzie zadowalać się muszą kwiatkami w wazonikach, mieszkało dwoje ubogich dzieci, które miały ogródek



większy od zwyczajnej doniczki. Nie były one rodzeństwem, ale tak się kochały, jak brat i siostra. Rodzice ich mieszkali na jednej z wązkich uliczek miasta, tuż obok siebie, w dwóch izdebkach pod strychem; dach jednego domu dotykał prawie dachu drugiego domu, rynna zaś łączyła oba budynki. W każdym z tych domów, przy samym dachu, było małe okienko, a kto miał dosyć odwagi, mógł przejść po rynnach z jednego okna do drugiego.

Rodzice tych dzieci mieli duże, drewniane skrzynie, w których rosły różne warzywa, kwiaty, oraz dwa krzaki róż. Raz przyszła tym ludziom myśl do głowy, żeby owe skrzynie postawić na gzymsach, tak, iż z jednego okna dochodziły prawie do drugiego i wyglądały, niby zagony, obsiane kwiatami. Łodygi groszku i powoju wisiały po obu stronach skrzyni, a krzaczki róż bujały w długich gałązkach, otaczając okna i pochylając się ku sobie. Ponieważ skrzynie stały bardzo wysoko, a dzieci wiedziały, że im włązić na nie nie wolno, siadały więc tylko na małych stołeczkach w oknie i bawiły się z sobą, oddychając wonią róż i patrząc na malutki ogródek wiszący.

Kiedy nadeszła zima, robić już tego oczywiście nie mogły. Okna częstokroć zupełnie zamarzały; wtenczas jednak dzieci grzały przy

piecu trzygroszniaki i tak rozgrzane przykładały do białej szyby, na której powstawały równe, okrągłutkie otworki, a przez nie widać było piękne, wesołe oczy, po jednym z każdego okna.

To mały chłopczyk i mała dziewczynka spoglądali na siebie z daleka.. On nazywał się Janek, a ona Marysia. W lecie od razu przez okno mogli się dostać jedno do drugiego, w zimie zaś musieli to schodzić na dół, to wdrapywać się na górę, co było dosyć męczące.

Na dworze wali śnieg.

— To są białe pszczoły, które się teraz właśnie wyroiły z ula! — rzekła stara babka.

— Czy i one mają swoją królowę? — zapytał mały chłopczyk, bo wiedział, że prawdziwe pszczoły mają królowę.

— A jakże! — odpowiedziała babka. — Królowa tam lata, gdzie rój najgęstszy! Jest ze wszystkich największa i nigdy nie spada na ziemię, lecz wlatuje znów do czarnej chmury. Nieraz o północy fruwa po ulicach miasta i zagłada do okien, które natychmiast jakoś dziwnie zamarzają, jakby je posiano kwiatami.

— A tak! tośmy nieraz widzieli! — rzekły dzieci i uwierzyły, że to prawda.

— A czy Królowa Śniegu może wejść do pokoju? — zapytała dziewczynka.

— Niech tylko przyjdzie! — zawołał chłopiec — zarazbym ją posadził na piecu, toby się spaliła.

Ale babunia pogłaskała go po głowie i zaczęła opowiadać im bajeczkę.

Wieczorem, gdy mały Janek był już na wpół rozebrany, wlaź na krzesło i wyjrzał przez mały trygroszniakowy otwór. Na ulicy zaczął padać śnieg, a jeden największy płat zawisł na brzegu skrzyni kwiatowej. Płatek ten rósł coraz bardziej, zmieniając ciągle kształty, aż w końcu stał się kobietą, ubraną w najcieńszy biały muślin, utkany z mnóstwa śnieżystych gwiazdeczek. Była ona delikatna i piękna, nawet bardzo piękna! całe jej ciało jednak składało się z lodu, z gładkiego, iskrzącego się, lecz zimnego lodu! A mimo to żyła. Oczy jej lśniły, niby dwie jasne gwiazdy, ale patrzyły tak jakoś dziwnie, martwo i smutno, że aż się Jankowi zimno zrobiło. Nachyliła się do okna i dała znak ręką. Mały chłopczyk zląkł się okropnie, zeskoczył z krzesła i zdawało mu się, że w tej samej chwili jakiś olbrzymi biały ptak przeleciał koło szyby.

Nazajutrz mróz był trzaskający — a potem przyszła odwilż i zjawiała się wiosna: słońce świeciło, drzewa puściły liście, jaskółki lepiły sobie gniazdka, ludzie otwierali okna, a nasze dzieci siedziały znów w swoim wiszącym

ogródku, wysoko ponad wszystkiemi piętrami.

Róże tego lata kwitły przepysznie; mała dziewczynka nauczyła się na pamięć pieśni, którą czasami nuciła babka, a w której także była mowa o różach, więc, myśląc o własnych swoich kwiatach, śpiewała małemu chłopczykowi:

O, sercu najmilsza, różyczko kochana,  
Pól, sadów,, ogrodów ozdobo!  
Barw krasą jaśniejesz i wonią-ś owiana —  
Kwiat żaden nie zrówna się z tobą!

Ach! róży, ach! róży!  
Wśród ziemi rozłogów,  
W tej życia podróży,  
Tak wiele jest głógów!  
Ach! róży, ach! róży!

Młodzieniec po górach, przepaściach, dolinie  
Przebiega po kwiaty na wianki,  
Lecz z kwiatów najmilszą jest róża dziewczy-  
Różyczką wieńcz skronie kochanki! [nie,

Ach! zerwij ją świeżą  
I miłą i ładną,  
Nim gromy uderzą,  
I listki odpadną,  
Ach! zerwij ją świeżą!

I dziatki trzymały się za ręce, całowały różyczki, patrzyły w jasne słońce i śmiały się do niego.

Prześliczne to były dni letnie; a jak tam pięknie pachniały świeżo rozwinięte kwiaty róży!

Pewnego dnia Janek i Marysia siedzieli i oglądali książkę z obrazkami, w której były same zwierzęta i ptaki; wtem — na zegarze kościelnym wybiła właśnie godzina piąta — Janek zawołał: “Aj! Aj! Zakłuło mnie strasznie w sercu i coś mi wpadło do oka”.

Mała dziewczyna objęła go za szyję, on mrugnął parę razy oczyma; nie! nie nie było widać!

— Mnie się zdaje, że już wyleciało! — powiedział. — Ale nie, nie wyleciało, gdyż była to właśnie owa z jednych szkaradnych skoruppek szklanych, co się rozprysły po świecie z brzydkiego czarodziejskiego, dobrze wam pewno jeszcze pamiętnego zwierciadła, które wszystko dobre i piękne robiło złem i brzydkiem a w którym tylko rzeczy okropne i wstrętne widać było wyraźnie. Biednemu Jankowi wpadły takie dwa drobne ułamki lustra: jeden w oko, a drugi prosto w samo serce. Otóż serce chłopczyka stało się od razu zimną bryłą lodu. Bólu już wprawdzie nie czuł, ale kawałek obrzydliwego szkła tkwił w środku serca.

— Czego becysz? — zapytał szorstko Marysi. — O, jakże teraz nieładnie wyglądasz! Mnie już nie nie jest. Pfe! — zawołał od razu

— ta róża robaczywa! Patrzno! ta znów zupełnie zwiędła! Właściwie te róże są bardzo brzydkie! Podobne do skrzyni, w której rosną. To mówiąc, kopnął nogą skrzynkę i zerwał obie róże.

— Janku! co ty robisz? — zawołała Marysia; on zaś, widząc, jak się dziewczynka złąkła, zerwał jeszcze jedną różę i wskoczył do swojego okna, zostawiając małą, ładną Marysię, drżącą z przestachu.

Gdy później przyszła do niego z książeczką, on jej powiedział, że te obrazki dobre są chyba dla dzieci przy piersi, a kiedy babunia opowiadała bajeczkę, on zawsze we wszystkim znalazł jakieś "ale". Jeżeli miał sposobność, to, wykrzywiając się, szedł za pocziwą babcią, kładł okulary na nos i udawał jej mowę. Robił to nawet dość zabawnie, więc z początku ludzie się śmiali, ale wnet nauczył się przedrzeźniać wszystkich mieszkańców z sąsiedztwa, naśladowując to tylko, co było w nich śmiesznego i brzydkiego, a ludzie wtedy mówili: to bardzo zły chłopiec ten Janek. I rzeczywiście zrobił się z niego niedobry chłopiec. A im był starszy, tem stawał się gorszym. Nie kochał nikogo, prócz siebie: ani ojca, ani matki, ani babuni, ani dobrej małej Marysi. Nie lubił także swoich towarzyszy szkolnych i sąsiadów. Taka obojętność na wszystko, co

człowiek kochać powinien, jest rzeczą bardzo naganną i brzydką, Janek więc stał się naprawdę niedobrym chłopakiem, ale w gruncie rzeczy nie on był temu winien, tylko owo zaczarowane szkiełko, które mu wpadło w oko, i to drugie, co mu się wgryzło w serce. Dlatego też lubił często robić na złość małej Marysi, która go jednak z duszy serca kochała.

Pewnego razu, w zimie, przyszedł Janek w dużych rękawicach, z saneczkami na plecach i z daleka już wołał do Marysi: “Mama mi pozwoliła pojeździć sobie po rynku, gdzie się bawią chłopcy!” i, mówiąc to, zbiegł ze schodów.

Na rynku najśmielsi chłopcy przywiązywali swoje saneczki do sanek włościańskich, lub do innych pojazdów, i jechali potem z nimi spory kawałek drogi. Była to bardzo piękna zabawa. Gdy się tak w najlepsze bawili, nadjechały duże, białe sanie, w których siedział ktoś otulony w sute białe futro i w białej czapce na głowie. Sanie dwa razy objechały dokoła rynku, a Janek przywiązał do nich z tyłu swoje małe saneczki i pojechał za nimi. Konie zaczęły biec coraz szybciej i skręciły w boczną ulicę, a osoba, jadąca w saniach, odwróciła się i uśmiechnęła uprzejmie do Janka, jakby go znała od dawna, a ile razy chłopczyk chciał odwiązać saneczki, tyle razy podróżny uśmiechał się znowu i — Janek zostawał na swoim



miejscu. Tak przejechali przez całe miasto do mostu, a przez most za rzekę i za roгатki. Kiedy już byli na polach za miastem, zaczął padać tak gęsty śnieg, że Janek nie mógł dojrzeć własnej ręki. Teraz już puścił sznurek i chciał się odczepić, ale napróżno, bo małe jego saneczki były jakby przymarznięte do dużych sani i sunęły naprzód pędem wichru. Przestraszony chłopiec zaczął głośno wołać, ale nikt go nie słyszał; śnieg walił coraz gęstszy, a sanie ciągle pędziły i pędziły. Przerażony Janek chciał zmówić pacierz, lecz ze strachu zapomniał go zupełnie, i ciągle tylko przychodziła mu na myśl tabliczka mnożenia.

Płaty śniegu zwiększały się coraz bardziej, aż w końcu wyglądały, jak duże białe kury. Raptem sanie stanęły, a jadąca w nich osoba powstała. Futro jej i czapka składały się całkiem ze śniegu; była to kobieta wysoka, wysmukła i lśniąca biała — była to “Królowa Śniegu.”

— Ostrośmy jechali! — rzekła — ale po co masz marznąć. Otul się w moje białe niedźwiedzie.

To mówiąc, posadziła Janka obok siebie w saniach i przykryła go futrem, a jemu się zdawało, że zapada w miękką śnieżną górę.

— Czy ci jeszcze zimno? — spytała i pocałowała go w czoło. Pocałunek ten był zim-

niejszy od lodu i zaraz wniknął mu w sam środek-serca, które przecież, jak wiemy, już się przedtem zmieniło do połowy w lodową bryłę. Janek był pewnym, że umiera, trwało to jednak tylko chwilę, bo zaraz jakoś zrobiło mu się lepiej i nie czuł wcale zimna wkoło siebie.

— Moje saneczki! — zawołał — zabierz także moje saneczki. O ulubionej swojej zabawie pamiętał bardzo, reszta go niewiele obchodziła. Przywiązano więc saneczki do jednego z białych kurczątek, które leciało tuż za dużymi saniami z ciężarem na grzbiecie. Królowa Śniegu raz jeszcze pocałowała Janka w same usta, i w tej chwili zapomniał on o małej Marysi, o babce i matuli, i o domu, w którym się urodził i wychował, i o całym mieście wraz ze wszystkimi jego pocziwymi mieszkańcami i wesołemi ulicami.

— Już cię więcej całować nie będę — rzekła Królowa — bobym cię zacałowała na śmierć!

Janek spojrział na nią. Była niezmiernie piękna; nikt na świecie nie miał chyba rozumniejszej i gładszej twarzy. Teraz już nie wydawała mu się tak straszną, martwą i zimną, jak wówczas, kiedy siedziała za oknem i kiwała na niego ręką. Dzisiaj podobała mu się bardzo, i nie bał jej się wcale. Opowiedział Królowej, jaki jest mądry, i jak dobrze umie czytać i ra-

chować. Królowa zaś patrzyła na niego swemi błyszczącymi jak lód oczyma i uśmiechała się ciągle. Wreszcie wzięła go na ręce i wzleciała z nim razem wysoko, wysoko... I tak przelatywali oboje ponad górami i lasami, morzami i łądami, a pod nimi zimny wichur huczał i szumiał, wyły głodne wilki i błyszczał biały śnieg, nad którym znowu unosiły się, kracząc, czarne jak węgiel, wrony i kruki, a wysoko w górze jaśniał duży, okrągły księżyc.

---

### 3. O OGRODKU U STAREJ KOBIETY.

Co się działo z małą Marysią po ucieczce Janka?

Gdzie on zginął? Nikt tego nie wiedział i nikt też nie umiał dać zadowolającej odpowiedzi na liczne pytania stroskanych rodziców i domowników. Chłopcy tylko mówili, że widzieli, jak Janek przywiązał swoje saneczki do ogromnych białych sani, które wjechały w jedną z bocznych uliczek i stamtąd podążyły do żelaznego mostu. Ile tam łaź wylano w małych izdebkach pod strychem! Marysia płakała i płakała bez ustanku; potem wszyscy mówili, że Janek już pewno nie żyje, że spadł z mostu i utonął w rzece. Smutneż to były, smutne dni zimowe!

Wreszcie nastąpiła wiosna i słońce zaczęło znów świecić nieco mocniej.

— Niema Janka, niema! już nie żyje! — wołała mała Marysia.

— Ja temu nie wierzę! — odpowiadało światło słoneczne.

— Niema go! już nie żyje! — mówiła do jaskółek.

— My temu nie wierzymy — odpowiadały jaskółki, aż w końcu przestała temu wierzyć i Marysia.

— Włożę dziś nowe, jasne buciki, których Janek nigdy jeszcze nie widział, a potem pójdę do rzeki i jej się o niego zapytam.

Było to bardzo rano, więc pocałowała stababunię, śpiącą jeszcze w łóżku, zeszła na dół do rzeki, która właśnie, z powodu wiosennych roztopów, wezbrała bardzo wysoko.

— Czy to prawda, żeś mi zabrała mojego Janka? — zapytała. — Jeżeli mi go oddasz, podaruję ci moje jasne buciki.

I zdawało się jej, że bystre nurty wody dziwnie się do niej jakoś uśmiechają; zdjęła więc swoje ulubione jasne buciki i cisnęła je do wody. Upadły tuż przy samym brzegu i fale znów je na brzeg wyrzuciły. Rzeka nie chciała przyjąć ofiary małej dziewczynki, nie mogąc jej zwrócić w zamian Janka, którego, jak wiemy, wcale w swych głębiach nie miała.

Marysi jednak się zdawało, że pewno wrzuciła buciki za blisko ładu, wlaźła więc do czółenka, co się opodal bujało na falach, i stamtąd z całej siły cisnęła trzewiczki do wody. Czółenko atoli było bardzo lekko przywiązane, gdy się więc mocniej chybotać zaczęło pod krokami Marysi, oderwało się nagle i odbiło od brzegu. Kiedy mała dziewczynka to spostrzegła i na ziemię chciała wyskoczyć, było już za późno, czółno bowiem o łokieć przeszło odbiło od ładu i, porwane silnym prądem wezbranej rzeki, płynęło coraz szybciej i dalej.

Mała Marysia przełękała się okropnie i zaczęła płakać, ale nikt jej, prócz wróbli, nie słyszał, a wróble przecież nie mogły wynieść dziewczynki z czółenka, latały więc tylko wzdłuż brzegu i śpiewały, by ją pocieszyć: “tuśmy, tu! tuśmy, tu! nie bójże się ni-i-i-ie!” Czółno pędziło z wodą, a mała Marysia siedziała już spokojnie; za nią płynęły jasne buciki, ale nie mogły dogonić lekkiego czółenka, które bardzo prędko mknęło po fali.

Pięknie było po obu brzegach rzeki: śliczne kwiaty, stare drzewa i puszyste łąki, na których pasły się krowy i owce, ale nigdzie ani śladu człowieka.

— Może mnie woda poniesie do mojego Janka — pomyślała Marysia i spojrzała weselej dokoła siebie, przypatrując się pięknym

zielonym brzegom. Wtem dopłynęła do dużego ogrodu, pełnego drzewek wiśniowych, ocieniających mały domek z dziwnymi czerwonymi i niebieskimi okienkami. Czółno płynęło coraz wolniej, wolniej, aż wreszcie przybiło zupełnie do lądu.

Marysia zaczęła wołać, a z domku, stojącego w ogrodzie, wyszła staruszka z kijem w rękę, w dużym, słomianym, pomalowanym w kwiaty kapeluszu na głowie.

— Biedne dziecko! — rzekła staruszka — jakim sposobem dostałaś się na tę wielką, bystrą rzekę, co cię tak daleko od domu uniosła?

Potem staruszka weszła do wody, zakrzywionym kijem uchwyciła czółno, przyciągnęła je do brzegu i pomogła Marysi wyjść na ląd. Marysia ucieszyła się bardzo, czując znów twardą ziemię pod nogami, ale bała się trochę nieznanym staruszki.

— Chodźże i powiedz mi, kto jesteś i jakim sposobem tutaj się dostałaś? — zapytała stara. Marysia zaczęła jej opowiadać wszystko po kolei, a staruszka kiwała tylko głową i mruzczała: Hm! hm! Gdy Marysia skończyła opowiadanie, zapytała staruszki, czy czasem nie widziała gdzie małego Janka. Staruszka odrzekła, że dotąd wprawdzie jeszcze tędy nie przejeżdżał, ale niezawodnie prędzej, czy później, przyjedzie, żeby się więc Marysia nie

smuciła, a lepiej skosztowała wisienek i obejrzała kwiatki. Potem wzięła dziewczynkę za rękę i zaprowadziła do małego domku, którego drzwi starannie za sobą zamknęła.

Okienka były bardzo wysokie, o szybach czerwonych, żółtych i niebieskich, przez które światło dzienne dziwnie jakoś zabarwione wchodziło do izby, gdzie na stole leżały najpiękniejsz wiśnie. Marysia jadła ich tyle, ile jej się podobało, bo staruszka wyraźnie na to pozwoliła. Podczas gdy dziewczynka jadła, staruszka rozczesala jej włosy złotym grzebieniem i rzekła: "Od dawna już pragnęłam mieć taką małą, kochaną dziewczynkę, teraz przekonasz się, jak ci tu u mnie będzie dobrze!" A w miarę tego, jak rozczesywała włosy Marysi, małeńka coraz bardziej zapominała o Janku, staruszka bowiem czesała ją zaczerpniętym grzebieniem. Skończywszy czesanie, poszła do ogrodu i uderzywszy swym kijem wszystkie kwitnące cudownie krzaki z różami, które też zaraz zapadły głęboko pod ziemię, tak, że nawet ślad nie pozostał na miejscu, gdzie stały przed chwilą. Stara robiła to dlatego, że się bała, że, jak Marysia zobaczy róże, przypomni sobie swoje własne kwiaty, swój dom, babunię i małego Janka, zatęskni za nimi znowu i ucieknie od niej, by szukać ukochanego chłopczyka po świecie.



Wprowadziła Marysię potem do ogrodu. Jak tam pachniało i błyszczało wszystko! Co za kolory, wonie i kształty! Kwiaty wszystkie, o jakich tylko pomyśleć można, kwitły tu jednocześnie. Marysia z radości podskoczyła do góry i bawiła się, dopóki słońce nie zaszło za czerwieniejącymi drzewkami wiśniowemi, a na noc dała jej staruszka piękne łóżeczko z czerwoną atłasową kołderką i z powłóczkami na poduszkach, haftowanemi w różnokolorowe fijołki, i dziewczynka leżała na nich i spała, jakby jaka królewna.

Nazajutrz znowu bawiła się kwiatkami w ciepłym świetle słonecznym, i tak mijały dni, jedno po drugich. Marysia знаła już prawie każdy kwiatek, lecz aczkolwiek ich było bardzo, bardzo dużo, zdawało jej się ciągle, że brak pomiędzy nimi jednego, chociaż nie wiedziała właściwie jakiego? Pewnego dnia przypatrywała się słomkowemu kapeluszowi staruszki, na którym były wymalowane kwiaty, a pośród nich najpiękniej wyglądała wielka czerwona róża, stara bowiem, chowając wszystkie żywe róże, nie zakryła przez zapomnienie malowanych kwiatów na kapeluszu. Ale tak to się zwykle zdarza roztargnionym!

— Cóż to znaczy? dlaczego tu niema żadnej róży? — zawołała Marysia, podbiegła do

ogródka i zaczęła szukać a szukać i — nie nie znalazła, choć szukała bardzo długo i pilnie.

Zmęczona i smutna usiadła na ziemi i rzewnie zapłakała, a gdy jej łzy gorące padły na miejsce, gdzie rósł poprzednio krzaczek róży, zroszona niemi ziemia, nie mogąc dłużej utrzymać kwiatu w swojej głębi, rozsunęła się nagle i róża, śliczna, czerwona, woniejąca róża, wydobywszy się z gruntu, stanęła niespodzianie przed oczyma zdziwionej i uradowanej dziewczynki. Marysia uścisnęła i ucałowała ją serdecznie i przypomniała sobie własne róże, swój dom i małego Janka.

— Ach! jakże ja długo tu siedzę! — rzekła dziewczynka — toć przecież wyszłam po to, by szukać Janka! czy nie wiecie, gdzie on się podział? — zapytała róż. — Może już nawet, broń Boże, umarł?

— Umrzeć, nie umarł — odpowiedziały róże. — Wracamy przecież z głębi ziemi, gdzie leżą wszyscy umarli, ale Janka tam nie było.

— Dziękuję wam! — rzekła mała Marysia i poszła do innych kwiatów, zajrzała im w kielichy i spytała: — Czy wy nie wiecie, gdzie się podział mały Janek?

Ale wszystkie kwiatki stały na słońcu i myślały, każdy o swojej bajeczce, których się dużo od nich nasłuchiwała mała Marysia, żaden

jednak nie wiedział, co się stało z małym Jan-kiem.

— Biedna moja babunia! — westchnęła Marysia. — Ach! pewno tęskni za mną i martwi się o mnie tak samo, jak ja się martwię o mojego Janka. Ale niedługo powrócę do domu i Janka przyprowadzę z sobą. Na nic się nie zdało pytać kwiatów: wiedzą one tylko o swoich własnych pieśniach i wcale nawet nie odpowiadają na moje pytania.

To mówiąc, podwiązała sobie wyżej kostek sukienkę, żeby jej było łatwiej uciekać.

Drzwi domu były zamknięte, lecz Marysia póty przyciskała zardzewiałą klamkę, dopóki się same nie otworzyły, a mała dziewczynka boso wybiegła w świat szeroki. Obejrzała się trzy razy, lecz nikt jej nie gonił; nakoniec, nie mogąc już dalej biegnąć, usiadła na wielkim kamieniu, spojrzała dokoła siebie i spostrzegła, że się już lato skończyło i nadeszła późna jesień, czego w cudownym ogródku staruszki nie można było zauważyć, bo tam ciągle świeciło słońce i kwitły kwiaty ze wszystkich pór roku.

— Mój Boże! jakżem się spóźniła — rzekła Marysia. — Toć już teraz mamy jesień! O! już więcej odpoczywać nie będę!

I wstała, wybierając się w drogę.

Ach! jakże się jej małe, bose nóżki kaleczyły i męczyły! Wszystko dokoła wyglądało strasznie surowo i zimno. Długie liście wierzbowe całkiem już pożółkły, a rosa kapiała z nich w dużych kroplach i jeden listek po drugim opadał na ziemię; na dzikiej śliwie był jeszcze wprawdzie owoc, ale tak cierpki, że się aż usta ścierały od kwasu. Szaro było, ciężko i smutno na szerokim świecie!..

---

#### 4. O KSIĘŻNICZCE I JEJ MĘZU.

Kiedy się Marysia znowu zmęczyła drogą i usiadła pod drzewem, aby odpocząć, jakaś duża, szara wrona zaczęła skakać po śniegu dokoła drzewa, pod którym siedziała dziewczynka. Popatrzywszy bacznie na Marysię, wrona kiwnęła czarnym łebkiem, a w końcu wskoczyła na gałąź i zawołała:

— Kra, kra! kra, kra! — bo wiele więcej powiedzieć nie umiała, ale życzyła dobrze Marysi, i zapytała jej, gdzie to i po co wędruje tak sama jedna daleko wświat szeroki.

Mała Marysia zrozumiała bardzo dobrze te dwa smutne wyrazy: "sama jedna!" Ze łzami w oczach więc opowiedziała wronie całe swoje życie i przygody i spytała jej, czy czasem nie widziała gdzie małego Janka.

Po pewnym namyśle, wrona kiwnęła łebkiem i rzekła:

— Taaak, taaak! To może być! to może być!

— Co? czy naprawdę? — zawołała mała dziewczynka i tak zaczęła ścisnąć i całować wronę, że jej o mały co nie zadusiła.

— Powoli! powoli! — rzekła wrona. — Mnie się zdaje, że wiem... być może, iż tak jest... mały Janek... tak, tak... teraz jednak niezawodnie zapomniał już o tobie dla księżniczki.

— Alboż on mieszka u księżniczki? — spytała Marysia.

— Tak jest, posłuchaj tylko! — rzekła wrona. — Ale trudno mi jakoś rozmawiać twoim językiem. A może ty znasz wroni język? toby było bardzo dobrze.

— Nie uczyłam się jeszcze po wroniemu — odrzekła Marysia — babka moja to umiała, a nawet wcale nieźle mówiła. Szkoda, wielka szkoda, żem się tego nie uczyła.

— No, no, nie masz się czem martwić — odpowiedziała wrona — będę gadała, jak umiem, choć pójdzie mi trochę tępo. — I zaczęła opowiadać Marysi wszystko, co wiedziała, a mianowicie: że w tem królestwie, tu obok, to mieszka pewna księżniczka ogromnie mądra. Pewnego dnia postanowiła ona wyjść za

mąż; tylko, że chciała mieć męża, coby umiał odpowiadać na wszystkie pytania, a nie takiego, któryby jeno stał, jak słup, i udawał, że słucha, a wyglądał z miny na wielkiego i uczonego pana. Zebrali się więc różni zalotnicy, młodzi i starzy, ale wszyscy, jak tylko weszli do złocistego pałacu i ujrzeli księżniczkę na tronie, zapomnieli języka w gębie i dopiero wyszedłszy na ulicę, odzyskiwali przytomność i gadali znowu tak pięknie, obficie, łatwo i głośno, że aż uszy bolały. Jeden tylko młody chłopiec, podobny z postawy do Janka, nie zląkł się ani nadętych jak pęcherze lokajów, ani sztywnych jak kije żołnierzy gwardyi, ani samej nawet pięknej jak malowanie i mądrej jak Salomon księżniczki, lecz odpowiadał rozsądnie i śmiało na jej zapytania, i został przez nią wybrany.

— O, to niezawodnie Janek! — zawołała znowu Marysia — on zawsze był bardzo mądry, rachunki to robił bez namysłu, nawet bardzo trudne. Moja najdroższa, najmilsza wrono! zaprowadź ty mnie do tego pałacu!

— Hm, hm! to nie łatwe rzeczy! — odpowiedziała wrona. — Jakżeby to zrobić? Chyba się najprzód rozmówię z moim przyjacielem krukiem, który ma tam stałą posadę “nadwornego kruka”; ten nam może poradzi, bo

trzeba ci wiedzieć, że takiej małej, bosej dziewczynki, jak ty, nie puszczą do pałacu.

Wrona poleciała i dopiero późno wieczorem powróciła.

— Kra, kra! — zawołała — mój kruk kazał ci się kłaniać i przysłał tu dla ciebie mały bocheneczek chleba, który zabrał z kuchni, gdzie chleba jest dosyć, boś ty zapewne głodna.

Już to do pałacu trudno ci będzie wejść, jesteś bowiem obdarta i bosa, a gwardziści ze srebrnymi galonkami i lokaje ze złotymi napewnoby cię wyrzucili za drzwi, bo to hardy naród, ho, ho! Ale nie płacz! nie płacz! Już ty się tam dostaniesz! Mój przyjaciel kruk zna pewne boczne schodki, prowadzące do sypialni, i wie także, gdzie będzie mógł znaleźć od niej kluczyk.

Poszły więc do ogrodu, do wielkiej alei, gdzie już jeden listek po drugim spadał z lip i kasztanów, a kiedy w pałacu pogaszono światła, wrona poprowadziła małą Marysię do tylnych drzwi, zlekka tylko przymkniętych.

Ach! jak silnie drżało z obawy i z tęsknoty serduszko Marysi. Myślałby kto, że ona chce zrobić coś złego, a jej przecież szło tylko o to, by się dowiedzieć, czy to jest mały Janek, czy kto inny. On, on, niezawodnie! myślała, przypominając sobie żywo jego rozumne oczy i dłu-



gie włosy. To się dopiero uraduje, gdy ją zobaczy i gdy się dowie o tem, jak daleką i ciężką dla niego odbyła drogę, o tem, że w domu tak się wszyscy o niego martwią. Marysia cieszyła się i obawiała czegoś zarazem.

Teraz już byli na schodach, gdzie paliła się mała lampka. Na samym środku sieni stał kruk i na wszystkie strony wykręcał łebkiem, przypatrując się Marysi, która się grzecznie skłoniła, jak ją uczyła babunia.

— Moja przyjaciółka wiele mi mówiła dobrego o panience — rzekł kruk — losy panienci także mnie bardzo rozrzewniły. Racz panienska wziąć lampkę, to ja pójdę naprzód. Pójdziemy tutaj prosto drogą, bo na niej nikt nie spotkamy. Ale mam nadzieję, że gdy panienska dojdzie do godności i bogactwa,, zechcesz okazać mi wdzięczne serce.

— To się samo przez się rozumie — przerwała wrona.

Weszli nareszcie do sypialni. Tu sufit podobny był do korony dużej palmy ze szklanymi liśćmi, a na środku pokoju, na grubej łodydze ze złota, wisiały dwa łóżeczka, z których każde wyglądało, jak lilia: jedno białe, a w niem leżała księżniczka, drugie czerwone, w którym Marysia szukać miała małego Janka. Odgięła tedy jeden z listków lilii i ujrzała opaloną szyję.

—Ach! to Janek! — zawołała głośno po imieniu, poświeciła lampką w oczy a śpiący chłopczyk przebudził się, odwrócił głowę, ale niestety! — nie był to Janek! Tylko szyje mieli podobne, chociaż i mąż księżniczki był młody i przystojny. A z białej lilii mrugnęła oczkami księżniczka i spytała, co się tam stało? Więc mała Marysia zaczęła płakać i opowiedziała jej całą historję swego życia, nie zaniedbując także wspomnieć o tem, jaką przysługę chciały jej wyrządzić kruk i wrona. Księżniczka i jej mąż bardzo się litowali nad biedną Marysią.

Nazajutrz odziano ją od stóp do głowy w paradne odzienie i zapytano, czyby nie chciała zostać w pałacu na zawsze i żyć sobie po pańsku, lecz Marysia prosiła tylko o mały wózek z konikiem i o parę małych bucików, bo się znowu wybiera w świat szeroki, szukać małego Janka.

Jakoż dano jej buty, rękawiczki i mufkę, ubrano ją ciepło i ładnie, a gdy się już pożegnała i wyszła do bramy, zobaczyła nową karetkę, pięknie wyłożoną. Stangret zaś i poganiacz byli ubrani, jak prawdziwi panowie.

Wrona odprowadziła Marysię przez pierwsze trzy mile, usiadłszy obok niej w karecie. Kruk został w domu i we drzwiach trzepał skrzydełkami, gdyż od czasu, jak miał stałą

posadę przy dworze, jadał za dużo i często cierpiał na ból łebka. Tak odbyła się podróż przez trzy mile, a potem i wrona pożegnała dziewczynkę, poleciała na drzewo przydrożne i póty trzepotała czarnemi skrzydłami, dopóki dojrzeć mogła karetę, która z daleka świeciała jasno w blasku słońca.

---

## 5. O MAŁEJ ROZBOJNICZCE.

Jechali ciemnym borem-lasem, ale złociста karetka świeciła jak ogień, a to kłuło w oczy rozbójników, którzy na taki blask spokojnie patrzeć nie mogli.

— Złoto! złoto! — krzyknęli, wypadli z gęstwiny, schwycili konie za cugle, zaczęli bić małych poganiaczów, zwlekli stangreta i lokajów z kozła, a małą Marysię wyciągnęli z karety.

— Tłuściutka, zgrabniutka, orzechami wypasiona! — rzekła stara rozbójnica, która miała długą szczeciniastą brodę i brwi zwiśłe nad oczyma. Mięso ma zupełnie takie same, jak tłusty baranek, a jak ona doskonale smakować będzie! aj, aj! — To mówiąc, wydobyła świecący nóż, taki ostry, że aż strach było patrzeć. — A jej — krzyknęła nagle baba, bo właśnie jej córeczka, którą dźwigała na ple-

cach, a która była bardzo rozpustna i niegrzeczna, ugryzła ją w lewe ucho. — Ty niegodziwy bachorze! — zawołała matka i już nie miała czasu zarżnąć Marysi.

— Ja chcę, żeby się ona ze mną bawiła! — rzekła mała robójniczka, chcę, żeby mi dała swoją karekę i ładną sukienkę, oraz żeby ze mną spała w mojem łóżku! — Nie! — odparła Marysia i opowiedziała wszystko, co się jej do-  
tąd wydarzyło; przyznała się, że bardzo kocha małego Janka i chciałyby go odnaleźć.

Wtem kareta stanęła, zajechała bowiem na dziedziniec zbójckiego zamku, którego mury pęknięte były od góry do dołu. Z otwartych szpar i szczelin w ścianach wylały wrony i kruki, a ogromne psy buldogi, z których każdy wyglądał, jak jaki potwór, połykający ludzi, podskakiwały wysoko, nie szczekały jednak wcale. bo im to było wzbronione.

W ogromnej, brudnej, okopconej izbie palił się na środku kamiennej posadzki jasny ogień; pod pułapem wił się gęsty dym, szukając ujścia przez okna i szpary, przy ogniu zaś gotował się rosół w ogromnym kotle, a zające, króliki i sarny piekły się na rożnach.

— Będiesz dziś spała ze mną przy wszystkich moich zwierzętach — rzekła rozbójniczka. Potem dostały obie jeść i pić i poszły sobie w kącik, gdzie leżała słoma, przykryta

wzorzystymi kobiercami. Nad nią, na łąkach i na grzędach, siedziało przeszło sto gołębi, które wszystkie udawały, że śpią, wykręcały jednak łebki i otwierały ciekawe ślipki, ujrawszy dwie małe dziewczynki. Rozbójniczka jedną ręką objęła szyję Marysi, a w drugiej trzymała ostry nóż, przytem spała, chrapiąc tak silnie, że aż się rozlegało po izbie. Marysia za to nie mogła oczu zmrużyć, bo nie wiedziała napewno, czy będzie jutro jeszcze żyła, czy też ją zabiją. Rozbójnicy siedzieli wkoło ognia, pili i śpiewali, a stara baba, pijana już dobrze, fikała koziołki. Doprawdy, strach było patrzeć biednej, małej dziewczynce na takie dzikie i okropne rzeczy!

Wtem gołębie na grzędzie zaczęły gadać:

— Gru, gru! widziałyśmy małego Janka! Białe kurczątko dźwigało jego saneczki, a on siedział w saniach Królowej Śniegu, które przejeżdżały tuż pod lasem, kiedyśmy jeszcze były wraz z innymi młodymi gołąbkami w gniazdeczku. Królowa tchnęła na nas swym lodowatym oddechem i, prócz nas obojga, wszystkie młodziaki pozdychały. Gru, gru! gru, gru!

— Co wy tam mówicie? — zawołała Marysia — dokąd pojechała Królowa Śniegu? Czy wiecie co o niej?

— Niezawodnie musiała pojechać na północ, do krainy lodów, bo tam wiecznie zimno i wieczne trwają śniegi i mrozy. Zapytaj się o to rena, |ren, albo renifer, gatunek jelenia, żyjącego w krajach północnych i używanego do zaprzęgu|, co tu stoi przywiązany do kołka.

— Tam są śniegi i lody, tam pięknie i miło! — rzekł ren. Tam po wielkich świecących równinach skakać sobie można swobodnie! Tam Królowa Śniegu ma swój pałacyk letni, a właściwy jej zamek stoi jeszcze dalej na północy.

Nazajutrz Marysia opowiedziała małej zbójniczce wszystko, co mówiły gołębie, ta zaś zrobiła poważną minkę, kiwnęła główką i rzekła: — To wszystko jedno! to wszystko jedno! — Czy ty wiesz, gdzie kraina lodów? — zapytała się rena.

— Któżby lepiej wiedział ode mnie? — odpowiedziało zwierzę, a oczy aż mu się zaiskrzyły. Wszakżem tam się urodził i wychował, tam sobie skakałem po równinach śnieżnych.

— Słuchaj-no! — rzekła rozbójniczka do Marysi — widzisz, że wszyscy mężczyźni odeszli, tylko matka została, ale około południa napija się ona zwykle z dużej flaszki, a potem zasypia; wtenczas postaram się zrobić coś dla ciebie.

A gdy rzeczywiście koło południa stara baba napiła się z dużej flaszki i, odurzona trunkiem, zasnęła, mała rozbójniczka poszła do rena i rzekła:

— Żądam od ciebie, byś wziął nogi za pas i zaniósł tę małą dziewczynkę do pałacu Królowej Śniegu, gdzie jest mały Janek. Niezawodnie słyszał wszystko, co mi opowiadała, bo mówiła dość głośno, a tyś strzygł ciekawie uszyna!

Ren aż podskoczył z radości. Mała rozbójniczka pomogła wsiąść małej Marysi na rena i, przywiązawszy ją mocno do grzbietu zwierzęcia, rzekła:

— Masz tu oto dwa bochenki chleba i jedną szynkę, to nie będziesz głodna.

Przywiązano tedy chleb i szynkę na grzbiecie rena, mała rozbójniczka otworzyła drzwi i przywołała wszystkie psy, spuszczone z łańcuchów, potem ostrym nożem przecięła powróż i rzekła do zwierzęcia:

— Ruszajże w drogę! Ale dobrze pilnuj małej dziewczynki.

Marysia wyciągnęła do rozbójniczki małe rączki i pożegnała się z nią serdecznie, a potem ren zaczął pędzić przez płoty i rowy, przez straszny bór, przez bagna, stepy i zamrznięte morza, co tylko sił starczyło. Wilki wyły, kruki wrzeszczały, a całe niebo iskrzyło



się i błyszczało czerwono, jakby krwią oblane było.

— To moje pocziwe zorze północne! — rzekł ren — patrz-no, jak pięknie świecą!

Potem zaczął biedz jeszcze prędzej i biegł tak dniem i nocą. Kiedy już nie było chleba, ani szynki, zaleciał właśnie z Marysią do krainy lodów.

---

## 6. O STARUSZCE I JEJ KUMIE.

Nareszcie ren z małą dziewczynką na grzbiecie stanął przed nędznym domkiem, którego dach opuszczał się do samej ziemi, a drzwi były tak niskie, że mieszkańcy, chcąc niemi wychodzić lub wchodzić, musieli pełzać na brzuchach. Mieszkała tam stara Eskimoska, [Eskimosi — mieszkańcy krain północnych], która przy lampie, napełnionej tłuszczem rybim czyli tranem, gotowała ryby na obiad.

Ren, nie zwlekając długo, opowiedział starej całą historję Marysi.

— Oj! biedne wy, biedne istoty! — rzekła staruszka, — porządny jeszcze macie kawał drogi przed sobą, może z jakie sto mil w prostej linii do bieguna północnego, [biegun północny — miejsce ziemi najdalej położone na północ], bo aż tam mieszka Królowa Śniegu i

co wieczór pali sobie z zórz północnych piękne ognie. Napiszę wam kilka słów na suszonej rybie sztokfiszu, bo papieru nie mam, i dam wam adres mojej kумы, która was lepiej ode mnie o wszystkim objaśni.

Kiedy się już Marysia rozgrzała, a później najadła i napiła, staruszka napisała kilka słów na suchej rybie, powierzyła ten niezwykły list szczególnej opiece Marysi, potem zaś znów ją przywiązała do rena, który wesoło puścił się w drogę na północ. Wysoko w powietrzu iskrzyły się jaskrawe błyski i przez całą noc gorzały przepięknie rumiane zorze północne. Dojechali wreszcie do mieszkania kумы i zastukali do jej komina, bo tam nawet drzwi nie było.

Wewnątrz chaty panował upał okropny, więc też kuma Eskimoski, kobieta niskiego wzrostu i niesłychanie gruba i brudna chodziła w lekkiej odzieży. Zaraz też obluźniła małej Marysi sukienkę i zdjęła buciki i rękawice, gdyż inaczej byłoby jej za gorąco, renowi zaś kawał lodu położyła na głowie, a potem zabrała się do przeczytania listu, pisanego na suchej rybie; odczytała pismo trzy razy z rzędu i umiejac je już na pamięć, włożyła rybę do garnka, boć ta się jeszcze zdała na obiad, a kuma była bardzo oszczędna.

Potem ren znowu opowiedział historię małej Marysi, a kobieta tylko pomrugiwała małemi, rozumnymi oczyma, lecz nie mówiła ani słowa.

— Tyś bardzo mądra — odezwał się znowu do niej ren — możebyś dała małej dziewczynce taki napój, żeby dostała siły dwunastu mężczyzn i pokonała Królowę Śniegu?

— Siły dwunastu mężczyzn? — rzekła kuma — toby się nie na wiele zdało! Potem, włożywszy na nos okulary, zdjęła z półki dużą skórę, zwiniętą w kształcie trąbki i rozwinęła ją jak papier. Na skórze tej napisane były dziwne jakieś i duże litery i wyrazy, które kobieta zaczęła czytać tak gorliwie, że aż jej krople potu ściekały z czoła. Skończywszy czytanie, położyła skórę na miejscu i, rzuciwszy smutne spojrzenie na przybyszów, zamyśliła się głęboko.

Ren jednak tak usilnie i gorąco się wstawiał za małą Marysią, a dziewczynka tak błagającym, łzawym i serdecznym wzrokiem patrzyła na kobietę, że ta wstała z ławki i, pomrugując oczyma, zaciągnęła rena w kąt, gdzie, kładąc mu znowu lód na głowę, szepnęła po cichu:

— Istotnie, mały Janek jest na biegunie północnym, czyli na najdalszem i najzimniejszym miejscu krainy lodów, u Królowej Śnie-

gu, ale jemu się tam niezmiernie wszystko podoba, sądzi on nawet, że jest to najlepszy i najpiękniejszy kraj na świecie. A wszystko to pochodzi stąd, że ma ździebełko zaczarowanego szkiełka w oku i takżeż same ziarnko szklane w sercu. Potrzeba więc najprzód owe nie dobre cząsteczki szkła z niego wydobyć, gdyż inaczej nie stanie się on nigdy takim, jak inni ludzie człowiekiem i nie pokocha nic i nikogo, a Królowa Śniegu wieczną nad sercem i myślą jego posiadać będzie władzę.

— A nie mogłabyś zrobić tak, żeby Marysia otrzymała władzę nad wszystkim?

— Większej władzy i mocy nad tę, którą już posiada, dać jej nie mogę. Alboż nie rozumiesz, jaka to już ogromna potęga? Czy nie widzisz, że jej wszystkie istoty i żywioły służą? że jej pomagają i źli i dobrzy ludzie i głupie zwierzęta nawet? Boso, bez żadnych środków, bez sił, bez doświadczenia, przebiegła przecież pół świata. Czyż to nie dziwne? Nie, my jej żadnej władzy dać nie możemy, bo ona ma już władzę największą w swoim poczciwym sercu. Władza ta pochodzi stąd, że Marysia jest dobrą i niewinną dzieciną; że, nie troszcząc się o siebie, gotowa jest poświęcić życie za bliźnich, że jest wierną i stałą w miłości i przyjaźni, i więcej myśli o tych, których kocha, niż o swojej osobie. Jeżeli się sa-

ma nie dostanie do Królowej Śniegu i nie wydobędzie zaczarowanego szkła z oka i serca małego Janka, to już my jej nic nie poradzimy! O dwie mile stąd zaczyna się ogród Królowej Śniegu, zanieś więc tam małą dziewczynkę, zsadź ją przy dużym krzaku z czerwonymi jagodami, co stoi na śniegu, ale już w żadne nie wdawaj się gawędy, tylko wracaj co prędzej do mnie.

Mówiąc to, kuma wsadziła Marysię na rena, który zaczął biedz naprzód, co tylko miał siły.

— Ach! nie wzięłam bucików! nie mam rękawic! — zawołała mała Marysia, gdy jej ostry mróz dokuczać zaczął; ale ren nie śmiał już stanąć, tylko biegł dalej aż do krzaku z czerwonymi jagodami. Tutaj zsadził Marysię na ziemię i pocałował ją w usta, a dwie grube łzy ściekły mu z oczu, upadły na zimny śnieg i zamarzły; potem zerwał się na nogi i odbiegł galopem.

Tak więc w okropnym, zimnym jak lód kraju biedna Marysia została sama, bez bucików i bez rękawic. Pobieгла naprzód, jak mogła najprędzej, gdy wtem spotkała cały pułk płatów śnieżnych, które jednak nie spadały z nieba, gdyż niebo było zupełnie jasne i świeciło się krwawo od zórz północnych. Płaty śniegu latały nad samą ziemią, a im bardziej

się zbliżały, tem się wydawały większemi. Były to przednie strażę wojska Królowej Śniegu, a postacie ich dziwnymi się odznaczały kształtami. Jedne z tych płatów wyglądały, niby ogromne jeże, inne znowu, jak węzły, splecione z samych węzów, wyszczerzających jadowite zęby; niektóre miały formę małych, grubych niedźwiedzi ze sterzącą sierścią, wszystkie zaś świeciły się biało i poruszały szybko, bo to były żywe płaty śniegu.

Mała Marysia zaczęła mówić pacierz, ale mróz był tak wielki, że oddech jej, wychodząc z buzi, zamieniał się w parę. Para ta gęstniała coraz bardziej i przemieniła się w końcu w gromadkę drobniutkich aniołków, mających na głowach błyszczące hełmy, a w rączkach ostre włócznie i miecze. Z każdym słowem Marysi przybywało ich więcej, a gdy dziewczynka skończyła pacierz, otaczał ją już cały pułk tych zbrojnych aniołków, które włóczniami swemi żgały, a mieczami siekły paskudne płaty śniegu, rozbijając je i rozkruszając na tyśiączne kawałki; a mała Marysia szła ciągle naprzód śmiało i ochoczo. Aniołki głaskały ją po gołych rączkach i bosych nóżkach, a dziewczynka coraz mniej czuła zimna i biegła szybko do pałacu Królowej Śniegu.

Teraz jednak należy nam zobaczyć, co robi Janek, który, prawdę mówiąc, nie myślał

wcale o małej Marysi i ani się spodziewał, że biedaczka stoi przed pałacem na śniegu i mrozie.

---

## 7. O PAŁACU KRÓLOWEJ ŚNIEGU, ORAZ O WSZYSTKIEM, CO SIĘ TAM PÓŹNIEJ WYDARZYŁO.

Sciany pałacu Królowej zbudowane były ze śniegu i lodu, a drzwi zaś i okna z przejmujących wiatrów; znajdowało się tam przeszło sto sal i izb olbrzymich, a wszystkie takie, jakie zwiął śnieg; największa z nich miała sześć mil długości. Wszystkie te wysokie sale oświetlała zorza północna, a były one takie ogromne, puste, błyszczące i mroźne! Nigdy nie wyprawiano tu żadnych tańców i zabaw; pusto, chłodno i cicho, jak w grobie, było w pałacu Królowej Śniegu. Zorze północne paliły się tak dokładnie, że można było z góry obliczyć, kiedy staną najwyżej, a kiedy najniżej. Na środku największej sali lodowej leżało zamarznęte jezioro, popękane na tysiączne kawałki, jeden zupełnie podobny do drugiego. Na samym środku tego jeziora siadywała zawsze Królowa Śniegu, ile razy przebywała w domu.

Mały Janek był cały siny, a nawet czarny od zimna, on sam jednak tego nie czuł, bo mu Królowa wycalaowała mroźne dreszcze, a serce



jego podobne było do martwej bryły lodu. Dźwigał on ostrokańczone i płaskie kawały lodu, starając się wszelkimi siłami spojść je z sobą, zupełnie tak samo, jak małe dzieci na wsi układają koło siebie kamyczki, lub patyczki. Robił nawet z tych kawałków figury, będące całym wyrazem pisanym, lecz nigdy mu się nie udało złożyć tego jednego słowa, które koniecznie złożyć pragnął, a mianowicie słowa: “Miłość”. A Królowa Śniegu powiedziała mu kiedyś tak: “Jeżeli potrafisz ułożyć to słowo, będziesz panem swojej woli, a ja daruję ci cały świat i nowe, piękne łyżwy”. Ale Janek ani razu nie mógł ułożyć “miłości”. — “Teraz polecę do ciepłych krajów! — rzekła Królowa Śniegu — zajrzę tam do moich czarnych garnków!” Czarne garnki, to były góry, ziejące ogniem, czyli wulkany. “Pobielę je cokolwiek śniegiem”.

I odleciała Królowa Śniegu, a Janek został sam jeden w ogromnej, długiej na sześć mil, wysokiej jak najwyższa góra, a pustej zupełnie sali; przypatrywał się kawałkom lodu i myślał, siedząc tak spokojnie i nie ruszając się wcale, że mógłby kto przypuścić, iż chłopiec zmarzł na dobre.

Wówczas to właśnie mała Marysia weszła przez dużą bramę do pałacu. Wiały tu przejmujące wiatry, lecz dziewczynka zmówiła

modlitwę wieczorną i wiatry ucichły, jakby chciały zasnąć. Weszła więc do ogromnej, wysokiej, pustej a zimnej sali lodowej i ujrzała Janka. Poznała go natychmiast, rzuciła się ku niemu i uścisnęła go serdecznie, wołając:

— Janku! mój kochany, najdroższy mój Janku, nareszcie cię znalazłam!

Janek jednak siedział nieruchomy, spokojny i zimny jak lód, więc Marysia przycisnęła go do siebie i zapłakała gorącymi łzami, które, padając na piersi zaczarowanego chłopczyka, przeniknęły do jego serca, roztopiły lodową bryłę i splukały z niej kawałek szatańskiego lustra. Janek się poruszył i przyjrzał się uważniej Marysi, a ona zaśpiewała wtedy drżącym ze wzruszenia głosem:

O, sercu najmilsza, różyczko kochana,  
Pól, sadów, ogrodów ozdobo!  
Barw krasą jaśniejesz i wonią-ś owiana —  
Kwiat żaden nie zrówna się z tobą! itd.

Wtenczas Janek przypomniał sobie rodziców i babcię, i domek z izdebką, pod strychem, i całe miasto rodzinne, i szarą rzeczulkę, w której falach kąpał się w lecie, a po której łodach ścigał się w zimie, i towarzyszków, z którymi się bawił i śpiewał piękne a rzewne piosenki i wszystko, wszystko po kole! A wtedy

taka go ogarnęła tęsknota, tak mu się zrobiło smutno, tak smutno, że wybuchnął płaczem i płakał, płakał, tak długo, aż zaczarowana drobinka wypłynęła wraz ze łzami z jego oka. Spojrzał wtedy po raz drugi na Marysię i poznał ją naprawdę:

— Marysiu droga, kochana Marysiu, gdzieżeś tak długo bawiła? A gdzie ja siedziałem? — I spojrział dokoła. — Jakże tu zimno — rzecze — jak pusto, przestronno i głucho!

Zadrzał z zimna i przytulił się znów do Marysi, ona zaś naprzemiany śmiała się i płakała z radości, a wszystko to było tak piękne, że nawet zimne kawałki lodu ucieszone skakały do góry, a gdy się zmęczyły i znowu pokładły, utworzyły kształt tych liter i jego wyrazu, o którym powiedziała Jankowi królowa śniegu że jeśli go wynajdzie, wówczas zostanie panem swojej woli, a ona daruje mu cały świat i nowe, piękne łyżwy. I pocałowała Marysia Janka w twarz, a twarz jego zarumieniła się jak zorza; pocałowała go w oczy, a oczy jego zalśniły, jak gwiazdy; pocałowała go w ręce i nogi i — powstał Janek wesoły, zdrowy i dobry, jak niegdyś. Niechby nawet teraz królowa śniegu powróciła do pałacu! toć ona sama obiecała mu wolność, jeżeli wyraz “Miłość” zostanie ułożony z kawałków lodu, a tak się przecie stało: “Miłość” jaśniała wielkimi literami na powierzchni lodowatego jeziora.

Wzięli się tedy oboje za ręce i wyszli z wielkiego lodowatego pałacu, rozmawiając o babce, o rodzicach, o różach, kwitnących wysoko na dachu, i o wszystkim co się działo w ukochanem mieście. A gdzie stanęli nogą, tam wiatry uspokajały się i świeciło słońce. Kiedy zaś doszli do krzaku z czerwonymi jagodami, ujrzeli rena, który przyprowadził z sobą młodą renicę z wymionami pełnymi mleka.

Ugasiwszy mlekiem pragnienie, siedli na reny, które zaniósłszy ich najprzód do mieszkania kumy, gdzie się wygrzeli w ciepłej izbie i dowiedzieli się o najbliższej drodze do domu; potem zaś do starej Eskimoski, która uszyła im nowe suknie i przygotowała wszystko do podróży.

Ren i renica biegły obok nich do samej granicy tego kraju, gdzie pierwsza zieloność wychodziła z ziemi; Tu się pożegnały z dziećmi.

— Bądźcie zdrowi! Bądźcie zdrowi! — zawołali wszyscy.

Niedługo też zaczęły świergotać drobne ptaszki, w lesie zaś było pełno zielonych pączków, a Janek i Marysia szli, trzymając się za ręce, a im dalej szli, tem piękniejszą stawała się wiosna, tem więcej było widać kwiatów. Zbliżyli się wreszcie do miasta. Jankowi się znowu łzy zakręciły w oczach, były to jednak

ły radości. Teraz mu było dobrze, tak dobrze, że wypowiedzieć tego nie umiał, a tylko ścisnął w swej dłoni rączkę małej Marysi i przyglądał się miastu.

Niedługo weszli do domu, gdzie mieszkali rodzice i babunia i wstąpili po schodach do dobrze znajomej izdebki pod strychem. Wszystko tam jeszcze stało na tem samym miejscu, co dawniej; zegar ścienny ciągle jeszcze powtarzał, jak przedtem. Dopiero, gdy weszli w drzwi, przekonali się oboje, jak przez ten czas urosli. Przez otwarte okno róże zaglądały do pokoju, gdzie stały jeszcze dwa krzeselka dzieciinne, na których usiedli Janek i Marysia, każde na swoim, trzymając się za ręce, jak dawniej, bo o całym przepychu u królowej Śniegu najzupełniej oboje zapomnieli. Babunia siedziała, grzejąc się na słońcu, i czytała w książce do nabożeństwa, a czasem zanuciła coś półgłosem.

Janek i Marysia zajrzeli sobie w oczy i zaśpiewali dawną dziecienną piosenkę:

O, sercu najmilsza różyczko kochana,  
Pól, sadów, ogrodów ozdobo!  
Barw krasą jaśniejesz i wonią-ś owiana—  
Kwiat żaden nie zrówna się z tobą! itd.

I tak siedzieli oboje dorośli, a jednak dzieci, bo pocziwemi dziećmi były w duchu, i kochali się wzajem, kochali babunię, rodziców i

wszystkich dobrych ludzi, — a na dworze złociste słońce rozlewało dokoła dobroczynne strumienie światła i ciepła.

---

Od kolebki biegła za mną  
Czarodziejska baśń tęczowa,  
I szeptała wciąż do ucha  
Melodyjne zaklęć słowa.

. . . . .  
. . . . .

Ponad morza purpurowe,  
Ponad srebrne niosła rzeki,  
Po zwodzonym moście tęczy  
W cudowności świat daleki....

Otworzyła mi zaklęciem  
Brylantowy w skałach parów —  
I wkroczyłem raz na zawsze  
W kraj olbrzymów, widm i czarów...

**El...y.**

Porzućmy jeszcze bity gościniec wiedzy, rzeczywistości i prawdopodobieństwa i pozwólmy pobujać trochę wyobraźni w mglistej ale uroczej krainie fantazyi.

---

## Dary Karzełków.

Pewna wdowa miała córkę jedynaczkę, która bawiła się zwykle z córką sąsiada, wdowca.

Razu jednego wdowa zawołała obie dziewczynki, dała im chleba z miodem i rzekła do obcej:

— Idź, powiedz ojcu, że jeśli się ze mną ożeni, to będziesz się codzień rano myła w mleku i wino zamiast wody pić będziesz; a moja córka zawsze w wodzie się będzie myła i wodę czystą będzie piła.

Dziewczynka powróciła do domu i powtórzyła ojcu wszystko, co jej mówiła sąsiadka. Wdowiec zamyslił się i sam nie wiedział, jak ma postąpić. W końcu rzekł do córki:

— Zdejm ten dziurawy trzewik, powieś na gwoździu i wlej do niego wody. Jeżeli woda przecieknie, nie ożenię się wcale, jeśli zostanie w trzewiku, niechaj będzie jak chce sąsiadka.

Dziewczynka wypełniła wolę ojca, ale pęknięta skóra zgrubiała od wilgoci i nie przepuściła wody wcale.



Wdowiec pokiwał głową i powiedziawszy sobie, że takie jest jego przeznaczenie, udał się do sąsiadki i ożenił się z nią wkrótce.

Nazajutrz po weselu wstała macocha dosyć wczesnie i dla córki męża naląła mleka do mycia na miseczkę, a szklanke gorącego wina podała jej na śniadanie; swojej zaś córce podała szklanke czystej wody i w czystej wodzie umyć się kazała.

Ale dnia następnego już dla obu dziewcząt stała woda do mycia i do picia; a na trzeci dzień córka wdowy piła wino, myła się w mleku, a mężowska córka w wodzie się myła, wodę czystą piła.

I tak już cdtąd pozostało.

Coraz bardziej nienawidziła wdowa pasierbicy, choć ta pracowała pilnie przez cały dzień i posłusznie spełniała wszystkie jej rozkazy, nosząc wodę i drzewo, zamiatając izbę, pieląc w ogrodzie, piorąc i gotując, — gdy tymczasem córka wdowy siedziała za piecem lub przed domem na ławie, grzała się na słońcu i wymyślała coraz to nowe prace dla swej pasierbicy. Była jednak przyczyna tej nienawiści złej kobiety i jej córki; obie były bardzo brzydkie, a piękna pasierbica piękniała jeszcze bardziej i to z każdym dniem, jak różyczka, która rozwija swe pączki.

Nadeszła zima mroźna i surowa: gruby śnieg pokrył góry i doliny; drzewa białe, po-

kryte szronem, lśniły w promieniach słońca, jak osypane brylantami; w lesie nagie gałęzie uderzały o siebie, a wiatr huczał ponuro, jak zapowiedź śmierci. I zdawało się, że wszystko zmarło pod jego tchnieniem lodowatym; ani lot ptaka, ani szmer owadu, ani żaden listek zielony nie przypominały pięknej i uroczej wiosny — wszędzie było cicho, biało, pusto, zimno.

Zła macocha uszyła sukienkę z papieru, ubrała w nią pasierbicę, włożyła jej kawałek suchego chleba w koszyczek i kazała iść do lasu po poziomki.

Dziewczę spojrzało na nią z przerażeniem.

— Ależ mam! — zawołała — teraz w lesie niema poziomek, skądże ich wezmę? I dlaczego mam iść w tej sukni? Tak zimno na dworze, śnieg pokrył ziemię, mróz oddech tamuje! Po co ja pójdę?

— Śmiesz mi się sprzeciwiać? śmiesz mnie nie słuchać, niegodziwa dziewczyno! Precz mi z oczu natychmiast i żebyś mi się nie ważyła wracać bez jagód, bo cię nie wpuszczę do domu.

To powiedziawszy, za drzwi ją wypchnęła i uśmiechnęła się złośliwie, myśląc; zmarznie na mrozie w tej papierowej sukni i nie będę przynajmniej więcej patrzyła na nią.

Biedna dziewczynka zapłakała głośno, ale widząc, że to nie wzruszy złego serca macochy, uspokoiła się wkrótce i aby się rozgrzać, pobiegła prędko po śnieżystej drodze. Do lasu niedaleko było od ich chaty, ale choć oglądała się na wszystkie strony, nigdzie ani poziomek, ani nawet trawki zielonej dostrzedz nie mogła.

— Śliczny jest ten śnieg biały — pomyślała sobie — gdy patrzeć nań przez okno z ciepłego pokoju, lecz przynajmniej mając na sobie ciepłe futerko, lecz dla mnie biedaczki...

I łzy zasłoniły jej oczy, bo zdawało się, że ten śnieg biały będzie jej pościelą, na której się położy, aby już nie wstać więcej. Do domu nie śmiała wracać, mróz przejmował ją coraz bardziej, głód dokuczał i łezki marzły jak brylanty i staczały się po jej twarzy.

Nagle, w oddali pomiędzy drzewami, ujrzała chatkę. Przez maleńkie okienko widać było, że ogień pali się na kominku, więc pobiegła co tchu w tę stronę prosić dobrych ludzi, ażeby się jej rozgrzać pozwolili.

Zapukała nieśmiało, a kiedy jej wejść pozwolono, otworzyła drzwiczki maleńkie i ujrzała przed sobą trzech karzełków, siedzących przy małym stolyczku. Myślałaby, że to dzieci, gdyby nie ich twarze z brodami aż do pasa i długimi wąsami. Na głowach mieli czerwone, wysokie czapeczki, na nogach żółte buty,

które przy niebieskich kożuszkach wyglądały bardzo ładnie. Wszystko tu podobało się dziewczynce: i rumiane, wesołe twarze gospodarzy, i małe sprzęty, i przyjemne ciepło, które ją ogarnęło, gdy próg przestąpiła; nie śmiała jednak nic mówić i uśmiechnąwszy się tylko, pozdrowiła uprzejmie wszystkich trzech karzełek i, cichutko usiadłszy przed wesołym ogniem, wyjęła chleb z koszyczka i jeść go zaczęła.

— Dajże i nam kawałek — rzekł jeden z karzełek, widząc, jak smacznie zajada.

Dziewczynka była głodna, lecz ucieszyła się bardzo, że może się wywdziękzyć za gościnne przyjęcie więc spiesznie odłamała trzy kawałki chleba i nie zważając na to, że jej niewiele zostało, poczęstowała grzecznie małych ludzi.

— Moje dziecko — rzekł drugi — co tu robisz w lesie w papierowej sukience w taką mroźną zimę?

— Szukam poziomek — odparła dziewczynka; — macocha nie pozwoliła mi wracać do domu, dopóki nienazbieram pełnego koszyka.

Wtedy trzeci karzełek podał jej łopatkę, mówiąc łagodnie:

— Skoro się ogrzałeś, to idź teraz na podwórze i odrzuć tą łopatką śnieg od ściany z tamtej strony, bo całkiem drzwi nam zasypał.

Dziewczynka westchnąć nie śmiała, żeby nie pomyśleli, że niechętnie spełnia posługę; wzięła podaną łopatkę i wybiegła na podwórze.

— Jakież to dobre dziecko — rzekł jeden z karzełków, — czemże ją obdarzymy za ten chleb, którym tak chętnie podzieliła się z nami, choć sama była głodna?

— Niech codziennie będzie piękniejszą — odezwał się jeden — niech będzie zawsze niewinną i dobrą i wszyscy dobrzy ludzie niechaj ją kochają.

— Niechaj będzie bogatą — dodał drugi, — niech złoto lub drogi kamień pada z ust jej za każdym słowem.

— Niech ją zobaczy król młody i piękny i niech się z nią ożeni — szepnął trzeci. — Niechaj będzie szczęśliwą!

Tymczasem dziewczynka szybko odgarniać zaczęła śnieg od ściany domku, lecz zaledwie kilka razy odrzuciła go łopatką, ujrzała zieloną trawkę i czerwone, wielkie, dojrzałe, prześliczne poziomki. Uszczęśliwiona, obiema rączkami spieszenie zbierać w fartuszek zaczęła, a kiedy miała dosyć, wróciła do chatki, podziękowała za wszystko karzełkom i, napelniwszy po brzegi koszyczek pachnącemi jagódkami, wesoło biegła do domu.

— Dzień dobry, mamó, oto są poziomki! — zawołała, stojąc na progu, a w tejże chwili śliczna kulka złota, perła i dyament padły z ust jej na podłogę.

Zdziwiona macocha wzięła z rąk jej koszyk i wypytywać zaczęła o wszystko, a gdy pasierbica mówiła, za każdym wyrazem złoto lub drogi kamień z ust jej padał.

— Co to jest? — zawołała zdziwiona córka macochy. — Co tu rozsypujesz po podłodze? Takie skarby! Jak możesz być tak marnotrawną!

W duszy jej jednak powstała zazdrość tak gwałtowna, że postanowiła iść sama po poziomki do lasu i zdobyć podobne szczęście. Matka sprzeciwiała się temu z początku, drżąc o zdrowie i życie ukochanej córki, w końcu jednak musiała ustąpić jej naleganiom i gorącym prośbom.

Ubrała więc swoją pieszczołkę w aksamitną szubkę, podbitą futerkiem, włożyła jej na nogi ciepłe, futrzane buciki, na głowę śliczny kapturek, dała chleba z miodem na drogę i wysłała do lasu.

Dziewczynka szła powoli, bo ciepło jej było i przechadzka nie sprawiała jej żadnej przykrości; myślała przytem, coby mogła dostać od karzełek droższego niż przybrana jej siostra. Ujrzawszy zdala ich maleńką chatkę,

przyspieszyła kroku i wbiegła do środka, nie pytając o pozwolenie.

Brodaci gospodarze, jak poprzednio, siedzieli przy stoliku, grając sobie w kości. Dziewczynka na ich widok przełękła się trochę, gdyż nie miała czystego sumienia, i udając, że ich nie widzi, zasiadła przy ogniu, wyjęła z koszyka chleb i z apetytem jadła.

— Podziel się z nami, dobra dziewczynko — uprzejmie odezwał się jeden z karzełeków.

— Dałabym wam chętnie, ale jestem głodna i sama mam bardzo mało — odparła, gdyż chleb z miodem lubiła nad wszelkie przysmaki i czuła się rzeczywiście niezmiernie zgłodniałą po dość dalekiej przechadzce.

Wkrótce nasyciła się zupełnie, a że gorąco jej było, więc rzekła niecierpliwie do karzełeków:

— Przyszłam tutaj po poziomki, napełnijcie mi ten koszyczek, bo noc się zbliża i muszę się spieszyć do domu z powrotem.

— Weź pierwszej tę łopatkę i odgarnij śnieg od domu, bo go zasypał aż po okna — przemówił drugi karzełek.

Dziewczynka na to pogardliwie wzruszyła ramionami.

— Nie jestem niczyją służką! — zawołała dumnie. — Mama powiada, że nie potrzebuje



sama zajmować się żadną robotą i nie po to tu przyszłam, żeby wam usługiwać. Myślałam, że jesteście dobre, poczciwe karzełki i że mi dacie poziomek, ale widzę, że chcielibyście, a-biegła z ich chatki, aby wrócić do domu i poziomek?

— Nie mamy ich dla ciebie — odpowiedzieli razem, a rozgniewana dziewczynka wybiegła z ich chatki, aby wrócić do domu i poskarżyć się matce.

— Jakąż pamiątkę damy tej zazdrośnicy chciwej, leniwej i bez serca? — spytał po jej odejściu jeden z małych ludzi.

— Niech będzie codzien brzydszą. Niech wszystkie jej wady widocznymi będą w jej oczach i twarzy — rzekł pierwszy.

— Niech wstręt budzi we wszystkich — odezwał się drugi — niechaj z każdym wyrazem brzydki gad z ust jej wypada.

— Niechaj ją spotka wkrótce zasłużona kara, niech nie dozna szczęścia na ziemi — dodał trzeci karzełek.

A córka macochy wbiegła rozgniewana do domu, w kąt rzuciła koszyczek i zaczęła opowiadać o niegrzeczności karzełków. Wtem żaby, jaszczurki, ropuchy z ust jej sypać się zaczęły; rodzona matka z przestрахem uciekła, a szkaradne stworzenia napełniły izbę, w której lamentowała zazdrosna dziewczyna.

Od tego czasu macocha i jej brzydka córka jeszcze bardziej nienawidziły pasierbicę i choć bogaciły się codzień klejnotami, które z ust jej padały za każdym wyrazem, przemysłowały jednak, jakby jej się pozbyć i życia ją pozbawić. Dnia pewnego, gdy od mrozu drzewa pękały i dym zamarzał w powietrzu, zła macocha wybrała całą płachtę bielizny, dała dziewczynie siekiere i kazała iść do rzeki wyrąbać przerębel i prać na lodzie.

Biedna pasierbica ani jednego słowa nie śmiała przemówić, wzięła siekiere i płachtę z bielizną, wyrąbała przerębel w rzece koło mostu i prać zaczęła.

Pierze. Łzy padają na mokre chusty, ręce pękają od mrozu i krwawią białe płótno, lecz ona wciąż pierze. I nie słyszała nawet, że król z liczną świtą, jadąc przez most, zobaczył dziewczynę na lodzie i kazał zatrzymać konie.

— Co tu robisz, moje dziecię? — rzekł do niej łagodnie.

— Bieliznę piorę w rzece — odparła zmieszana, a kiedy to mówiła, rubin, szmaragd i dyament z ust jej upadły.

Król patrzy na dziewczynę, świeżą jak pączek róży, na jej załzawione oczy, zakrwawione ręce, na klejnoty, co z ust jej za każdym słowem padają, i podobała mu się bardziej, niż

wszystkie księżniczki i królowny, jakie znał dotąd.

— Czy masz rodziców, śliczne dziewczę?  
— spytał.

— Mam ojca i macochę — odrzekła nieśmiało, — ale ojciec po świecie pracy szuka, a macocha...

Nie chciała się uskarżać, więc nic nie powiedziała, ale młody król spojrzawszy na jej pokrwawione ręce i domyślił się wszystkiego.

— Czy chcesz pojechać do mnie i zostać moją żoną? — odezwał się po chwili namysłu.  
— Widzę, że pracowitą jesteś i dobrą, a piękniejszej darmobym szukał na świecie.

Dziewczyna aż klasnęła w ręce, tak się ucieszyła, lecz zaraz zawołała ze smutkiem:

— Jakże ja mogę usiąść obok króla w takiej mokrej spódniczce, tak ubogo ubrana? Czyż tak wygląda królowa?

Król uśmiechnął się na te jej słowa, sam wyciągnął do niej rękę, dopomógł wsiąść do karety, posadził obok siebie i własnym płaszczem otulił; a nim przyjechali do królewskiego zamku, tyle klejnotów leżało w karecie, że najbogatsza księżniczka nie przyniosłaby z sobą takich skarbów.

W krótkim czasie odbyło się wesele szczęśliwej pary; ojciec dziewczynki dostał miejsce na królewskim dworze, a macocha i jej

córka choć się pokazać nie śmiały, mieszkały również w pobliżu królewskiego zamku i od młodej królowej hojne otrzymywały dary.

Dobra królowa w szczęściu i radości zapomniała o wszystkim, co wycierpiała w domu, i litując się nad swoją przybraną siostrą, zmuszoną unikać ludzi z powodu swej wstętniej wady, starała się podarunkami słodzić jej życie, przejednać niechęć i zazdrość. Młody król widząc, że sprawia tem żonie radość, był grzecznym dla jej macochy, choć w duszy nie lubił szczerze tej fałszywej baby, o córce jej zaś nie wiedział zupełnie. Młoda dziewczyna nie chciała się pokazywać, więc prosiła, by o niej nie wspomniano wcale.

W rok po ślubie młody król pojechał na wojnę, bronić granic swego państwa przed potężnym wrogiem, a tymczasem królowej urodziła się córeczka. Zła macocha skorzystała z nieobecności króla, pospieszyła do zamku z córką, a gdy nie było nikogo w królewskiej komnacie, przy pomocy złej dziewczyny wyrzuciła nieszczęśliwą pasierbicę z wysokiego okna w nurty bystrej rzeki, swoją zaś córkę spieszenie przybrała w szaty królewskie i kazała jej udać chorą, by nikt nie zbliżał się do niej.

Tego właśnie dnia wieczorem król powrócił z wojny, a ucieszony widokiem ślicznego

dzieciątka, zapragnął uściskać żonę, choć macocha starała się go przekonać, że chorej królowej zaszkodzić może widzenie się z mężem. Nie mogąc mu się jednakże sprzeciwić, wpuściła go do pokoju, oświetlonego słabo jedną małą lampką. Chora z głową ukrytą w puchowe poduszki nie otworzyła oczu na powitanie męża, który też zaniepokojony jej bladością, oddalił się w milczeniu.

Około północy stara piastunka, czuwająca przy dziecku, słyszała ciche kwakanie za progiem, a gdy drzwi otworzyła, śliczna biała kaczka ze złotym czubkiem weszła do pokoju, zbliżyła się do kołyski i spytała cichym głosem:

— Czy król mój, pan mój powrócił? Ucieszył się czy zasmucił, gdy zamiast kochanej żony, znalazł dziedziczkę korony?

— Król smutny w swojej komnacie, jeszcze nic nie wie o stracie — odpowiedziała zdziwiona piastunka.

— A macocha z córką swoją gniewu się jego nie boją?

— Wszyscy śpią już w całym dworze, nikt nie czuwa o tej porze.

— O dziecino moja miła, matka cię dziś nie karmiła, w zimnej wodzie spoczywała, północnej doby czekała, by cię, utulić, nieboże, zanim ranne wstaną zorze!

To mówiąc, bieluchna kaczka wstrząsnęła piórka śnieżyste, które ją niby obłokiem zakryły, i nagle z obłoku tego wystąpiła postać królowej, wzięła dzieciątko na ręce, utuliła, nakarmiła, pieściła i całowała, potem na białej pościółce złożyła i do samej ranej zorzy słodko śpiewała, cicho płakała. A kiedy świt różowy zajaśniał na niebie, obłoczkiem się otuliła, piórkami osypała, i biała kaczka ze złotym czubkiem, kwacząc, odeszła.

Król niespokojny o żonę, od rana pospieszył do jej komnaty, zła macocha przystępu wzbronić mu nie mogła, otuliła jedynie córkę aż po oczy, by nie dostrzegł jej brzydoty.

— Jakże się czujesz dziś, kochana żono? — przemówił król serdecznie.

— Lepiej — odparła cicho, ale w tejże chwili szkaradna żaba z ust jej wyskoczyła.

— Co to ma znaczyć? — spytał przerażony monarcha.

Ale macocha więcej mówić jej nie pozwoliła, tłumacząc królowi, że to skutki choroby, które prawdopodobnie z nią razem przeminą. Prosiła także, aby się oddalił, gdyż królowa potrzebuje ciszy i samotności, aby odzyskać zdrowie.

Król poszedł zobaczyć córkę, ucieszył się jej urodą i powrócił do siebie smutny.

O północy biała kaczka ze złocistym czubkiem znów zakwakała pod progiem. Piastunka pospieszyła jej otworzyć, a ona, jak poprzednio, naprzód spytała o króla, potem o złą macochę, wreszcie nakarmiła dziecinę, kołysała ją i śpiewała aż do rannej zorzy.

Dnia następnego król chciał dłużej pozostać przy żonie, lecz wstrętne gady, które za każdym wyrazem z ust jej padały, takim go przejmowały obrzydzeniem, że posłuchał bardzo chętnie rad macochy i oddalił się znowu. Gdy jednak stanął nad kolebką dziecka, łza zaświeciła mu w oku i szepnął zasmucony:

— Dziecino biedna, co się z matką twoją stało!

Usłyszawszy to, piastunka do nóg mu padła i opowiedziała wszystko, co zaszło o północy, i czego świadkiem była. Król wysłuchał jej, rozkazał nie mówić o tem nikomu, i sam przyszedł wieczorem czuwać przy kolebce dziecka.

Gdy kaczka pode drzwiami zakwakała, piastunka otworzyła jej, jak zwykle, lecz zobaczywszy króla przy dziecinie, kaczka stanęła przy nim i zapytała cicho:

— Gdzie twoje królewskie łóżce? co tu robisz o tej porze? Czy do pierwszej tęsknisz żony? czyś już innej poślubiony?



— Jedną tylko miałem żonę, jak to serce i koronę! gdy mnie kocha, niech tu stanie, niech usłyszy me wołanie! — zawołał król grzmiącym głosem.

Kaczka się zatrzepotała, białe piórka osłoniły ją obłokiem, z poza którego ukazała się postać królowej. Król pochwycił ją za ręce i przycisnął ją do serca.

— Teraz nikt nas nie rozdzieli! — zawołał gorąco — ale biada tym, którzy pokrzywdzić cię chcieli.

Nazajutrz do pokoju mniemanej królowej wszedł król na czele książąt, dworzan i rycerzy. Zła macocha zdziwiona chciała bronić wstępu, lecz król rzekł do niej surowo:

— Na jaką karę zasługuje zdrajca, który czyha na zgubę niewinnej istoty?

— Na karę śmierci — odpowiedziała, blednąc i nie domyślając się jeszcze, co to ma znaczyć.

— Jaką śmiercią ma zginąć? — pytał dalej monarcha.

— Taką, jaką chciał zgubić swą ofiarę — odparła znowu macocha, nie rozumiejąc pytania.

Wtedy król skinął na sługi, i wtej samej chwili związano ją i jej córkę i wyrzucono przez okna do bystro płynącej rzeki, między wysokimi skałami, o które obie roztrzaskały głowy; ciała ich prąd uniósł na głębokie morze, gdzie pożarły je okrutne potwory.

---

## Janek Wyrwidąb.

W pięknej dolinie, nad srebrzystym strumykiem, u wejścia do wiecznego boru, stał samotny domek ubogiego rolnika, który mieszkał tu z żoną i maleńkim synkiem. Rolnik uprawiał ziemię, żona pilnowała dobytku i porządku w chacie, a maleńki Janek nie odstępował matki i towarzyszył jej wszędzie.

Była to bardzo szczęśliwa rodzina, choć żyli w takiej samotni, iż mały Janek nie wiedział, że więcej ludzi jest na świecie, a rodzice jego łatwo zapomnieć o tem mogli. Chłopczyk skończył już dwa lata, śliczny, zdrów jak ryba, wesoły jak ptaszek, dobry i posłuszny, pociechą był ojca i matki. Kiedy po długiej zimie nadeszła upragniona wiosna, trudno go było utrzymać przy chacie: chciał iść, gdzie niebo się kończy, gdzie lecą obłoki, gdzie żyją ptaszki i gwiazdki złociste świecą na ciemnym błękitcie. W dzień pogodny, jak tylko matka ukończyła ważniejsze prace koło gospoadrstwa, wyprowadził ją do lasu, zbierał kwiaty i roślinki, pytał o czem szumią drzewa, co wiatr opowiada i tak szedł dalej, pragnąc dojść

koniecznie, gdzie się las kończy. Co tam być może za lasem?

I szli raz tak daleko, że dolina i chatka całkiem zniknęły im z oczu, gdy nagle dwóch rozbójników wypadło z zarośli, porwali biedną kobietę i Janka, związali i zaciągnęli do jaskini, ukrytej u stóp góry za cierniowym płotem. Nieszczęśliwa kobieta daremnie ze łzami błagała o ich litość: serca rozbójników kamienne były i trwalsze od skały, w której mieli swoje schronienie.

Gdy stanęli u drzwi żelaznych, jeden zapukał w sposób umówiony; wnet otworzyły się ciężkie podwoje, i weszli do ciemnego, podziemnego korytarza który ich doprowadził do wielkiej i ponurej groty. Tu na środku, około kamiennego stołu siedziało dziesięciu zbójców; jeden stał przy ogniu, rozpalonym na olbrzymiej płycie, i widocznie gotował strawę. Ściany groty zdobiły miecze, włócznie, topory, sztylety i broń wszelaka, połyskując złowrogo przy świetle rozpalonego ogniska.

Na wiadomość o niewolnikach, herszt powstał ze swego miejsca, zbliżył się do kobiety, popatrzał na nią badawczo, a że była silna i zdrowa, powiedział jej, że jeśli zajmie się ich gospodarstwem szczerze i gorliwie, to może być spokojną, że nic tu ją złego nie spotka i razem z synem pomiędzy nimi bezpiecznie żyć

będzie mogła. Potem nie chcąc słuchać wcale jej prósb ani żalów, kazał dać jeńcom mięsa, chleba, wina, skór niedźwiedzich na posłanie i oddalił się do stołu, gdzie dla skrócenia czasu wszyscy grali w kości.

W tej jaskini lat wiele spędził Janek z matką, która pracowała pilnie i gorliwie, a w chwilach wolnych pieściła swego jedynaka, opowiadała mu długie, ciekawe historye o rycierzach i bohaterach i nauczyła go czytać z jednej starej książki, którą w zbójeckiej jaskini znalazła. Na jedno tylko pytanie nie odpowiadała mu nigdy, choć zadawał jej coraz częściej: nie mówiła mu nic o ojcu i rodzinnym domu, gdyż nie chciała, aby tęsknił tak, jak ona tęskniła.

— Już ja się i tak dowiem, kto jest moim ojcem — powiedział jej dnia pewnego, i od tego czasu snadź powziął jakiś zamiar, gdyż pytać ją przestał o to.

Kiedy skończył lat dziewięć, wybrał gruby kij sosnowy z pomiędzy gałęzi, przyniesionych na opał, i schował go pod łóżko. Zbójców w jaskini tego dnia nie było: wyszli wszyscy na rabunek. Gdy powrócili o północy, Janek wstał z łóżka, wziął swoją maczugę i zbliżywszy się do herszta, rzekł śmiało:

— Powiedz mi, gdzie mój ojciec, bo zabiję cię tą maczugą!

Ale herszt rozśmiał się tylko i uderzył go pięścią w głowę, tak, że chłopiec nieprzytomny potoczył się w głąb jaskini. Kiedy przy-szedł do siebie, pomyślał: “Za wcześnie próbo-wałem swojej siły; rok jeszcze poczekać mu-szę, potem uda się lepiej”.

Niecierpliwie czekał rok cały. Schował sosnową pałkę i nie dotykał jej wcale; a kiedy rok upłynął, wydostał ją znowu, otarł staran-nie z kurzu i obejrzał na wszystkie strony.

— Dobra maczuga — odezwał się wresz-cie — dziś dowiedzieć się muszę coś o moim ojcu.

Usiadł w kącie jaskini i czekał na rozbój-ników, którzy powrócili o północy, kazali dać sobie wina, zasiedli przy stole, pili i grali w kości do samego rana. Kiedy świtać zaczęło, Janek ścisnął maczugę, stanął przed hersztem i zawołał śmiało:

— Powiedz mi, gdzie jest mój ojciec, albo cię zabiję!

Herszt roześmiał się i uderzył go tak, że Janek upadł na ziemię; ale podniósł się na-tychmiast, oburącz pochwycił pałkę i zaczął bić z taką siłą, że pozabijał zbójców, połamał im ręce, nogi, porozbijał głowy i powrócił do matki, która ze swego kącika ze strachem i radością patrzyła na syna.

Nie przypuszczała nawet, że Janek był tak mocny.

— Teraz widzisz — rzekł do niej — że czas, abym wiedział, kto jest mój ojciec i gdzie go mam szukać.

— Chodźmy — odparła matka — zaprowadzę cię do niego, jeśli potrafię sama znaleźć drogę.

Janek wziął wielki worek, napełnił go złotem, drogimi kamieniami i perłami, potem zarzucił go sobie na plecy, zabrał sobie klucze od wyjścia i puścił się z matką w drogę.

Od lat ośmiu nie widział on dnia ani świata, to też trudno opisać jego zachwyty, gdy wyszedłszy z ciemności, ujrzał las zielony, trawę i kwiaty, usłyszał śpiew ptasząt, uczuł technienie świeżego wiatru i spojrzął na błękit nieba. Był tak upojony i szczęśliwy, że całował ziemię i drzewa, krzyczał głośno i biegał, ciesząc się każdą trawką.

Matka nareszcie wzięła go za rękę i, długo błędząc wśród drzew i zarośli, doprowadziła do ślicznej doliny nad szumiącym wiecznie strumieniem i pokazała zdala ich ubogą chatkę. Wieśniak siedział przed nią właśnie, naprawiając jakieś narzędzie, a ujrawszy żonę i syna, zapłakał z radości. Musieli mu opowiedzieć wszystko co ich spotkało, i własnym oczom wierzyć nie mógł, patrząc na wysokiego



i silnego chłopca, że to ma być mały Janek, którego tak opłakiwał.

Janek, choć nie miał jeszcze lat dwunastu, wyższym był przecież o całą głowę od ojca, a i silniejszym także, bo gdy wszedł do chaty, zdjął worek z pleców i położył na ławie; zatrzeszczała ława dębowa i złamała się we dwoje, worek spadł na podłogę, która się zachwiała także, załamała pod nim i połowa izby zapadła się razem z workiem do piwnicy.

— A toś mię przywitał, synku! — zawołał wieśniak w rozpacz. — Całą chatę zniszczyłeś tym jednym głupim workiem.

— Nie troszcz się, ojcze, o to — odpowiedział Janek — więcej wart ten mój worek, niż ta cała chata.

I zaraz poszli obaj do piwnicy obejrzyć skarby; potem zbudowali sobie dom nowy, obszerny, wygodny; kupili dużo bydła, pola i łąki przyległe i zaczęli gospodarować. Kiedy Janek szedł za pługiem i prowadził go ręką, woły nie czuły żadnego ciężaru, a gdy zwożono zboże do stodoły, sam ciągnął wóz największy bez żadnego wysiłku.

Po roku jednak rzekł do ojca:

— Kochany ojcze, zatrzymaj sobie złoto i wszystkie skarby rozbójników, a mnie kup tylko sto funtów żelaza, każ z niego zrobić la-

skę i pozwól iść na kraj świata. Chcę poznać ludzi, spróbować sił swoich i szukać szczęścia.

Ojciec nie mógł się sprzeciwić, więc spełnił życzenie syna, i Janek udał się w drogę, uściskawszy i pożegnawszy rodziców.

Szedł długo, bardzo długo, ciągle na wschód słońca; mijał góry i doliny, lasy, łąki i pola, aż, idąc raz ciemnym borem, spostrzegł wysoką sosnę, która chwiała się jak trzcina. Zdziwiony poszedł i spojrzawszy w górę, ujrzał siedzącego na drzewie człowieka.

— Co tam robisz? — zapytał Janek.

— Uciekaj, bo sosna spadnie i zabić cię może. Zebrałem zboże z pola i muszę je wymłócić, więc upatrzyłem sobie to drzewo na cepy.

— Głupstwo! — zawołał Janek. — Wyrwij sosnę i chodź ze mną: idę szczęścia szukać. Będziesz się nazywał Młócarz.

— Dobrze! — odparł wesoło siłacz i zeskoczył z drzewa, a Janek ze zdziwieniem zauważył, że o głowę wyższy był od niego.

— We dwóch lepiej nam będzie — rzekł, patrząc na towarzysza — kto nas pokona, gdy złączymy nasze siły?

Szli, rozmawiając wesoło, gdy wtem jęknięło coś w lesie, ziemia zadrżała od strasznego łoskotu, jakby góry pękały od bezustannych gromów. Zdziwieni podróżni skierowali się w

tę stronę i ujrzeni olbrzyma, który uderzeniem pięści druzgotał skały i rzucał je z góry w dolinę.

— Co ty robisz? — krzyknął Janek.

— Dom sobie budować będę, bo mi leśne stworzenia zasnąć nie dadzą spokojnie, kiedy się na mchu wyciągnę. Trzech niedźwiedzi zgmiotłem tej nocy, ośmiu wilków i dwa dziki, bo wszystko to mnie oblaźło na mojem posłaniu. Chcę spać spokojnie a nie budzić się co chwila.

— Daj pokój — zawołał Janek — szkoda twojej pracy, dom sobie i tak znajdziemy, we trzech będzie nam weselej.

— Może i dobrze mówisz — mruknął olbrzym — powiadają, że wy, ludzie, więcej od nas macie rozumu, chociaż myśmy silniejsi. Spróbujmy spółki.

Dobrze im było razem. Zabili jelenia i wicherzę mieli wyborną; potem położyli się spać przy ognisku, i każdy z nich kolejno czuwał nad śpiącymi.

Nazajutrz spostrzegli zamek na wysokiej górze; był wielki i wygodny, lecz opuszczony i stary; postanowili jednak zamieszkać w nim tymczasowo. Janek zabił po drodze ogromnego dzika, którym nasycili się wszyscy, a olbrzym złapał żywego niedźwiedzia i ukrećiw-

szy mu głowę, oznajmił, iż będzie z niego doskonała pieczeń.

Odtąd tak się ułożyli, iż codzień inny miał zostawać w domu i gotować obiad, dwaj zaś udadzą się na polowanie, aby zaopatrzyć spiżarnię.

Pierwszego dnia został Młócarz; wsadził niedźwiedzia na rożen, z głowy zaś, wątroby i serca miał ugotować zupę. W ogrodzie ziela było podostatkiem na wszystkie jarzyny, a miód pszczoł leśnych dopełniać miał uczyty. Zadowolony ze swego pomysłu, Młócarz obraca rożen, warzy ziele, gdy na schodach usłyszał jakieś ciche kroki, i w tejże chwili garbaty i kulawy karzełek, z ogromną brodą i złośliwym spojrzeniem, stanął przed nim pokornie, prosząc o kawałek mięsa.

Gość niespodziany przestraszył kucharza, który też odpowiedział mu szorstko i z gniewem, że dla włóczęgów do rozdawania nic nie ma. Ale w tej samej chwili garbaty karzełek, jak mały kociak, rzucił się na niego, drapiąc, gryząc, piszcząc, bijąc, gdzie mu się udało; aż nieszczęśliwy Młócarz, ogłuszony i pokrwawiony, upadł na ziemię, wzywając ratunku.

Nikt jednak nie pospieszył mu z pomocą, bo nikogo w zamku nie było, i karzełek nie prędzej puścił swą ofiarę, aż nasycił złość i chęć zemsty.

Kiedy Janek z olbrzymem powrócili z polowania, stół zastali nakryty i obfitą ucztę, lecz o przygodzie z karłem uszkodzony milczał, rad, że jego zastępca sam pokosztuje pazurów dzikiego i złośliwego stworzenia.

Nazajutrz pozostał olbrzym; piekł sarnę i trzy zające, a gdy się zjawił karzeł, spojrział z obrzydzeniem na potworną postać kulawego garbusa i krzyknął, żeby sobie precz poszedł do nory. Karzeł, zamiast posłuchać, rzucił się na niego i, nim zdumiony olbrzym o obronie pomyślał, podrapał mu twarz i ręce, pogryzł do krwi szyję i uciekł, uniknąwszy silnej pięści wroga.

Gdy towarzysze z polowania przyszli, Młócarz odrazu odgadł, co się stało, ujrzawszy podrapanego olbrzyma, lecz obaj milczeli, pragnąc, aby Janek doświadczył również tej miłej przygody.

Janek, zostawszy w domu, zabrał się do gotowania, ale zaledwie rozpałił ognisko i rozszedł się zapach pieczonego mięsa, karzeł w kornej postawie stanął przy kominku i prosił o pożywienie.

— Nie mogę skrzywdzić moich towarzyszków — pomyślał Janek — lecz sam mam za wiele i mogę mu ustąpić trochę z mojej części.

Wziął nóż, ukrajał kawał surowej pieczeni i podał go karzełkowi. Ten pożarł kęs w

mgnieniu oka i poprosił o drugi. Janek ze zdziwieniem spojrział na małe, łakome stworzenie, ukrajał jeszcze jeden spory kawał, podał garbusowi i zapowiedział surowo, że teraz powinien być zadowolonym. Ale karzeł zjadł znów wszystko chciwie i po raz trzeci powtórzył swą prośbę.

To rozniewało Janka.

— Precz mi, potworze! — krzyknął — bo cię tak poczęstuję, że mnie popamiętasz.

Zaledwie jednak wymówił te słowa, karzeł skoczył mu do oczu i byłby go pokaleczył jak Młócarza i olbrzyma, gdyby go młody siłacz zręcznie za kark nie pochwycił i nie rzucał ze schodów, jak natrętne zwierzę. Nagle przypomniał sobie, jaki błąd popełnił puszczając karła wolno, więc pobiegł co tchu za nim, lecz spostrzegł go już tylko z daleka, gdy zniknął w rozpadlinie między skałami.

Janek wrócił do kuchni, ugotował obiad, a wieczorem opowiedział wszystko towarzyszom, którzy zdziwieni, że mu tak szczęśliwie poszło, przyznali się teraz, co ich od karła spotkało. Janek naśmiał się dowoli i rzekł im nakoniec:

— Dobrze wam bardzo, zasłużyliście na to; nie trzeba było żałować biednemu stworzeniu kawałka mięsa. Teraz wstyd wam został!

Kiedy się nasycili, wzięli kosz, laskę, zrobioną ze stu funtów żelaza, i udali się na poszukiwanie kryjówki karła, gdyż wiadomą jest rzeczą, że w takich skrytkach olbrzymie można znaleźć skarby. Pnąc się na górę, doszli wreszcie do szczeliny wąskiej, ciasnej i ciemnej, w którą trzeba było się spuścić. Przywiązano kosz do sznura, Janek wsiadł do kosza razem ze swoją laską, i spuszczonego w przepaść.

Leciał długo, bardzo długo wśród zupełnej ciemności, nakoniec stanął na gruncie. Tu znalazł drzwi żelazne bardzo sztucznie zamknięte, lecz wyważył je sztabą, a gdy upadły, olśnił go blask cudny, napełniający tę podziemną grootę. Płynął on z góry, choć nie można było poznać, skąd pochodzi. Pośród tej jasności raził blask dyamentów i drogich kamieni, którymi wysadzone były ściany grotty. Wkoło przy ścianach stały kryształowe skrzynie, z których każda pełną była innych kosztowności: w tej złoty piasek, w drugiej perły, tam rubiny, szafiry, szmaragdy, brylanty, skarby, jakich żaden może monarcha nie posiada. A w głębi na wysokim tronie ze złota i słoniowej kości, siedziała cudna dziewica. Jej złociste włosy spływały aż do ziemi ciężkimi zwojami, a lśniły jak promienie słońca. Na głowie miała dyadem brylantowy, brylantowy naszyjnik świecił blaskiem tęczy na jej prześlicznej szyi, sza-



ta przejrzysta z białej, cienkiej gazy otulała jej postać, jakby mgłą srebrzystą, lecz na rękach i nogach dźwigała złote kajdany, a w spojrzeniu jej czarnych oczu malowało się tyle smutku i błagania, że Jankowi na jej widok serce się ścisnęło.

Wtem spostrzegł karła, który stał przy tronie, z przestachem i zdziwieniem mierząc go oczyma.

— Czem mogę cię wybawić z tej niewoli, królowo? — zawołał Janek, zbliżając się do tronu.

— Smutna dziewczica nie odpowiedziała, ale spojrzenie jej padło na karła, i w tejże chwili Janek silnem uderzeniem swej stufuntowej laski zabił go na miejscu. Złote kajdany same opadły z dziewczicy, a z jej oczu popłynęły łzy radości.

— Dziękuję ci, mój wybawco! — zawołała, wyciągając ku niemu ręce. — Jestem królewską córką, i ojciec mój chyba umarł z rozpaczy, gdy wróg nasz porwał mnie z zamku i osadził tu w tej jaskini pod strażą złośliwego karła. Nie umiem ci opisać, ile wycierpiałam i jak wdzięczną ci jestem, żeś mię ocalił nakoniec.

Janek wzruszony byłby jeszcze długo wypytywał się o losy przecudnej dziewczicy, ale przypomniał sobie, że towarzysze jego oczeku-

ją znaku życia i gotowi odejść, jeśli nie da im znać o sobie. Umieścił więc królowną w koszu i szarpnął za sznur gwałtownie. Wyciągnięto ją natychmiast i kosz powrócił znowu. Lecz Janek nie dowierzał towarzyszom; raz już nie-szczerze z nim wyszli, więc mógł się spodzie-wać, że i teraz będą chcieli go pokrzywdzić. Zamiast więc wsiąść do kosza, położył tylko swoją laskę. I dobrze zrobił, gdyż podniósłszy kosz wysoko, Młócarz i olbrzym puścili go na-gle, i gdyby Janek w nim siedział, zabiłby się na miejscu.

Zasmucony usiadł teraz na progu komna-ty, pełnej nieprzebranych skarbów, i zaczął myśleć, jaki los go czeka. Towarzysze najwi-doczniej zdradzili go i odeszli, zabrawszy piękną królowną, a on czyż ma umrzeć tutaj głodną śmiercią? w tak młodym wieku, obok tak cudnych klejnotów?

Spojrzał dokoła, wszystko jaśniało radoś-nie, tylko zabity karzeł niby ciemna plama le-żał nieruchomy u stóp tronu, na posadzce z kości słoniowej.

Wtem na placu zabitego coś zamigotało, i Jankowi błysnęła myśl szczęśliwa. Pochylił się nad nim szybko, zdjął brylantowy pier-ścień, włożył na serdeczny palec i obróciwszy w kółko, szepnął:

— Chcę być na górze,

W mgnieniu oka coś go porwało i wyniosło na miejsce, gdzie się znajdowała szczelina; lecz nie było tu już nikogo.

— Chcę być w zamku — pomyślał Janek, i w tejże samej chwili znalazł się w zamku, gdzie również daremnie szukał śladów dziewicy i wiarołomnych przyjaciół.

Zrozpaczony, zdjął pierścień i rzucił o ziemię, gdy w tem zjawił się przed nim duch w mglistej postaci i pokornie szeptał, czego żąda.

— Chcę wiedzieć, gdzie jest królowna i towarzysze moi.

— Za siódmą górą, za dziesiątą rzeką, płyną po morzu na srebrnym okręcie z purpurowemi żaglami i bursztynowem wiosłem, który kupili sobie za naszyjnik królowny.

— Chcę być na morzu! — zawołał głośno nasz bohater, podnosząc pierścień.

Niewidzialna potęga uniosła go w powietrze tak gwałtownie, iż prawie utracił przytomność, a gdy ją odzyskał znowu, stał już na okręcie z żelazną maczugą w dłoni, wobec zdradzieckich wrogów.

W uniesieniu gniewu rzucił się na nich natychmiast, ale Młócarz i olbrzym także silni byli, więc rozpoczęła się walka uparta, w której Janek jak lekką trzcinką wywijając swą maczugą, druzgotał wszystko dokoła.

Wkrótce olbrzym wpadł w morze z roztrzaskaną czaszką, Młócarz z odtrąconą głową leżał na pokładzie, a Janek krwią zbryzgany, lecz dumny ze zwycięstw, odszukał pod pokładem w perłowej kajucie zemdloną królownę i skrapiając wodą jej skronie, usiłował ją przywrócić do życia.

Gdy odzyskała zmysły, uśmiechnęła się radośnie i zawołała:

— Drogi mój wybawco, dwa razy ocaliłeś mię z ciężkiej niewoli, teraz już tylko jedno mam życzenie: pomóż mi odzyskać rodziców!

Nie było w tem nic trudnego. Janek przywołał ducha, dowiedział się, gdzie mieszkają rodzice królowny i kazał się do nich zanieść. Naturalnie, że szczęśliwi z odzyskania córki, chętnie przyjęli go za zięcia i posłali z nim wierne sługi do jaskini karła, skąd zabrano szczęśliwie wszystkie skarby i klejnoty.

Przez trzy dni trwało wesele królowny, na którym obecni byli i rodzice Janka. Wszyscy życzyli szczęścia młodej parze, która też dziękowała wszystkim najserdeczniej i tak uprzejmie przyjmowała gości, iż cały tydzień trwała wesoła zabawa.

Potem się goście rozjechali, a młody król i królowa rządzić zaczęli mądrze i szczęśliwie.

---

## Lew, królewicz i jego żona.

Pewien bogaty książę, wyjeżdżając w daleką drogę, rzekł do trzech córek:

— Drogie dzieci, nieprędko się zobaczymy... Co chcecie, abym wam przywiózł z podróży?

Jedna z nich żądała naszyjnika z pereł, druga dyademu z brylantów, ale najmłodsza, jego ukochana pieszcotka, rzuciła mu się na szyję i zawołała:

— Ojczulku, ja niczego więcej nie pragnę, tylko śpiewającego skowronka ze złotym dzióbkiem i złotymi pazurkami.

Ojciec obiecał spełnić ich życzenia; podróżował rok cały, zwiedzał dalekie kraje, kupił perły i dyamenty, ale śpiewającego skowronka ze złotym dzióbkiem i złotymi pazurkami na całym świecie znaleźć nie mógł.

Już powracał do domu, zmartwiony tem bardzo, że nie wiezie dla swojej pieszczotki, gdy droga mu wypadła przez las bardzo stary, pośród którego ujrzał wspaniały zamek, przed nim dąb rozłożysty ze złotymi żo-

łędziami, a na dębie śpiewającego skowronka ze złotym dzióbkiem i złotymi pazurkami.

Uszczęśliwiony książę zawołał na sługi i kazał im pochwycić ptaka; lecz zaledwie jeden z nich zbliżył się do drzewa, podniósł się lew złotogrzywy, spoczywający spokojnie na szmaragdowym trawniku, i zaryczał tak groźnie, iż drzewo zadrżało, posypały się złote żółędzie na ziemię, a skowronek uleciał wysoko w obłoki.

Zadrżeli słudzy, książę cofnął się zdumiony, a lew przemówił głosem grzmiącym i surowym:

— Kto chciał mi ukraść ptaka, zginąć musi.

I rozdziawił paszczę straszliwą, ukazując olbrzymie zęby.

— Nie wiedziałem, że ptak ten należy do ciebie — odparł książę przerażony — ptaki latają swobodnie po świecie i niczyją nie są własnością, lecz jeśli mi go odstąpisz, zapłacę ci chętnie, ile sam tylko zażadasz.

— Złota twego nie pragnę — odpowiedział lew dumnie — a za zły zamiar zginąć musisz, chyba że mi przysięgniesz oddać na własność pierwszą istotę, jaką spotkasz za powrotem do domu. W takim razie mogę ci nawet darować ptaka.

Książę zasmucił się bardzo, gdyż przyszło mu na myśl, że jego najmłodsza córka zwykle pierwsza wybiegała naprzeciw niego, gdy powracał. Lecz z drugiej strony obawa strasznej i blizkiej śmierci nie pozwalała mu wahać się dłużej, więc kiedy wierny sługa szepnął, iż zdarzyć się może, że pies lub inne stworzenie powita go pierwsze, dał się namówić i przyrzekł, czego lew wymagał.

Wówczas skowronek spuścił się z obłoków, usiadł na ramieniu księcia i dobrowolnie dał się zabrać do jego kraju.

Książę spieszył z bijącym sercem, pełen niepokoju, kto go powita pierwszy, a gdy ujrzał najmłodszą, ukochaną córkę, wybiegającą ku niemu wesoło, z płaczem zaczął ją ścisnąć i całować, nie mogąc znieść widoku jej radości, z jaką pochwyciła zaraz śpiewającego skowronka.

—Czego się smucisz, mój ojczy? — zapytała zdziwiona jego łzami. — Szczęśliwie powróciłeś z dalekiej podróży i zamiast cieszyć się z tego razem z nami, martwisz się, jakby cię wielkie nieszczęście spotkało.

— Nie mogło spotkać mnie większe — odparł zrozpaczony książę — ciebie, najdroższe dziecko moje, przyrzekłem oddać dzikiemu zwierzęciu, lwu okrutnemu, aby własne ocalić życie.



I opowiedział jej wszystko, co zaszło w owym odwiecznym lesie, gdzie znalazł skowronka. Dziewczę wysłuchało ojca, potem uściskało go serdecznie.

— Dobrze zrobiłeś, ojczulku — zawołała swobodnie — cóżbym poczęła, biedna sierota, bez ciebie? Lwa nie lękam się wcale, ułaskawię go, zobaczysz, dobrem słowem ułagodzę i wyproszę sobie, że mi pozwoli wrócić do mego ojczulka.

Książę chciał ją zatrzymać i nie spełnić obietnicy, choćby miał utracić życie, lecz dziewczeczka stanowczo oparła się temu, utrzymując, że danego słowa trzeba dotrzymać koniecznie.

Nazajutrz rano udała się w drogę. Wierny sługa towarzyszył jej do zamku, wskazując drogę, a gdy ujrzał dąb stuletni ze złotymi żółędziami zawrócił się i odszedł, aby nie być świadkiem śmierci ukochanej panienki.

Lew, ujrzawszy księżniczkę, powitał ją grzecznie i zaprowadził do wspaniałej komnaty, gdzie stół oczekiwał nakryty. Stały na nim najpyszniejsze potrawy i napoje w złotych i srebrnych naczyniach, usługiwało jej dwunastu paziów, a lew siedział po lewej stronie i rozkazywał wzrokiem lub skinieniem łapy. Po skończonej uczcie uprzejmie ją powiódł do pokojów dla niej przeznaczonych i prosił, aby

wypoczęła. Sam oddalił się natychmiast, lecz gdy noc zapadła, zjawił się w ludzkiej postaci i oznajmił dziewczycy, iż jest królewiczem, zaklętym przez potężnego czarodzieja i, dopóki słońce świeci, musi nosić lwią skórę, w nocy zaś, wśród ciemności, człowiekiem być może.

Dzieweczka ucieszyła się niezmiernie z tego niespodziewanego odkrycia, gdyż nieszczęśliwy królewicz podobał się jej bardzo. Urządzono więc wspaniałe wesele, a gdy rozjechali się goście, państwo młodzi postanowili spać od świtu do zmroku, a od zmroku do świtu żyć jak wszyscy ludzie.

I było im dobrze. Dnia pewnego jednak lew rzekł do żony:

— Jutro wesele twojej najstarszej siostry, jeśli chcesz odwiedzić ojca i być na zabawie, moje lwy cię odwiozą i zaczekają na ciebie.

Młoda królowa zgodziła się chętnie, mąż odprowadził ją aż do granicy swego państwa, potem wrócił do domu; ona zaś zajechała przed ojcowski zamek w złotej karecie, przez cztery lwy ciągnionej.

Wielkie było zdziwienie i radość w księżęcym domu, kiedy najmłodsza córka opowiadała o sobie. Wszyscy myśleli, że zginęła dawno w pazurach lwa okrutnego, to też stary książę aż osiwiiał ze zmartwienia, a widząc ją

teraz, nie mógł jej się napatrzeć i nasłuchać jej głosu.

Po weselu kazał córce pozdrowić zięcia z całego serca, a liczny orszak towarzyszył jej aż do granicy, gdzie sam lew wyszedł na spotkanie żony.

Wjakiś czas potem przysłano do zamku zaproszenie na wesele drugiej siostry; lecz królowa rzekła do męża:

— Nie pojedę sama, nie chcę rozstawać się z tobą; proszę cię, jedźmy razem.

— To niepodobna, droga żono: wiesz, że w ciemności przybieram tylko postać ludzką, gdyby wtedy padł na mnie promień światła, zmieniłbym się w gołębia i przez lat siedm musiałbym z gołębiami latać.

— Nie lękaj się, najdroższy mężu; potrafię cię tak uchronić, że żaden promyk światła nie padnie na ciebie; a pomyśl, jak mi będzie miło być z tobą pod jednym dachem!

Lew uległ prośbom żony; zabrali z sobą synka, który się niedawno urodził i pojechali do rodziców królowej, którzy, na życzenie córki, kazali w jednej z komnat pałacowych zamurować wszystkie okna i przeznaczyli ją na mieszkanie zięcia. W dzień był pomiędzy nimi w postaci króla zwierząt.

Trzeciego dnia po przybyciu młodej pary do zamku, odbywało się świetne wesele. Or-

szak jechał do kościoła ze światłami i pochodniami, a ponieważ nikt nie spostrzegł, że w jednej z okiennic zamurowanej komnaty była maleńka szparka, cieniuchny promień światła padł na zakłętego króla, i nieszczęśliwy w mgnieniu oka zamienił się w gołębia.

Gdy królowa powróciła z družkami i panną młodą, naprzód pobiegła do pokoju męża, ażeby go uściskać i powiedzieć wszystko, lecz zamiast męża ujrzała gołębia, który przemówił do niej:

— Stało się, czego lękałem się właśnie; przez lat siedm w tej postaci muszę krążyć teraz po świecie, ale co siedm kroków opuszczę pióro białe i kroplę krwi czerwonej, a jeśli pójdiesz za tym śladem, możesz wybawić mnie po siedmiu latach.

Usłyszawszy to, królowa w głos się rozplakała, lecz otarła łzy natychmiast, bo gołębek frunął z miejsca i trzeba było spieszyć za nim, szukać śladów, aby naprawić winę swej lekkomyślności i wybawić ukochanego małżonka. Więc biegła, nie oglądając się wcale za siebie, nie patrząc w górę, śledząc tylko pilnie białe piórka i czerwone kropelki krwi, które padały co siedm kroków na ziemię.

I tak biegła lata całe, nie myśląc o niczem, nie wypoczywając prawie, żywiąc się tem tylko, co przy drodze przypadkiem zna-

leżeć mogła, i nie płacząc, aby oczy nie straciły drogiego śladu. Zdarte obuwie dawno z nóg jej spadło, stopy poraniły ostre ciernie i kamienie, królewskie szaty zamieniły się w łachmany, piękne włosy kurz przysypał, słońce spaliło białą skórę na jej twarzy, — ale ona nie czuła bólu, ani umęczenia, nie wstydziła się łachmanów, w których wyglądała na żebraczkę, nie żałowała swej piękności ani młodego wieku, tylko wciąż biegła i biegła przed siebie, ścigana trwogą, by nie stracić śladu, w którym pokładała ostatnią nadzieję.

Już rok siódmy dobiegał do końca, siły biednej kobiety niknęły z dniem każdym, ale nie słabła miłość w jej gorącym sercu i ona dodawała jej siły i otuchy. Tak, niedługo już, tak, niedługo! Tyle czasu, trudów za tobą, przed tobą mała chwilka...

Wtem nie spostrzegła przed sobą ani białego piórka, ani kropli czerwonej i stanęła przerażona. Spojrzała w górę i nie dostrzegła gołąbka: niema go pod obłokami, ani nad cienistym lasem, ani na szczycie góry; gdzie się podział, gdzie zniknął mąż jej ukochany?

Łzy zasłoniły jej oczy, ale cóż łzy pomogą? A dokoła nikogo, tylko jasne słońce płynie spokojnie po błękitnem niebie.

Więc wyciągnęła ręce do złotego słońka i zawołała:

— Słoneczko, słoneczko, co płyniesz tak wysoko, aż pod obłokami, i całą ziemię złotem okiem widzisz: powiedz mi, gdzie mój biały gołąbek się podział! Czy wypoczywa na wysokiej skale, czy wpadł w przepaść głęboką, że dojrzeć go nie mogę? Powiedz mi, słońko złote, słońko moje!

Słońko rozejrzało się po szerokim niebie, sięgnęło promieniami w głębsze przepaści, lecz nie dostrzegło nigdzie białego gołąbka i ze smutkiem odpowiedziało królowej:

— Nie, nigdzie go nie widzę, nigdzie dostrzedz go nie mogę, niema go w żadnej przepaści, niema go na niebie. Żal mi ciebie, biedna kobieto, weź ode mnie to złote jabłko i pomyśl o niem, gdy będziesz w potrzebie.

Zapłakała biedna królowa, ale łzy nic nie pomogą, więc zwróciła się do księżyca, który z kolei zaświecił na niebie, i zawołała:

— Miesiączku mój srebrzysty, miesiączku kochany, co rośną brylantową zsyłasz biednym kwiatom, ulituj się nad niebogą, spojrzuj na lasy, pola, które śpią cicho w srebrnym twoim blasku, i powiedz mi, czy nie widzisz gdzie gołąbka mego!

Srebrny miesiąc uważnie spojrział na lasy, pola, lecz nie dostrzegł gołębia i odpowiedział smutnie:

— Żal mi ciebie, biedno kobieto, lecz nie ma twego gołębia ani na równym polu, ani w gęstym borze; gdzieindziej go szukać musisz. Oto masz ode mnie to jajeczko srebrne; przypomnij sobie o niem, gdy będziesz w potrzebie.

Biedna królowa załamała ręce i zapłakała gorzko, łzy jednak nic nie pomogą. Otarła oczy i zwróciła się z prośbą do potężnego wiatru północnego:

— Wietrze potężny, którego się lęka każde żyjące stworzenie, ty, który w zimie osypujesz drzewa szronem brylantowym, a podczas lata pozwalasz okrywać się im listkami, aby je jednym tchnieniem rozwiać po świecie w jesieni! wietrze, co wszędzie jesteś i znasz całą zimę, lądy i morza, powiedz mi, powiedz, czy nie widziałeś mojego gołąbka!

— Nie — odparł wiatr północny; — w mojej lodowej ojczyźnie go nie ma; ale żal mi ciebie, nieszczęśliwa królowo, i spytam braci moich, wiatrów z innych stron świata, może oni go widzieli.

I zahuczał posępnie, a na ten głos wiatr wschodni, zachodni i południowy wnet przybiegli do niego i rozpoczęli taniec powitania, który opanował ziemię i obłoki, aż wszystko się złączyło w jeden wir szalony, druzgocząc lasy i ludzkie siedziby, stojące im na drodze.



Wiatr północny jednakże surowem spoj-  
rzeniem uspokoił młodszych braci swawolni-  
ków i spytał, czy nie widzieli na świetle prze-  
latającego białego gołąbka?

Wiatr wschodni i zachodni nie widzieli  
go wcale, ale wiatr południowy, najłagodniej-  
szy ze wszystkich, przemówił cichym głosem:

— Kochany bracie,, widziałem białego go-  
łąbka, leciał ku mnie daleko, aż na Czerwone  
morze, ale ponieważ upłynęło już siedm lat  
pokuty, więc stał się lwem i w tej chwili mu-  
siał rozpocząć walkę z olbrzymim smokiem,  
który rzucił się na niego, a ten smok, to kró-  
lowa czarodziejka, która chce go uczynić swo-  
im niewolnikiem.

— Słyszałaś? — rzekł wiatr północny do  
królowej. — Teraz dam ci jeszcze radę: spiesz  
zaraz nad Czerwone morze; tam na prawym  
brzegu zobaczysz zielone różdżki, wyrastające  
w piasku. Porachuj dobrze, zetnij jedenastą  
i uderz nią smoka po grzbiecie, a wówczas o-  
baj zapaśnicy odzyskają ludzką postać, i mąż  
twój będzie mógł pokonać przeciwnika. Na-  
stępnie nie oglądaj się wcale, siadaj razem z  
królem na śnieżnego łabędzia, który pływa po  
Czerwonym morzu, a on was na miękkim  
grzbiecie doniesie do brzegu. Tutaj masz złoty  
orzech, nie zapomnij o nim: gdy łabędziowi  
sił zacznie brakować, rzuć go natychmiast w

morze, a z głębi wyrosnie wielkie orzechowe drzewo, na którym wypoczniecie wszyscy. Inaczej łabędź nie mógłby donieść was do brzegu.

Usłyszawszy to, nieszczęsna królowa podziękowała dobremu wiatrowi, potem zaczęła biedz, co sił starczyło, do Czerwonego morza. Z daleka ujrzała walczącego lwa ze smokiem i zielone różdżki na wybrzeżu. Uważnie przeliczyła dziesięć, jedenastą zerwała drżącymi rękoma i z całej siły uderzyła smoka. Natychmiast lew i potwór przybrali ludzkie postacie, lecz zamiast walczyć dalej, czarodziejka-królewna pochwyciła w ramiona swego przeciwnika, siadła z nim razem na śnieżnego łabędzia, popłynęli po modrej fali i wkrótce zniknęli z oczu nieszczęśliwej żonie.

Biedna królowa zapłakała gorzko, ale łzy nie nie pomogą, więc otarła smutne oczy i postanowiła iść znowu choćby na kraj świata, dopóki nie odzuka męża.

I szła długo, bardzo długo, aż przybyła do zamku, w którym jej powiedziano, że ma się odbyć wesele królowy z młodym królewiczem, który niedawno przybył z dalekiej podróży. Czyżby to był właśnie jej mąż poszukiwany?

Usiadła na progu zamku i czekała, aż się ukaże, a kiedy wyszedł do ogrodu obok królewny, poznała go zaraz i krzyknęła z trwogi i szczęścia; ale on spojrział na nią obojętnie i

minął nie poznavszy. Skądże miał odgadnąć, że ta żebraczka, kurzem i pyłem okryta, z pokrwawionemi nogami, w łachmanach, jest żoną jego, matką jego dziecka, która przez lat siedm biegła za śladem jego po świecie? A może czarodziejka-królowna pamięć o niej mu odjęła?

W tych smutnych myślach pogrążona królowa przypomniała sobie nagle o złotem jabłku, danem jej przez słońce. Gdy noc zapadła, otworzyła je ostrożnie i znalazła cudowną szatę z promieni słonecznych, tak jaśniejącą, że wzrok olśniewała. Były tam oprócz tego i trzewiki i wszystko, co do stroju potrzebne, więc obmywszy się w kryształowym strumieniu, rozczesła złote włosy, włożyła słoneczną suknię i udała się do zamku, gdzie zaproszeni goście zasiadali do uczy. Na jej widok wszyscy powstali, sam królewicz zbliżył się do niej, lecz narzeczona wnet go zawołała, zdala posadziła przy stole, a zachwycona suknią ze słonecznych promieni, kazała swojej służebnej zapytać, za jaką cenę kupićby ją mogła.

— Krwi za złoto nie sprzedaję — odparła królowa — lecz powiedz twojej pani, że oddam jej suknię, jeśli mi pozwoli jutro zanieść śniadanie do pokoju królewicza.

Czarodziejka narzeczona przeczuła w tem jakiś podstęp, lecz nie chcąc się wyrzec sukni,

przyjęła warunek, tylko przedtem własną ręką przygotowała napój, który postawiono na noc w pokoju królewicza. Skoro przyszedł spać po wieczerzy, rozkoszny zapach przygotowanego wina wzbudził w nim takie pragnienie, że wypił duszkiem puhar cały, a gdy nazajutrz o zwykłej godzinie biedna królowa weszła ze śniadaniem, zastała go śpiącego twar-do. Zbliżyła się do łóżka, nachyliła się nad mężem i cicho, smutnie szeptać mu zaczęła:

— Obudź się, królu, panie! Oto przez lat siedm szłam za tobą na kraj świata przez wichry i burze; słońca, księżyca, wiatru pytałam o ciebie; smoka zieloną różdżką uderzyłam; czyż możesz zapomnieć o mnie, o naszej dziecinie? Obudź się, mężu, królu, spojrzuj na mnie!

Lecz daremnie błagała, płacząc gorącemi łzami; napój czarodziejski królowny był silniejszy, niżeli jej skargi, niż łyzy gorące, które na czoło uspiętego padały.

Upłynęła godzina, słudzy weszli do pokoju, i królowa wyjść musiała. Pobiegła do ogrodu, skryła się między drzewami i płakała tak rzewnie, iż trawa słońcem spalona pozieleniała w tem miejscu na nowo. Ale cóż łyzy pomogą?

Wtedy przypomniała sobie o jajku srebrzystem, które otrzymała od księżycy, i rozbiła je o kamień.

Wtem z jajka wypadł mały brylantowy pajęczek na srebrnych nóżkach i dwie rubinowe mrówki. Pajęczek zaczął okręcać się w kółko, snuć nitkę brylantową i srebrną, a mrówki z tej cudnej przędzy tkały tak przejrzystą, cienką i świecąca tkaninę, że oczy się mróżyły, patrząc na nią, i nic piękniejszego nigdy nie było na świecie.

Ucieszyła się królowa, zabrała z sobą mrówki i pajaka, poszła na zieloną łączkę naprzeciw okien królowny, a gdy pajęczek zaczął snuć cudowną przędzę, a mrówki tkać z niej materję piękniejszą od księżycy, czarodziejka-królowna zobaczyła to z okna i posłała swoją służebną zapytać, za jaką cenę można kupić pajęczka i mrówki.

— Krwi za złoto nie sprzedaję — odparła królowa — ale powiedz twojej pani, że oddam jej to wszystko, jeśli mi pozwoli dzisiaj posłać łóżko dla królewicza.

Oburzyła się czarodziejka, przeczuwając w tem podstęp, ale pragnęła posiadać cudownego tkacza, więc przyjęła ten warunek, tylko własną ręką przygotowała napój, który po wieczery kazała podać królewiczowi, gdy będzie wracał do swego pokoju.

A przy wieczerzy sama spytała narzeczonego:

— Jakże ci wczoraj smakowało wino, które ci posłałam na noc?

— Boski trunek! — odparł królewicz — ale sny po nim musiałem mieć smutne, bo mi było ciężko na sercu, kiedy się obudziłem.

— Nie pij dzisiaj tak wiele — odparła królowa; — rozkazałam służącemu, abyś miał to samo wino.

I przyprawiła mu wieczerzę w taki sposób, aby w nim wzbudzić pragnienie.

Tymczasem biedna królowa poszła słać łóżko mężowi, a przechodząc przez pokój, w którym stał kamerdyner, ujrzała puhar z usypiającym napojem.

— Jakież to śliczny puhar! — zawołała — powiedz mi, kto pić będzie z niego?

— Pić będzie młody królewicz, narzeczonny pani naszej, aby miał sny spokojne.

— Pozwól mi umaczać usta w tym napoju, abym wiedziała, co królowie piją, a dam ci ten pierścień rubinowy; oddasz go swej narzeczonej, a będzie cię kochała aż do śmierci.

Kamerdyner zobaczył pierścień z prześlicznym kamieniem, połyskującym jak czerwona iskra, i chcąc go posiąść, pozwolił skosztować napoju. A królowa lekko usta umoczyła i łzę w napój upuściła, a potem spiesznie we-

szła do królewskiej komnaty. Tu jednak senność ogarnęła ją tak wielka, że upadła przy łóżku, jak nieżywa.

Kamerdyner cierpliwie czekał jej powrotu, a słysząc, że królewicz już nadchodzi, chciał ją wyprowadzić coby prędzej z pokoju. Spostrzegłszy martwą, czy uśpioną na podłodze, przestraszył się bardzo, usunął ją w kąt, zastawił ławką i nakrył jeszcze dywanem. Następnie pospieszył naprzeciw królewicza i podał mu puhar.

Królewicz z przyjemnością poniósł napój do ust, lecz za ledwie go skosztował, wypluł wszystko, mówiąc, że nie znał dotąd tak gryzącej goryczy.

— Przynieś mi czystej wody — rzekł do służącego, siadając już na łóżku, i w tej chwili zasnął, gdyż sam zapach napoju usypiał najsilniejszego człowieka.

Lecz na głos męża zbudziła się nagle królowa, wyszła z ukrycia, pochyliła się nad nim i szepnęła:

— Królu, mój mężu, oto przez lat siedm szłam za tobą na kraj świata; słońca, wiatru, księżycy pytałam o ciebie; smoka zieloną różdżką uderzyłam; czyż możesz zapomnieć o mnie, o naszej dziecinie? Obudź się, mężu! obudź się, mój królu!



I gorąca jej łza spadła na czoło uśpionego.

W tej chwili zbudził się nagle, poznał żonę swoją i przycisnął ją do serca.

— Dziękuję ci! — zawołał; — tyś mnie wybawiła, teraz dopiero jestem ocalony: odzyskałem pamięć, poznałem cię, żono moja, pamiętam o dziecku naszym, o, czemże ci się za wszystko wywdzięczę!

— Wracaj ze mną — szepnęła szczęśliwa królowa.

Wracać nie było łatwo, gdyż czarodziejka-królowna nie puściła zdobytcy, dlatego też postanowili uciec tej samej nocy.

Królowa wyszła w pokornej postaci, król pozornie udał się na spoczynek jak zwykle, lecz gdy wszyscy zasnęli,, wyszedł oknem do ogrodu; tam połączył się z żoną i pobiegli razem do Czerwonego morza. Gdy świt zajaśniał, ujrzeli śnieżnopiórego łabędzia i natychmiast wsiedli na niego.

Ptak niósł ich po modrej fali, gdy czarodziejka-królowna, ścigając ich mściwie, spostrzegła z daleka; lecz roześmiała się tylko, zerwała zieloną różdżkę, rzuciła w wodę i powróciła do zamku, pewna, że łabędź wkrótce straci siły i utonie razem ze swym ciężarem.

I rzeczywiście wkrótce osłabł tak, że nie mógł już płynąć dalej, a byli na środku morza, na głębi niezmierzonej. Lecz królowa szybko

rzuciła w wodę złoty orzech i natychmiast prześliczne orzechowe drzewo ukazało się na wodzie. Łabędź odpoczął na niem i popłynęli dalej.

Jakaż była ich radość, gdy przybywszy na zamek księcia, zastali synka zdrowym, silnym chłopcem! Zabrali go do siebie, do zamku pod złotym dębem i odtąd żyli szczęśliwie i bez żadnej troski.

---

## Wróżka Skoronózka.

W samotnym domku, zwanym przez wszystkich pustelnią, na wysokiej górze, w lesistej, pięknej okolicy, od niepamiętnych czasów mieszkała staruszka. Była ona tak stara, że najstarsi ludzie pamiętali ją taką samą jak teraz, to jest z pomarszczoną i wychudłą twarzą, zgasłemi oczyma, bezzębnymi usty, zgarbioną i pochyloną, opartą na lasce, którą trzymała w drżącej, słabej dłoni.

Ludzie unikali staruszki, omijali ją z daleka, a gdy przypadkiem spotkał ją kto w lesie, śpiesznie uchodził w bok pierwszą ścieżyną, lub niechętnie odpowiadał na jej pozdrowienie. Uważano ją za czarownicę, jędzę, i obawiano się bardzo; ona jednak uprzejmie witała przechodniów, którzy z podziwieniem patrzali, jak wielkie wiązki trawy, lub dzikich owoców, zebranych w lesie, dźwigała do swojej pustelni.

Wychodziła po nie co rano, przebiegając doliny, napełniała wory i płachty, które miała z sobą, a przed wieczorem dopiero, ciężko ob-

ładowana, z trudem szła w góry skalistą drożyną do niskiej, samotnej chatki. Tu o tym samym czasie brzydka, choć młoda, pastuszka przyganiała stado gęsi z sąsiedniego jeziora.

To stado gęsi było całym bogactwem staruszki; co dzień też rano, nim się oddaliła, polecała strzedz go pilne gęsiareczce, a wieczorem liczyła swoje białe gąski i karmiła je sama przyniesionem zieleń i uzbieranymi kłóskami.

A nazajutrz szła znowu. Nieraz wicherrwał na niej ubogie ubranie, pehał ją po wązkiej ścieżce, tamował jej oddech, ulewa psuła drogę, zimno przenikało ją do kości, a ona szła wciąż dalej, podpierając się kosturzem i mruząc półgłosem jakieś niezrozumiałe wyrazy. Kto ją spotkał, litował się pomimo woli. wolałby jednak nie spotkać jej wcale; ona zaś spoglądała zagastemi oczyma, uśmiechała się życzliwie bezzębnemi usty i powtarzała zwykle:

— Nie dziw się, dobry człowieku, że tak stara ciężko pracować jeszcze muszę; każdy z nas dźwiga jakiś ciężar na tej ziemi, inaczej być nie może. Dopomóż zresztą starej, kiedy dobra wola.

Ale nikt się do pomocy skorym nie okazywał, przeciwnie, każdy znalazł zawsze jakąś

wymówkę, aby się usprawiedliwić w oczach starej wiedźmy.

Razu jednego, w piękny dzień jesienny, młody rycerz, który zabłąkał się na polowaniu, jechał przez las wolnym krokiem. Dobrze mu jakoś było tu samemu, słońce tak wesoło przyświecało z góry, łagodny wietrzyk poruszał gałązkami, ptaszki śpiewały, las pełen był życia i wesoło w duszy było rycerzowi. W tem na wielkiej zielonej polance, ozłoconej ciepłymi promieniami słońca, ujrzał pochyłą staruszkę, która klęcząc, ostrym sierpem żęła szmaragdową trawkę i składała ją do wielkiej, rozpostartej płachty. Obok stały dwa kosze, pełne dzikich gruszek i jabłek leśnych. Staruszka, jak zwykle, pozdrowiła go uprzejmie.

Rycerz patrzył na nią z litością.

— Czy myślicie to wszystko zabrać z sobą, matko? — zapytał wreszcie. — Gdzie wam się wystarczy?

— Cóż mam począć? — odparła; — nie mam dzieci ani wnuków; któż dopomoże starej? Biedni ludzie muszą więcej pracować na ziemi, niżli bogacze, ale każdy z losem zgodzić się powinien.

— A czy daleko mieszkacie, mateczko? — pytał młodzieniec, coraz większą zdjęty litością. — Toć dla tego chłopcy byłoby tu co dźwigać!

— Może mi chcesz dopomóc? — zawołała stara, a dziwny ogień błysnął w jej zagasłych oczach. — Jesteś młody i silny, dom mój niedaleko, ot na tej górze; dla ciebie to fraszka, i gdybym sama była w twoim wieku... no, no, dopomóż starej!

Rycerz pomyślał sobie, że naprawdę byłoby wstydem, gdyby pozwolił takiej sędziwej i słabej staruszce dźwigać do domu ciężkie brzemie. więc, uśmiechając się do niej, zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa.

— Wezmę twoje owoce, a ty nieś sobie trawę — rzekł dobrotliwie. — A czy to daleko?

— Z godzina drogi. Ale weź już wszystko. Od tylu lat nie miałam chwili odpoczynku, niech dziś odpocznę sobie! Co ci zacięży ta trawa? Czekaaj, sama zarzucę ci płachtę na plecy.

Na wiadomość o godzinie drogi, rycerz spojrział na słońce, które zaczynało już chylić się ku wieczorowi, potem na swego konia i miał ochotę szczerą zostawić babuleńkę własnemu losowi, samemu zaś pomyśleć o zbliżającej się nocy; ale gdy spojrział na nią, znowu go litość zdjęła.

— No, dajcie już, babulu, te swoje ciężary — odezwał się stanowczo — mam młodsze

od was nogi i prędzej może znajdę niż w godzinę. Za to dacie mi się napić mleka w waszej chatce.

— Mleka ci nie dam, moje słońko złote, bo go niema w pustelni; ale jak będę mogła, tak cię wynagrodzę za twoje miłosierdzie nad starą kobietą.

Zaśmiał się piękny rycerz z tej obietnicy staruszki i wziął w ręce oba koszyki, ona zaś zarzuciła mu płachtę z trawą na plecy.

— Ależ to ciężkie! — zawołał zdziwiony, z trudnością postępując po zielonej murawie. — Nie, nie dam rady, doprawdy, mateczko; wasze gruszki i jabłka cięższe od kamieni, a trawa gniecie jak ołów.

— No, proszę! i nie wstyd to rycerzowi tak wyrzekać na brzemię, które taka oto baba dźwiga codzien bez szemrania? Oj młodzi, młodzi, oj junaki, rycerze! oj, także wasze siły! A gdzież ci bohaterowie, co z olbrzymami, z potworami wojowali?

Wstyd się zrobiło naprawdę naszemu rycerzowi; i on przecież marzył nieraz, że wielkich czynów dokaże, potężnych pokona wrogów, sławę zdobędzie niezmierną, aż oto stara kobiecina silniejszą ma być od niego!

Więc nie nie mówił, choć nogi uginały się pod nim, ręce omdlewały i bolały, jakby się miały oberwać, a gorąco i zimno przebiegało



po całym ciele. Szedł jednak naprzód wytrwale, a staruszka biegła obok, śmiejąc się, dogadując i obiecując nagrodę. Tak doszli do stromej ścieżki, która wiodła pod górę, lecz gdy tutaj kamienie z pod nóg usuwać się zaczęły, pot wystąpił mu na czoło, tchu zabrakło w piersi a nie mając gdzie spocząć na skalistej drodze, zwrócił się znów do starej:

— Zlitujcie się, matulu, dalibóg, nie mogę. Pokażcie, gdzie odpocząć, bo mi sił zabrakło. Nie nawykłem od młodości do noszenia ciężarów, to nie moja praca, kobieto. Daj odpocząć, bo upadnę!

— Śmieć się z tego, mój dobroczyńco, nie zechcesz to nie upadniesz. Ja idę tak co dzień; a ot i chata niedaleko, już prawie tylko pół drogi.

-- To weźcież sobie choć tę wiązkę siana.

— Nie chcę cię krzywdzić, mój poczciwy chłopcze, kiedyś już tyle zarobił, musisz wytrwać do końca. Aj! skaleczyłam nogę ostrym, twardym kamieniem, — teraz i mnie jeszcze musisz zanieść do chaty.

To mówiąc, jak konik polny skoczyła mu na plecy i usiadła na płachcie z trawą.

Biedny rycerz, aż jęknął a ustanąć nie można ani na jedną chwilkę, bo ścieżka wązka, spadzista: chwila nieuwagi i wszystko runie w przepaść! Więc szedł w milczeniu, powie-

dziawszy sobie, że wytrwa, póki sił starczy, a gdy upadnie, dziej się wola Boża. I szedł noga za nogą po ostrych kamieniach, spadających na dół z łoskotem, niosąc oprócz brzemienia jeszcze starą babulę, która wciąż szeptała jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Wreszcie stanęli na wierzchołku góry. Prześliczna zielona łączka rozciągała się tu szeroko, nad przezroczystym jeziorem stała niewielka chatka, a po jeziorze pływały śnieżnej białości gąski, które na widok staruszki wzniosły w górę skrzydła, wyciągnęły długie szyje i biegły do niej z radosnym okrzykiem, jak dzieci, witając ukochaną matkę. Tuż za niemi ukazała się i gęsiareczka, wysoka, chuda, czarna, opalona dziewczyna, tak brzydka, że trudna było nie odwrócić od niej oczu. Rycerz spojrział na nią z litością i żalem, bo miał serce pełne dobroci.

Stara przywitała się z gąskami, pogłaskawszy każdą po szyi, potem zdjęła z rycerza wiązkę trawy, a dziewczynie kazała odebrać od niego kosz z owocami.

— Dziękuję ci za przysługę, — rzekła żartobliwie. — Cóż, Krasotko, nie dziwisz się, że znalazłam wreszcie takiego, co mi pomógł w ciężkiej pracy? Spocznijże sobie, szlachetny rycerzu, a ty, Krasotko, pójdź za mną do cha-

ty, bo gotów się zakochać w tobie, i miałabym nową biedę z takim gościem.

Śmiała się sama z tego żartu, ale zabrała dziewczynę, choć rycerz nie uśmiechnął się nawet, aby nie wyrządzić przykrości nieszczęśliwej istocie, pomyślał jednak: “Nie lękaj się o moje serce, nie posiedzę tu dłużej nad krótką chwileczką i pewno nie powrócę więcej. Dość miałem dzisiejszej drogi. Choć ładna to pustelnia! Ciemne lasy dokoła, w górze jasne niebo, świat daleko, a Bóg blisko. Nawet ta maleńka chata wygląda jak zabawka, tak jest czystą i schludną.

Ach, jaka to szkoda, że w niej mieszka tylko stara czarownica i dziewczyna, podobniejsza do upiora, niż do ludzkiej istoty. Ale cóż ona biedna winna temu?”

— A jakie tu śliczne kwiaty! jak przyjemny zapach! — zawołał głośno, kładąc się na ławce pod dziką gruszą i patrząc na łąkę. Czarodziejskie jakieś miejsce. Ach jakże jestem znużony!

Ziewnął, przymknął powieki i zasnął natychmiast.

Zdawało mu się, że spał jedną chwilkę, gdy stara go zbudziła silnem szarpnięciem za ramię.

— Nie mam dla ciebie miejsca w chacie na noc, wracaj śpiesznie do konia, bo zmrok

zapadnie wkrótce, a za trud weź odemnie tę pamiątkę i strzeż jej dobrze: przyniesie ci szczęście.

Rycerz spojrział na przedmiot, który mu podała, i aż zamrużył oczy od blasku cudownie pięknego szmaragdu, wielkości płaskiej śliwki, ze złotym zameczkiem. Był to klejnot, godny królewskiego skarbcza, więc zawahał się chwilę, czy go przyjąć może.

— Nie wicie zapewne, matko, że to rzecz bardzo droga.

— Nie troszcz się o to, bierz, kiedy ci dałam, i jedźże sobie raz przecie. Konia ci wilki zjedzą.

Na wspomnienie konia, rycerz zerwał się na równe nogi, schował medalion, pożegnał staruszkę i pośpieszył do lasu. Sam zdziwił się, że wcale nie czuł już zmęczenia, lecz chociaż szedł bardzo szybko znaną mu już dobrze ścieżką, upłynęła godzina, nim spuścił się z góry, druga, nim znalazł konia, i było już tak ciemno, że rozpałił wielki ogień, aby przenocować w lesie.

Nazajutrz wstał o świcie. Brylantowa rosa jaśniała na każdym listku, każdym źdźbełku trawy, złote słońko wstawało wśród różowych obłoczków, i tak mu było wesoło na duszy, świat wydał mu się tak pięknym i ciekawym, że postanowił objechać go cały do ko-

koła i poznać wszystkie dziwy, o których sły-  
szal tak wiele.

Więc napił konia, sam zjadł trochę ja-  
gód i pożywnych korzeni i wyruszył w drogę,  
w nadziei, że niezadługo trafi na jaką zagro-  
dę, gdzie lepiej pokrzepi siły. Zawiódł się je-  
dnak, drogi ani chaty nigdzie nie było, lecz ko-  
ło południa zabił zająca, znalazł ul pszczoł  
dzikich i źródło czystej wody, więc głód za-  
spokoił. Na drugi dzień błakał się znowu i do-  
piero przed wieczorem dnia trzeciego wjechał  
do pięknego miasta, w którem panował król  
potężny i sprawiedliwy.

Dowiedziawszy się o tem rycerz, kazał  
się zawieźć do zamku i postanowił przyjąć  
służbę u tego monarchy.

W obszernej sali król siedział na złotym  
tronie, w koronie, jaśniejącej od drogich ka-  
mieni, i purpurowym płaszczu, złotem hafto-  
wanym; obok królowa, blada jak lilijka; ze  
świecącemi jak gwiazdy oczyma, w dyamen-  
towej koronie i błękitnym płaszczu, naszywa-  
nym perłami precudnego blasku, z których  
każda podobną była do łyzy zastygłej.

Przybyły rycerz naprzód pokłonił się ni-  
sko, potem spojrział na surowe oblicze starego  
króla, piękną postać królowej, i zbliżywszy  
się do tronu, ukląkł i w krótkich słowach wy-

raził prośbę swoją, składając w darze u stóp monarchini dar, otrzymany od staruszki.

Król wysłuchał łaskawie słów nieznanego, królowa uśmiechnęła się łagodnie, wzięła kosztowny klejnot z rąk młodzieńca, otworzyła go, spojrzała i nagle, z krzykiem wyciągnęła w górę białe dłonie i padła niby martwa na swój tron złocisty.

Pospieszyły na ratunek obecne niewiasty i wyniosły zemdloną królowę, ale król zawrzał wielkim, srogim gniewem i zuchwalca, który był przyczyną tego wypadku, rozkazał wtrącić do więzienia.

Wrzucono go więc do ciemnego lochu, ale zaledwie krótką chwilę tam pozostał, gdy przybyli po niego wysłańcy królowej, która zażądała, by stawił się przed nią natychmiast.

W pokoju, gdzie spoczywała przywrócona do życia królowa, nikogo prócz niej nie było. Gdy rycerz stanął na progu, skinęła nań łagodnie, a skoro się zbliżył, zapłakała znowu.

— Skąd masz ten klejnot? — zapytała, wreszcie, otwierając szmaragd, w którym ujrział teraz dopiero perłę precudnej piękności i blasku, zupełnie podobną do tych, które lśniły na błękitnym jak skrawek nieba płaszczu płaczącej królowej.

Rycerz opowiedział, kiedy i jakim sposobem otrzymał cenny podarunek, a królowa wciąż płacząc tak mówiła dalej:

— Nie dziw się łzom moim, szlachetny rycerzu i dopomóż nam w nieszczęściu, a jeśli, dzięki tobie, odzyskamy naszą stratę, król nie odmówi żadnej prośbie twojej. Ta perła, którą mi ofiarowałeś, jest łzą najmłodszej, najpiękniejszej mej córki. Któraż matka nie pozna łzy dziecka swojego? Dwie córki mieliśmy piękne, lecz młodsza piękniejsza była: złote jej włosy, jak promienie słońca, okrywały ją aż do ziemi, oczy jak gwiazdy, usta jak maliny, twarz niby śnieg i jutrzeńka. Kędy się ukazała, jakby słońko wzeszło, głos jej — najcudniejsza muzyka, a gdy zapłakała, takie oto perły padały z jej oczu.

Na jedną chwilę umilkła królowa, ze smutkiem patrząc na swój płaszcz błękitny; potem mówiła dalej:

— Starsza siostra zazdrosną była [może i miała słusność], obawiała się, że ojciec niesprawiedliwym będzie i piękniejszą część królestwa dla młodszej przeznaczy i tak mu dokuczyła swoimi żałami, że oznajmił, iż część lepszą nie ta z nich dostanie, którą on lepiej kocha, lecz która lepiej go kocha, a żeby więcej do żalów nie było powodu, natychmiast państwo swoje postanowił rozdzielić.



Wezwane przed tron ojcowski wobec całego dworu stanęły obie królowny. Starsza odezwała się bez namysłu:

— Ja, drogi ojcze, kocham cię, jak słońko na niebie, jak najpiękniejsze perły, najdroższe kamienie, jak tę złotą koronę i płaszcz purpurowy, jak wszystkie stroje, klejnoty i cacka, jak miód słodki i owoce, jak przejrzyste wino, jak wszystko, co jest dobrem i pięknem na świecie.

A królowna Gołąbka stała i milczała, nie umiała powiedzieć, jak kocha ojca swego. Król popatrzył na nią, poczekał i powtórzył rozkaz, ale ona wciąż milczała i tylko łezki perłowe sypać się zaczęły z jej gwiazdzistych oczu.

— Ja nie umiem powiedzieć, jak cię kocham, mój ojcze — rzekła nakoniec; — kocham cię duszą całą.

Dwór widział, że król pobladł z gniewu, ale zażądał jeszcze, aby córka lepiej wyraziła swoje uczucia, a gdy milczała ciągle, nie otwierając ust różanych, w uniesieniu gniewu rozkazał dworzanom nieposłuszne dziewczę precz uprowadzić do lasu, żeby jej oczy jego więcej nie oglądały.

Nikt się nie ośmielił sprzeciwić rozkazowi króla, a biedna Gołąbka drogę sypała perłami, lecz szła w milczeniu, posłuszna i cicha.

Zostawiono ją samą w czarnym borze, a gdy gniew ominął króla i szukać jej znów rozkazał, nigdzie już śladu naszej pieszczotki nie było. Zniknęła, jak chmurka biała na wysokim niebie, jak cień przed słońcem. Piętnasty rok miała, a trzy lata od tego czasu upłynęły bez żadnej wieści; myśleliśmy oboje, że zwierdziki poszarpał jej piękne, młode ciało, a dusza uleciała do nieba.

Aż oto dziś przynosisz mi w darze jej łezkę... Kto ci ją dał, musiał wiedzieć o losach królowny. Musisz nam więc dopomódz odszukać staruszkę.

Rycerz przyrzekł uczynić, co będzie w jego mocy, a że sam dobrze nie pamiętał drogi, bo trzy dni błądził, nim wyszedł z lasu, więc nazajutrz wczesnym rankiem miał się udać naprzód, by odszukać wróżkę, nim król i królowa z licznym orszakiem wybiorą się w podróż.

A tymczasem staruszka żyła po dawnemu w swojej pustelni z brzydką gęsiareczką: w dzień schodziła w dolinę i przynosiła stamtąd zioła, owoce leśne i jagody, wieczorem powracała na szczyt góry, pieściła gąski, potem brała wrzeciono i z gęsiareczką razem przezdła cienkie nici, dopóki jasny księżyc nie zaświecił na niebie. Wtedy dziewczyna biegła z kolei w dolinę, a staruszka czekała na nią

przy kądzieli. Gęsiareczka powracała zawsze przed północą i zawsze przynosiło swojej opiekunce złotem haftowaną z przędzy pajęczej chustkę, pełną precudnych pereł...

Dnia pewnego staruszka więcej była zamysłona niż zwykle; dziwny uśmiech osiadł na jej bezzębnych ustach, w oczach migąło szczególne światółko, a nitka rwała się w ręku. Nakoniec spojrzała w okno i zwróciła się do dziewczęcia.

— Czemu nie idziesz? — spytała trochę niecierpliwie.

— Jeszcze miesiąc nie świeci.

— Zaświeci za chwilę. Spiesz i powracaj prędko, czeka na nas robota.

Gęsiareczka ze zdziwieniem spojrzała na starą, lecz przywykła do posłuszeństwa, postawiła w kącie kądziel i wrzeczono, wzięła ze skrzyni złotem haftowaną z pajęczej przędzy chusteczkę i lekkim krokiem pobiegła w dolinę.

Jak sarna przemknęła się między drzewami, nie sprawiając wcale szelestu. i biegła, ledwo dotykając ziemi, na szmaragdową łączkę, gdzie z pod wspaniałego dębu wytryskało kryształowe, jak lód chłodne źródło. Złote żółędzie dębu przeglądały się w niem ciekawie, mgła srebrzysta leciuchno słała się po ziemi, a kiedy gęsiareczka dobiegała do źródła, jasny

księżyc wzniósł się wysoko na niebie, i zrobiło się tak jasno, że gwiazdy pobladyły i można było zliczyć wszystkie krople rosy.

Wtedy dziewczę zrzuciło z siebie ciemną skórę, i ukazała się dziewica piękna jak dzień boży, z gwiazdzistemi oczyma, z włosami jak promienie słońca, z ustami jak maliny, z twarzą jak śnieg białą, jak poranna zorza rumianą. Zrzuciła z siebie skórę i jak złota rybka pluskać się zaczęła w przejrzystem źródelku, bijąc wodę białą nóżką, pluskając rączkami, puszczając na nią swoje złote włosy.

Wreszcie wyskoczyła na brzeg, otrząsnęła się z brylantowych kropli, pochwyciła swoją skórę, obmyła ją w czystej wodzie, rozłożyła na świetle, aby prędzej wyschła i usiadłszy obok, ukryła twarz w dłonie i gorzko płakać zaczęła. Płakała i płakała, a przez cienkie paluszki sypały się łzy perłowe na zieloną trawkę...

Nagle w gąszczu zahukała ponurym głosem sowa; dziewczę zerwało się spiesźnie, pozbierało lezki w trawie rozsypane dokoła, gdy wtem na stuletnim dębie z trzaskiem złamała się gałąź, coś poruszyło się w ciemnej gęstwini... Spłoszona gęsiareczka w mgnieniu oka zarzuciła na siebie brzydką, ciemną skórę, i zostawiwszy perły na murawie, co tchu uciekać zaczęła do chatki.

Próżno rycerz, ukryty na tym właśnie dębie, poskoczył za nią: znikła mu między drzewami, i zrozumiał, że po nocy nie znajdzie jej śladu, ale przynajmniej już pewnym był teraz, że to Gołąbka, królewna, płacząca perłowymi łzami.

Wrócił do źródła: na zielonej trawie leżała jeszcze z przędzy pajęczej chusteczka, a cudne perły, rozsypane wkoło świadczyły, że to, co widział, nie było złudzeniem.

Gęsiareczka przybiegła do chaty zdyszana i drżąc z trwogi, opowiadała, co zaszło; lecz stara uśmiechnęła się tylko za całą odpowiedź i powtórzyła, że czas się zabrać do roboty.

— Do roboty, babulu? Toć już północ blisko, sowa huczała w lesie.

— Północ? A czy pamiętasz, że o tej godzinie trzy lata dziś upłynęły, jak weszłaś do mojej chaty? Służba twoja skończona, dłużej tu być nie możesz, więc nim odejdiesz lub staniesz się gąską, jak inne, które były przed tobą, musisz wszystko sprzątnąć i pozostawić czystem jak kwiat świeży.

— Matulu moja, czy nie wiernie służyłam, czy nie byłam posłuszną, że mię wypędzasz? Gdzież się podzieję biedna, nieszczęśliwa sierota?

— Za twoją służbę otrzymasz nagrodę, na jaką zasłużyłaś, a może i innym przyniesiesz

ulgę w ich doli, tymczasem pomóż mi jeszcze sprzątnąć izdebkę. Potem pójdziesz do siebie, a wtedy zdejm tę skórę i wrzuć ją w ogień; włóż jedwabną suknię, w której tu przyszłaś, roczesz złote włosy i czekaj, aż cię zawołam.

Dziewczę ze łzami w oczach posłuchało, a staruszka, gdy uprzętnęły maleńką izdebkę, wzięła znów kądziel i wrzecziono i spokojnie prząść zaczęła.

Świt różowy zajaśniał na pogodnem niebie, gdy znaną nam skalistą i stromą dróżyną trzy osoby wdarły się na zielone wzgórze, gdzie stała chatka staruszki. Białe gąski spały jeszcze nad jeziorem, ukrywszy główki pod skrzydłami, cicho też było bardzo w tej pustelni, żaden wietrzyk nie poruszał zielonych ździebeł trawki, obciążonych brylantową rosą, żaden ptak nie zaświergotał na przyjęcie gości.

A ci goście byli to: król, królowa i rycerz, który odszukał wreszcie znaną stromą ścieżkę; zostawiwszy orszak u stóp góry, sami we troje wdarli się na jej wierzchołek.

— Jak tu ślicznie! — rzekła zdziwiona królowa — zdaje mi się, żeśmy weszli do ziemskiego raju. Jaka świeża i zielona trawka na tej łączce! jakie czyste powietrze!

— A chatka jak zabawka, aż lśni od czystości — dodał król z zadowoleniem. — Tru-

dno jest prawie wątpić, że tu się kryje nasza córka, po tem, co nam ten młody rycerz opowiedział, więc cieszy mnie przynajmniej, że tak miłe miała schronienie.

Rycerz tymczasem pierwszy zbliżył się do chatki, zajrzał przez okno i spostrzegłszy staruszkę z kądzielą i wrzecionem, uprzejmie ją pozdrowił. Uśmiechnęła się tylko i skinęła głową, a król zapukał do drzwi.

— Witam was, witam, oczekiwani goście!  
— zawołała staruszka, otwierając nízkie drzwiczki. Wiem, co was tutaj sprowadza i smucić was dłużej nie chcę. Królowna Gołąbka kwitnie jak wiosenny kwiat, a pod dachem starej wróżki nie poznała nic złego; nauczyła się tylko pracy i modlitwy, które są udziałem ludzi smutnych i ubogich. No, córeczko — dodała — skończył się i dla ciebie czas tęsknoty i żalu.

To mówiąc, otworzyła drzwi niziutkie i stanęła w nich nasza Gołąbka królowna, w płaszczu włosów złocistych jak promienie słońca, z oczyma jak gwiazdy, twarzą jak śnieg białą i rumieńcami jak poranna zorza. Ujrzawszy ojca, matkę, rzuciła im się na szyję z okrzykiem i łzami radości, a król i królowa, płacząc także ze wzruszenia, przyciskali do serca odnalezione dziecko.



Wtem królowna spostrzegła młodego rycerza i zarumieniła się nagle, jak obłoczek w słońcu, a rycerz także zmieszał się tak bardzo, że nie umiał do niej przemówić. Nie było zresztą czasu, gdyż król, ochłonawszy z gwałtownego rozczulenia, odezwał się z troską w głosie:

— Drogie ty moje dziecię pokrzywdzone! odzyskałaś rodziców, lecz nie odzyskasz swego państwa: mąż twojej siostry całe otrzymał królestwo, dla ciebie nic nie zostało.

— Potężny królu! — zawołał rycerz uszczęśliwiony — jeśli królowna zechce przyjąć mnie za męża, będzie jedyną panią w zamku mojego ojca, który posiada piękne i rozległe pola, łąki i lasy, wierne sługi, piękne konie i mnie, jedynaka syna. Będzie tam panią, przez wszystkich kochaną; skinienia jej słuchać będą, jeżeli...

Wtem zaśmiała się staruszka, i rycerz umilkł zmieszany.

— Nie lękaj się o nią — rzekła z wesołym śmiechem — pracowita córeczka moja, królowna Gołąbka, ma pełną skrzynię łez swoich, które więcej są warte, wielki królu, niż wszystkie ziemie twoje, szlachetny rycerzu. Perł takich daremnie szukałbyś w głębi morza, nie posiada ich żaden bogacz ani żaden monarcha i dlatego są droższe nad wszystkie klejno-

ty. A za trzyletnią służbę, pracę i posłuszeństwo ma ode mnie tę oto drugą skrzynię klejnotów, jakich próżnoby kto szukał na świecie i tę oto chatkę. Jestem Wróżka-Skoronózka, strach i kara dla leniuchów, opiekunka pracowitych. Królewno Gołąbko, to twój pałac i państwo.

Tupnęła nóżką i w tej samej chwili zajaśniało dokoła niby południowe słońce, zdrząły ściany chatki i znikło wszystko. Król i królowa, królowna i szlachetny rycerz znaleźli się w przepysznej kryształowej komnacie najpiękniejszego w świecie kryształowego pałacu; otaczali ich dworzanie, rycerze i dziewice w bieli, wierna służba czekała na każde skinienie; w głębi stał stół nakryty, a dokoła zamku ciągnęły się kwieciste ogrody, zielone gaje, szumiące strumyki, a dalej piękne i bogate miasta, aż do samego morza, gdzie mnóstwo okrętów przywoziło kosztowne, zamorskie towary.

Król i królowa patrzali zdumieni, rycerz zbladł nagle i cofnął się smutny, lecz królowna Gołąbka podeszła ku niemu, ujęła go za rękę i rzekła cicho do rodziców:

— Kto był dobrym dla starej, ubogiej kobiety i brzydkiej gęsiareczki, ten będzie moim mężem z wolą waszą, ojcze i matko.

---

# ŻOŁNIERZ I DYABEŁ.

Dawno już, bardzo dawno, skończyła się wojna, nagrodzono zasłużonych i odesłano do domu, bo król w czasie pokoju nie mógł utrzymać tak wielkiej armii. Idą sobie żołnierze, idą gromadkami; gdzie który ma żonę, dzieci, to mu do nich spieszą; gdzie który ma rodziców, to rad ich uściskać; gdzie który ma jedno gospodarstwo, to też myśli sobie, co tam zastanie w domu na swoim zagonie.

A jeden młody żołnierz szedł ze spuszczoną głową, i nie pilno mu było pod rodzinną strzechę. Nie miał żony ani dzieci, rodzice dawno mu pomarli, a braciom nie niósł zdobyczy, więc nie był nawet pewien, czy zechcą jeszcze wpuścić go do chaty.

A cóż miał robić? Gdy usłyszał o wojnie, nie mógł usiedzieć, jak oni, za piecem; porzucił rolę, poszedł służyć królowi, choć mu zapowiedzieli, że jeśli powróci z pustymi rękoma do nich, znać go nie chcą wcale. Młody żołnierz bił się dzielnie, nie lękał się wroga, nie drżał przed ogniem ani mieczem nagim, to też po skończonej wojnie dowódca zawiesił na jego

piersi znak zasługi i uznania, skarbnik wypłacił mu żółd niebogaty, towarzysze przyjaźnie ścisnęli za rękę, i wszyscy się rozeszli. Sam pozostał teraz, sam na szerokim stepie.

Idzie i myśli sobie, jak go powitają bracia: czy dadzą część ojcowizny, czy pozwolą zostać w chacie? Idzie i myśli. Nagle zastępuje mu drogę człowiek wysoki, chudy, w zielonym surducie, z kopytkami na nogach.

— Znam cię — przemówił żołnierz — ale się nie boję.

— Tem lepiej, zuchu, łatwiej się porozumiemy. Czegobyś pragnął: złota? śmierci braci?

— Precz, kusicielu! — krzyknął żołnierz oburzony: — nie mam czem płacić za twoje usługi.

Dyabeł zniknął, a wojak śmiało poszedł dalej i nim nastąpił wieczór, stanął przed oczyszłą chatą.

— Witajcie, panowie bracia — rzekł pokornie — wojna skończona, przyjmijcie do chaty, może przydam się na co nim nastąpi druga.

— A co przyniosłeś z wojny? — zapytali chciwie.

Pokazał im znak zasługi i grastkę drobnej monety.

— Idź precz z taką zdobyczą! — zawołali gniewnie. — Nie mamy tutaj chleba dla próżniaków; ziemia jest nasza, bo pracujemy na niej, i chata nasza, bo na ziemi stoi. Nic tu dla ciebie niema. — Cóż więc będę robił?

— Rób, co ci się podoba; sam wybrałeś rzemiosło, gryźże teraz żelazo, popijaj krwią ludzką.

— Dajcież mi choć przenocować, pożegnać ojcowiznę.

Poszemrali niechętnie, zgodzili się jednak, dali mu kawał chleba, podzielili się wieczerzą, a nazajutrz na drogę nagotowali grochu i wyprawili z chaty, zapowiadając, aby do niej nie wracał.

— Każdy z nas się ożenił, każdy ma dzieci, nie możemy ich krzywdzić, żeby się dzielić z tobą — mówili, usprawiedliwiając swoje postępowanie.

I poszedł znów biedny żołnierz; idzie drogą, lasem, wyszedł na step szeroki; groch już zjadł dawno, a tu nic niema, żeby siły pokrzepić. Usiadł na ziemi, smutnie zwiesił głowę i myśli nad swoją dolą.

Wtem coś zaszeleściało; obejrzał się: stał przed nim człowiek wysoki, chudy, w zielonym surducie, z kopytkami na nogach.

— Cóż — spytał — panowie bracia oddali ci, co twoje?

— To do ciebie nie należy — odparł żołnierz ponuro.

— No, nie gniewaj się mój zuchu, chcę twojego dobra. Dam ci złota ile zechcesz, bylebym się przekonał, żeś naprawdę taki odważny, jak mi chcesz się okazać.

— Żołnierz tchórzem być nie może.

— Eh, eh! mój kochany, różnie to bywa. Ot, spojrzij za siebie.

Coś zasapało, zamruczało z cicha, i żołnierz, obejrzawszy się, ujrzał wielkiego niedźwiedzia, który powoli zbliżał się ku niemu i był już o parę kroków.

— Ba! — zaśmiał się dzielny żołnierz, a oczy mu błysnęły. — Poczekaj-no, Misiu, dawno pragnąłem zmierzyć się z tobą; będzie wiecezra! Czy znasz taką fujarkę? Dobrze gra do tańca.

To mówiąc, wymierzył, padł strzał trafny, i niedźwiedź, mrucząc ze wściekłością, rozciągnął się, jak długi.

— Dobrze — chwalił dyabeł — wybornie! Teraz mój dzielny chłopcze, pomyśl, jak byłoby wygodnie mieć zawsze kieszeń pełną złota? Bracia wypędzili cię z chaty i nikt ciebie nie przyjmie. Co ty umiesz? nic; a do tego, niech-no zatrąbią w pole, rzucisz wszystko i pójdziesz. No cóż, przyjacielu?

Żołnierz pomyślał sobie o ciężkiej swojej biedzie, nielitościwych swoich braciach i pustym żołądkiem.

— Duszy ci nie zapiszę — rzekł jednak pochmurnie.

— Bo i pisać nie umiesz; zresztą sam posłuchaj, jak dogodnie stawiam ci warunki: Oto, przez lat siedm z rzędu, nie będziesz się mył, ani cesał, nie będziesz strzygł paznokci ani włosów i nie będziesz się modlił rano ani wieczorem. Dam ci ten zielony surdut, a skóra niedźwiedzia będzie twoim płaszczem i łóżem; innego mieć ci niewolno. Przez ten czas będziesz miał zawsze pieniędzy pełną kieszeń, a potem do końca życia ile zechcesz. Jeżeli umrzesz w ciągu tych lat siedmiu, jesteś moją własnością, ale jeśli żyć będziesz, pozostaniesz wolnym i, na mocy naszej umowy, żadnego nie będę miał prawa do twojej duszy. No, zgoda?

— Jeśli przeżyję lat siedm, nie będziesz miał do mnie prawa?

— Żadnego.

— Hm — mruknął żołnierz, wspomniawszy o kulach, strzałach i mieczach, pomiędzy którymi uwijał się tylokrotnie, a śmierć go nie dosięgła, może i teraz się uda. Ha, co będzie, to będzie!

— Zgoda — rzekł stanowczo.



— To mi się podoba. Kładź mój surdut, Niedźwiadku |tak się nazywać będziesz|, a skórę sam zdejm sobie. Do widzenia za lat siedem.

I zniknął.

Zołnierz popatrzał za nim, ruszył ramionami i miał ochotę się przeżegnać, ale w porę przypomniał sobie, że mu tego nie wolno; włożył zielony surdut, sięgnął do kieszeni, a przekonawszy się, że w niej pełno złota, obciągnął skórę z niedźwiedzia i poszedł do miasta.

Dobrze mu się wiodło przez rok cały: używał, hulał, nie tracił humoru, ubogim hojnie rozdawał jałmużny, i nie brakło mu wesołych towarzyszków zabawy. Ale już w drugim roku zaczął wyglądać jak potwór: paznokcie zamieniły mu się w sępie szpony, twarz cała porośla włosem, a była tak brudną, że gdyby posiano na niej zboże, wyrosłoby niezawodnie. Ludzie zaczęli uciekać od niego, za wszystko musiał płacić dziesięć razy więcej, niż każdy inny, bo nie chciano mu nic sprzedać, ani udzielić pod dachem schronienia. Coraz też większe sypał dary ubogim, polecając się ich modlitwom, a by go Bóg przez lat siedem zachował od śmierci. Ale ciężiej mu było prawie z każdym tygodniem. Sypiał na niedźwiedziej skórze w pogodę pod gołym niebem, ale w zimno, mróz, zawieruchę trudno mu było bardzo znaleźć sobie

gospodę; a do stołu nikt go przyjąć nie chciał, tak, że i za drogie pieniądze lichy żywić się musiał.

Raz, było to już w czwartym roku tej jego ciężkiej pokuty, zmokły i głodny zaszedł do oberży, ale gospodarz nietylko do izby wpuścić go nie chciał, lecz oborę i stajnię zamknął przed nim, aby mu zwierząt nie wystraszył. Wtedy Niedźwiadek pokazał mu pełną garść złota i sięgnął po drugą jeszcze; to wzruszyło oberżystę i wpuścił go nakoniec do jakiejś pustej izby, przykazując surowo, aby się nikomu nie pokazywał.

Przyniesiono mu jedzenie, zaspokoił głód i położył się w kącie izby na niedźwiedziej skórze. Wieczór już zapadł, więc chciał usnąć co prędzej, gdy w sąsiednim pokoju usłyszał ciche szlochanie.

Podniósł się, nasłuchuje: ktoś przemawia głośno z wyrazem wielkiej rozpacz, to znów szlocha i jęczy.

Były żołnierz miał dobre serce; korzyshtając ze zmroku, odważnie drzwi uchylił i zajrzał do izdebki. Ale na jego widok, znajdujący się tam mężczyzna z przestachu chciał uciekać.

— Zatrzymaj się, w imię Boże; nic ci złego nie zrobię! — zawołał nieszczęśliwy potwór.

Usłyszawszy głos ludzki, człowiek zatrzymał się na progu, a były żołnierz łagodnymi, serdecznymi słowy zaczął go wypytywać o powód zmartwienia.

Nieszczęśliwy opowiedział, że był w nędzy, a po chorobie niezdatny do pracy, nie mógł zapłacić długu, chciwy oberżysta zagroził mu, że go każe wtrącić do więzienia.

— O, jeśli o to idzie, to nie troszcz się o pieniądze; dopomogę ci chętnie, tylko pamiętaj codziennie zmówić pacierz, żeby mnie Pan Bóg jeszcze przez lat cztery zachował przy życiu.

To powiedziawszy, wysypał pełne kieszenie złota biedakowi i śmiał się, patrząc na jego radość i zdziwienie.

— Słuchaj — rzekł ten ostatni — nie wiem, jak mam ci dziękować! Jesteś moim dobroczyńcą. Chodź do mego domu, mam trzy córki, piękniejsze od samej jutrzeńki; gdy się dowiedzą, coś dla nas uczynił, każda z nich chętnie będzie twoją żoną, więc sam wybierzesz, która ci się spodoba.

Zgodził się na to chętnie Niedźwiadek i poszli razem.

Ale najstarsza córka, ujrzawszy potwora, o którym ojciec przedtem opowiedział wszystko, przeleżała się i uciekła z płaczem i krzykiem do lasu. Druga stanęła w miejscu, niby

skamieniała, i długo słowa przemówić nie mogła; nakoniec rzekła:

— Alboż to człowiek! Ma głos ludzki i zło-  
to, lecz wstrętniejszy jest od zwierzęcia. Wo-  
lałabym umrzeć zaraz, niż zostać jego żoną.

Lecz trzecia rzekła:

— Drogi ojczy, snadź dobry to człowiek,  
skoro cię ocalił od nieszczęścia, a nas od sie-  
roctwa i nędzy. Obiecałeś mu, że jedna z nas  
zostanie jego żoną, i musimy słowa dotrzy-  
mać. Ja będę ci posłuszną.

Biedny Niedźwiadek milczał, ale serce bi-  
ło mu w piersi, niby ptak uwięziony, kiedy słu-  
chał tych słów pocziwych. Potem zdjął pier-  
ścień z palca, rozłamał na dwoje, dał dziewe-  
czce połowę, sam zachował drugą i przemówił  
łagodnie:

— Zobaczmy się za trzy lata, przez ten  
czas muszę jeszcze podróżować. Tymczasem  
módl się za mnie. Gdybym nie powrócił, znak  
to, że już nie żyję, a ty jesteś wolną. Gdy po-  
wrócę, zażądam połowy pierścienia, więc cho-  
waj go do tego czasu.

I odszedł.

Ojciec uściskał córkę ze łzami, i ona łzy  
miała w oczach, ale się nie rozplakała: nie  
chciała martwić go daremnym żalem. Ubrała  
się jednak czarno, nie śmiała się nigdy, a w  
pracy i modlitwie szukała pociechy. Ojciec ko-

chał ją odtąd więcej, niż poprzednio, lecz siostry naśmiewały się z niej bezustannie i dręczyły ją swemi żartami.

— Strzeż się — mówiła starsza — bo twój piękny małżonek, jak cię uściśnie kiedy, to i zdusi na miejscu. Prawdziwy niedźwiedź tak strasznie nie wygląda.

— Albo zje — dodawała druga — tyś taka słodka, a wiadomo przecie, że niedźwiedzie lubią słodocze.

— Pięknie będziecie wyglądali przy ślubie!

— A jeszcze lepiej w tańcu: niedźwiedzie tańczyć lubią.

I śmiały się obiedwie, a dziewczę w milczeniu połykało łyżę gorzkie, lecz nie zmieniło swej woli.

“Co ojciec postanowił, dziecko spełnić powinno” — mówiła sobie w duszy, i pracowała, cicha, niby cień jaki, snuła się po domu, nie odpowiadając siostrze na ich przykre żarty.

A tymczasem Niedźwiadek wędrował po świecie, ogromne dary sypał ubogim, cierpiącym, aby się modlili za niego, a sam cierpliwie czekał wybawienia. O przyjemnościach teraz mowy być nie mogło, ścigany wszędzie, krył się w gęstych lasach, podstępem lub przemocą zdobywając pożywienie. Uważano go za osobli-

wsze zwierzę i nawet złoto nie mogło ulżyć jego niedoli.

Wybiła jednak wreszcie ostatnia godzina, siedem lat się skończyło, i nieszczęśliwy potwór pospieszył na step szeroki, gdzie po raz pierwszy spotkał kusiciela w zielonym surducie.

Niedługo czekał: wiatr zaświszczał przezraźliwie, step jęknął głucho, i wysoki człowiek z końskimi kopytami stanął przed nim znowu.

— Oddawaj mi mój surdut! — rzekł ze złością jawną, rzucając mu na ziemię żołnierskie ubranie.

— Hola, mości dyable, nie tak prędko! Pierwej zrób ze mnie człowieka. No, do roboty!

I dyabeł, chcąc nie chcąc, musiał zabrać się do roboty. Przyniósł wody i szczotki, rozpałił wielki ogień, rozgotował mydła i różnego ziela, potem w ogromnym kotle wykąpał Niedźwiadka, obciął mu paznokcie, włosy, wyprał brudną bieliznę, a kiedy dawny żołnierz ubrał się w swoje suknie, wyglądał piękniej niż dawniej i przejrzawszy się w wodzie, aż zaśpiewał z radości.

— No, teraz postaw mi tu worek złota, drugi pełen dyamentów, trzeci pełen pereł, a oddam ci twój zielony surdut, i niech cię oczy moje więcej nie zobaczą.

Dyabeł i to spełnić musiał, a ponieważ żołnierz nie mógł swoich bogactw sam zabrać ze stepu, kazał mu jeszcze przyprowadzić osła i pżegnawszy przekleństwem spoconego szatana, udał się wprost do miasta. Tu kupił sobie piękny dom z ogrodem, wspaniały powóz i cztery runaki; potem wynajął służbę i przybrawszy się w kosztowne, aksamitne ubranie pojechał do narzeczonej.

Kiedy wspaniały powóz zajechał przed ubogi domek, ojciec i starsze córki wybiegły na przeciw gościa. wprowadzili go do pokoju, częstowali miodem i pysznem pieczywem i gościnnie zabawiali do południa. Nieznajomy obu siostróm podobał się bardzo, bo tak pięknego chłopca w życiu nie widziały, więc każda chciała zwrócić jego uwagę na siebie i najśłodszym głosem zachęcała, by się pokrzepił i wypoczął. Najmłodsza tylko córka nie odzywała się wcale; w czarnej sukience, ze spuszczoneym wzrokiem, zajęta pilnie robotą, siedziała przy oknie i jakby nie wiedziała, co się wkoło niej dzieje.

Nieznajomy pił, rozmawiał i śmiał się wesoło, bo mu przyjemnie było pośród ludzi; lecz choć życzliwie patrzył na piękne dziewczęta, częściej spoglądał na czarno ubraną dziewczę i zapytał nakoniec o powód jej smutku.



— Zaręczyła się z Niedźwiadkiem przed trzema laty już i nie może się doczekać swego narzeczonego — zaśmiały się starsze siostry.

Ojciec zgromił je za tę złośliwość, biednej dziewczeczce łzy w oczach stanęły, lecz gość oznajmił, że słyszał tak wiele o piękności córek ubogiego człowieka, iż przyjechał tu, ażeby wziąć jedną za żonę.

Usłyszawszy to, obie siostry wybiegły z pokoju, aby się przebrać w najpiękniejsze suknie, a tymczasem nieznajomy nalał kubek miodu, wrzucił weń pół pierścienia, które miał przy sobie, podał smutnej dziewczynie i prosił, żeby wypila.

Nie spojrzała na niego, ale wypila miód wszystek, a ujrzawszy na dnie kubka połowę pierścienia, zdjęła z szyi czarną plecionkę ze swoją połową i złożyła obie razem.

— Jesteś moją narzeczoną — rzekł wtedy gość nieznajomy — pozostałaś mi wierną, więc gdy z łaski Boga odzyskałem znów ludzką postać, będę cię kochał aż do śmierci, otoczę cię szczęściem, bogactwem i spełniać będę wszystkie twe życzenia, jak ty spełniałaś wolę ojca. Patrz, czystym jestem dzisiaj, możesz mi podać rękę,

To mówiąc, wziął ją za rękę i całował serdecznie, a w tejże chwili weszły starsze sio-

stry, strojne i uśmiechnięte, chociaż z niepokojem i brzydką zazdrością w sercu, gotowe skrycie szkodzić jedna drugiej, byle zdobyć pięknego męża. Dowiedziawszy się prawdy, pobladły obiedwie i pobiegły z krzykiem, a przed wieczorem jedną znaleziono w rzece, drugą — powieszoną na drzewie.

O północy ktoś zapukał do drzwi byłego żołnierza. Podniósł się z łóżka, otworzył, ale drgnął cały, ujrawszy dyabła w zielonym surducie.

— Nie bój się — rzekł ten ostatni — przecież byłeś żołnierzem! Chciałem ci powiedzieć tylko, że nie straciłem na tobie: mam dwie dusze za twoją jedną!

Odtąd były Niedźwiadek nie spotkał już więcej swego kusiciela i wroga; żył pobożnie, wspierał ubogich, czynił wiele dobrego, a poczciwa i dobra żona pomagała mu we wszystkim.

---

## Królewicz Orlik nieustraszony.

Jedynakiem był u ojca królewicz Orlik, lecz choć w domu matka pieściła, ojciec nie krępował woli, świat nęcił go pragnieniem, że nie mógł usiedzieć w domu.

— Ojcze, matko — mawiał — nie gniewajcie się na mnie, że od was chcę uciekać; przecież powrócę znowu; chcę tylko poznać różne dziwy na tym świecie, o których starzy ludzie tyle opowiadają; chcę popróbować sił swoich, pomódz dobrym, złych pokonać; człowiek nie trawa, żeby się ruszyć nie mógł.

Matka z niepokojem wielkim słuchała słów syna, drżąc na myśl o niebezpieczeństwach, jakie spotkać może, a szukać będzie napewno, lecz ojciec pomyślał tylko, że i sam w tym wieku podobne miał pragnienia, więc nie dziwił się wcale.

— Jedź, synu — rzekł poważnie — a wracaj z zasługą. Świat wielki, spotkasz na nim karłów, olbrzymów, potwory, pamiętajże śmiało stać zawsze w obronie prawdy, a tępić złość i obłudę. Karłom nie wierz, bo podstępni są i złośliwi najczęściej, zwykle posiadają wielkie

skarby, w podziemiach ukryte, lubią też szkodzić silnym, lecz zdarzają się między nimi także dobrzy i szlachetni. Olbrzymów się nie lęka, wielcy oni ciałem, ale rozumem dzieci. Opanować ich łatwo i oszukać nawet, gdyż bywają łatwowierni i niedaleko widzą. Zresztą miej zawsze tylko czyste i odważne serce, a ręka ci nie zdrży w walce; pamiętaj też, że dobre zawsze zwycięży, a złe ukaranem być musi.

Dał synowi zbroję złocistą, ostrą szabelkę, siwego konika i pobłogosławił na drogę, a matka tylko zapłakała z cicha i kosztowny talizman zawiesiła mu na piersi. Królewicz Orlik uściskał rodziców, przyrzekł o ich radach pamiętać, za rok powrócić i pojechał wesoło.

Jedzie dzień, drugi, trzeci, wciąż prosto przed siebie, podziwia wszystko, jakby wyrwał się z więzienia; wszystko mu piękne, nowe, chciałby zabrać z sobą ziemi i nieba i wiatru obecnego, bo wszystko inne, odmienne niż w domu.

Lecz dziw nad dziwy! po dość długiej drodze ujrzał przed sobą ogromny budynek i zaraz się domyślił, że to mieszkanie olbrzymów. Dom był z wielkich kamieni i całych drzew zbudowany, nie piękny, ani zgrabny, lecz wielki jak góra, z ogromnemi drzwiami i oknami. Drzwi zamknięte były, więc królewicz Or-

lik zapukał śmiało, ale że nikt nie otworzył, usiadł sobie przed domem na ściętym pniu drzewa i ciekawie patrzył dokoła. Na podwórzu leżały porozrzucane kręgle, wielkości człowieka, i kule, jak beczki małe.

Odpocząwszy chwilę, królewicz poustawiał kręgle, uderzał w nie kulami, śmiał się przytem głośno, co wszystko razem taki sprawiło hałas. że śpiący w domu olbrzym zbudził się nareszcie i wyjrzał oknem, aby się przekonać, kto mu zuchwale zakłóca spoczynek. Zobaczywszy człowieka, zdziwił się niezmiernie.

— Ach, ty robaku! — rzekł z politowaniem — po co się porywasz na to, do czego sił nie masz? To nie dla ciebie zabawka.

— Widzisz, że się nie bawię — odparł królewicz śmiało. — Nie myśl, żeś silniejszy, choć olbrzymem jesteś; jam tylko człowiek, a nie lękam się ciebie i nie cofam się przed niczem, pewny, że zdobędę wszystko, czego tylko za pragnę.

— Widzę, żeś odważny — zauważył olbrzym — i pewny swojej siły, jeśli więc rzeczywiście jesteś takim, jak mówisz, mógłbyś mi oddać przysługę: zerwij mi złote jabłko z drzewa życia.

— O! — zawołał królewicz — to mi się podoba. Ale chcę wiedzieć pierwej, jaki z niego zrobisz użytek?

— Moja narzeczona żąda go ode mnie, inaczej nie chce zostać moją żoną. Już cały świat obszedłem, szukając tego drzewa, ale go nie mogę znaleźć.

— Ja go znajdę — rzekł królewicz — i jabłko ci przyniosę.

— Zobaczymy, robaku; nie wyobrażaj sobie, że to będzie tak łatwo. Drzewo życia rośnie w ogrodzie, otoczonym wysokim murem, bramy strzegą dzikie zwierzęta, a samo jabłko ten tylko zerwać może, kto sięgnie po nie przez żelazny pierścień, zawieszony na drzewie. Mój ojciec znalazł raz już drzewo życia, lecz ręka jego nie zmieściła się w pierścień i o mało nie został rozszarpany przez tygrysy.

— O mnie się nie lękaj — zaśmiał się królewicz — poradzę sobie z nimi.

I poszedł, rad, że znalazł nowy cel podróży. Mijał góry i doliny, lasy, pola, rzeki, aż po niejakim czasie ujrzał piękny ogród, otoczony wysokim murem. Wkoło leżały dzikie zwierzęta i spały, gdyż południe było skwarne, a podczas nocy czuwając, w dzień bardziej zwykle bywały zmęczone.

Królewicz wiernego siwka przywiązał do drzewa, sam lekko przez lwa przeskoczył, wdrapał się zręcznie na mur wysoki i za chwilę był w ogrodzie. Po środku stało wielkie drzewo życia, a złote jabłka świeciły na niem z da-

leka. Królewicz Orlik bez trwogi dostał się na drzewo, zaledwie jednak sięgnął po najbliższe jabłko, ujrzał przed nim żelazny pierścień, ostry jak miecz obosieczny, w rurkę zwinęty. Pierścień zdawał się tak małym, że nie mógł przypuścić, aby rękę swobodnie mógł przezeń przesunąć, ale powiedział sobie: “Kto chce coś zdobyć na świecie, nie powinien żałować kropli krwi przelanej!” — i śmiało wsunął rękę w ostry otwór. Wsunął ją szybko, szybko też ból minął, kropla krwi padła na zielone liście, a żelazny pierścień przystał mu do ręki. Jakgdyby był z nią zrosły. I w tej samej chwili uczuł dziwną siłę w ramieniu. Zerwał jabłko, zeszedł z drzewa i spokojnym krokiem zbliżył się do żelaznej bramy, wstrząsnął i z łoskotem upadła na ziemię. Zbudził się lew, śpiący pod nią, spojrzął na królewicza, na złote jabłko w jego dłoni, pierścień w rękę, i mruknąwszy z cicha, poszedł za nim pokorny, jak pies za swym panem.

Wesoło powrócił teraz królewicz do olbrzyma, przynosząc obiecane jabłko. Olbrzym ucieszył się również i natychmiast ofiarował je swojej narzeczonej. Lecz narzeczonej nie chciała uwierzyć, że sam zdjął je dla niej z drzewa i zażądała, aby pokazał jej pierścień.

— Zaraz ci go przyniosę — rzekł olbrzym zuchwale, myśląc sobie, że jeśli Orlik nie od-



da mu dobrowolnie, łatwo przemocą pierścień mu odbierze.

Pospieszył więc do królewicza i zażądał tego, krwią kupionego dowodu zwycięstwa; ale królewicz odparł, że dać go nie może, chyba za cenę krwi także.

— Kto ma jabłko, do tego i pierścień należy! — dumnie zawołał olbrzym — i jeśli go nie dasz, zgmiotę cię jak muchę i wezmę, co mi się podoba.

— Zobaczymy — rzekł Orlik — i dobył szabelki.

Rozpoczęła się walka, lecz ramię człowieka, cudowną siłą pierścienia wzmocnione, odpierało skutecznie ciężkie razy olbrzyma. Zręczny i lekki królewicz niebezpiecznym był przeciwnikiem dla potężnego, ale niezgrabnego wroga, więc walczyli obaj długo i nikt zwyciężyć nie mógł.

Olbrzym zmęczył się pierwszy, a dysząc wściekłością, postanowił użyć podstępu.

— Odpocznijmy — rzekł do Orlika — możemy tymczasem ochłodzić się kąpielą w jasnych nurtach rzeki, a potem rozpoczniemy znów przerwana walkę.

Rycerski Orlik nie podejrzewał fałszu i bez wahania zgodził się na przewę. Obaj zrzucili suknie i skoczyli do rzeki, lecz gdy króle-

wiecz odpłynął od brzegu, olbrzym wynurzył się z wody i szybko porwał żelazny pierścień, na sukniach złożony. Orlik patrzył na to więcej zdziwiony niż gniewny, nie mógł prawie uwierzyć, aby silny olbrzym takim sposobem chciał zdobyć fałszywy dowód zasługi i myślał, iż żartuje chyba. Ale lew wierny ryknął strasznym głosem, rzucił się na potwora i gwałtownym ruchem wydarł mu pierścień i złożył u nóg królewicza.

Olbrzym zgrzytnął zębami i korzystając z tego, że młodzieniec odwrócony zaczął ubierać się spieszenie, chciał go powalić silnem uderzeniem. Orlik zgiął się jak trzcina i wyprostował znowu, a wtedy wściekły olbrzym tak gwałtownie spuścił swoją pięść ogromną na twarz nieszczęśliwego młodzieńca, że oczy jak dwa szkiełka prysnęły odrazu.

Jęknął królewicz z bólu; olbrzym tryumfował.

— Oddaj mi pierścień, jesteś pokonanym.

— Odbierz mi pierwej życie.

— Więc zginiesz! — ryknął olbrzym i wyniósł go na szczyt skały, otoczonej przepaściami i postawił na małym cyplu, gdzie krok każdy zgubą być musiał.

Orlik stał spokojnie, nie wiedząc, gdzie się znajduje, lecz gdy olbrzym się cofnął, aby go

strącić, lew tak silnie pchnął go całym swoim ciałem, iż potwór sam wpadł w przepaść i roztrzaskał się o skały.

Wówczas lew wierny zbliżył się do swego pana i ostrożnie, wpół niosąc, sprowadził go w dolinę. Tutaj spoczęli obaj przed dalszą podróżą, a nazajutrz o świcie przybyli do źródła, które tryskało z kryształowej skały, pod cieniem srebrnej brzozy i zielonego świerku. Gdy pierwszy promień słońca padł na szemrzącą wodę, lew umaczał w niej swoją łapę i prysnął w twarz królewicza, który chociaż zupełnie nie odzyskał wzroku, dostrzegł jednak wkoło siebie niewyraźne krztałty i cienie.

Lew nie ruszał się z miejsca, a królewicz Orlik myślał ze smutkiem o powrocie do domu. Cóż później pozbawiony wzroku? czegoż dokonać może? Jak trafi teraz do ojcowskiego gniazda? co powiedzą rodzice, ujrzawszy go ślepym prawie?

Wtem spostrzega jaskółkę, która niepewnym lotem, uderzając o każde drzewo, wytrwale dąży do źródła.

“Biedna ptaszyno — pomyślał z litością — i ty nie widzisz, co ciebie otacza, jak ja jesteś nieszczęśliwą!”

Lecz jaskółka uderzywszy się o srebrną brzozę upadła w strumień i natychmiast wesoło zaszczebiotała, wzlatując do góry i otrzepu-

jąc mokre jeszcze skrzydła. Potem poleciała swobodnie, omijając drzewa i zniknęła w głębi lasu.

—Czy to twój zesłaniec, Boże — zawołał królewicz wzruszony i uszczęśliwiony.

Z pośpiechem zanurzył twarz i głowę w wodzie, a gdy się wyprostował i spojrział wkoło, widział znów wszystko jasno i dokładnie.

Wypocząwszy i odszukawszy swego konia, puścił się Orlik śmiało w dalszą drogę, szukać nowych walk i przygód. Poznał już teraz trochę świat i niebezpieczeństwa, lecz nie nasycił swojej ciekawości, więc powędrował dalej.

I znowu wszystko pięknem mu się wydawało, każdy dzień innym, nowym i przyjemnym, drobne zdarzenia bawiły go i zajmowały. Tam zajaczka wybawił z ostrych szponów wilka, a ten mu za to wskazał kryjówkę wieiórki, napełnioną złotymi orzechami; tu pokonał srogiego drapieżnego niedźwiedzia, który pszczołom miód odbierał, a królowa matka ofiarowała mu za to plastr miodu, z którego mógł czerpać codzien, i zawsze miał go znów pełnym patoki; nakoniec jelen, od którego obronił karła, rozdarł mu rogiem czoło na pamiątkę. Królewicz śmiał się z tego i jechał wciąż dalej.

Aż dnia jednego zatrzymał się przed starym zamkiem, który wyglądał dziko i ponuro na tle ciemnego nieba. Burza nadciągała właśnie i wieczór się zbliżał. Orlik szukał na noc przytułku, a ta dziwna ruina zaciekawiała go swem opuszczeniem. Czyżby w niej nikt nie mieszkał?

Nie była jednak pustą: na progu obszernej sali spotkała go kobieta młoda, wysoka, zgrabna, ale z czarną twarzą, i popatrzawszy uważnie na gościa, rzekła z westchnieniem:

— Ach, gdybyś zechciał być moim wybawcą! Patrz, jak szkaradne czary rzucono na mnie nieszczęśliwą.

— Cóż mam robić? — spytał królewicz.

— Nie znać trwogi przez trzy noce w tej sali.

— Czy to tylko?

— Tak, lecz nie myśl, aby to było łatwem. Niejeden już szlachetny i odważny rycerz próbował nadaremnie. Wróg mój jest potężny. Jeśli chcesz mnie wybawić, musisz tu spędzić trzy noce, nie doznać strachu i nie wymówić ani jednego wyrazu.

— Nie lękam się niczego — zawołał Orlik śmiało — i przy pomocy Bożej pragnę cię wybawić z mocy niegodziwego czarodzieja.

Czarna dziewczyna powiedziała mu jeszcze,

że musi się ze lwem rozdzielić i wierne zwierzę zabrała z sobą; królewicz zaś spokojnie położył się na ławie, kazał rozpalić ogień na kominku i zasnął, oczekując, co nastąpi.

O północy ocknął się nagle, zbudzony straszonym hałasem: drzwi główne padły, wysadzone z zawias, wszystkie sprzęty zadrżały, ogień przygasł na kominku i przy niepewnych, groźnych jego błyskach, wśród okropnego ryku wpadły do ciemnej sali potwory, dyabelki i dzikie zwierzęta, węsząc, sapiąc i wyjąc.

Orlik usiadł na ławie, mocno ściskając szablę, gdy nagle rozległ się śmiech przeraźliwy i niewidzialna siła wytrąciła mu broń z ręki. Zerwał się na równe nogi, gdyż olbrzymi niedźwiedź w tej samej chwili rzucił się na niego, stanawszy na tylnych łapach. Porwany w straszne objęcia, nieszczęśliwy Orlink upadł na ziemię, próżno starając się walczyć; szarpany, bity, kłóty, deptany nogami, stracił na koniec zupełnie przytomność, ale nie wydał krzyku ani jęku i gdy kur zapał, wszystko zniknęło odrazu.

O świcie czarna dziewczica weszła do komnaty z wodą gojącą i uzdrawiającą, pokropiła ciężkie rany, obmyła ciało Orlika, który powstał silny i zdrowy, jakby go nie nie spotkało. Pozdrowił ją uprzejmie i zauważył z radością, że nogi jej były białe, chociaż twarz i rę-

ce zachowały jeszcze barwę najczarniejszego węgla.

— Czy zostaniesz na noc drugą? — spytała dziewczica, a gdy królewicz oznajmił, że jest to jego zamiarem, rozpląkała się z radości i nie wiedziała sama, jak ma dziękować za tyle dobroci.

Potem przyniosła jadła i napoju, aby królewicz pokrzepił swe siły i zaprowadziła go na wygodne łożo, aby wypoczął przed nową, jeszcze trudniejszą próbą.

Przed wieczorem Orlik dosiadł swego siwka i przejechał się po lesie, gdyż widok błękitnego nieba, świeżej zieleni, wody, chłodny powiew wiatru, sprawiały mu przyjemność większą, niż kiedykolwiek i powracały spokój i nadzieję. Nie lękał się i dziś niczego, ale przyszło mu na myśl, że może utracić życie, a wtedy ani zaklęta ofiara nie odzyska praw utraconych, ani on nie zobaczy więcej drogich rodziców.

Tymczasem noc zapadła i królewicz odważnie zajął swoje miejsce wczorajsze na ławie. I znowu cicho było do 12-tej, lecz o samej północy brzęknęły łańcuchy, otworzyła się jedna ze ścian komnaty i powoli wchodzić zaczęły szkielety, wlokąc za sobą ciężkie, żelazne kajdany. Jęczeli przytem, przeklinając tych, którzy za życia pozbawili ich wolności i pozwolili



umrzeć z pragnieniem zemsty i nienawiści w sercu. Na to odpowiedział im śmiech dziki, zło-wrogi, a jednocześnie blask czerwony zajaśniał w sali: to w zastawionych na stole puharach palił się podany napój.

Szkielety rzuciły się chciwie do płomien-nych dzbanów, lecz gdy je podnieśli do ust, na-gle zadrżały ściany, rozpadły się na szczątki świecące naczynia i śmierć koścista z kosą stanęła na progu.

— Zawcześnie! — rzekła. — Jak śmiecie sięgać po puhar umarłych, gdy oczy żyjącego patrzą na was.

To mówiąc, wskazała Orlika.

Szkielety z dzikiem wyciem rzuciły się ku niemu, lecz jeden mały, garbaty, bez ręki, za-trzymał się przed śmiercią i zapytał:

— Czem oddamy w moc twą, pani nasza i królowo?

-- Niech mnie wezwie na pomoc.

Zaśmiały się szkielety i porwawszy za ręce królewicza, rozpoczęły z nim taniec dokoła pokoju.

Silnym był Orlik, ale jego siła nie tu po-dołać nie mogła w tym szalonym wirze. Pomi-mo ciężkich kajdan, szkielety, ściskając go kościstymi palcami, pędziły jak wichher, ude-rzały go głową o mury, o sprzęty i z krzykiem, zgrzytem, śmiechem kręciły wciąż w kółko,

tłocząc się jedne na drugie, popychając, uderzając. . . Jeden szarpnął go mocniej i wyrwana ręka padła na ziemię, więc schwycił za nogę i włókł go dalej; inny w tym szalonym pędzie zaczął mu kręcić głowę w drugą stronę, aż wykręcił ją z ciała, niby śrubkę z drzewa; pomimo to jednak głowa czuła wszystko i ciało czuło także, szarpane i darte przez okrutnych dręczycieli.

— Skiń na mnie, a odpoczniesz! — rozległ się pisk śmierci, która spokojnie stała w progu ze swą kosą.

Ale królewicz Orlik chociaż nie wątpił wcale, że uderzyła jego ostatnia godzina, spojrzawszy tylko z oburzeniem na kościstą kusicielkę, która razem z życiem chciała pozbawić go zasługi spełnienia podjętego obowiązku.

Nagle kur zapiał i wszystko zniknęło. Orlik stracił przytomność i obudził się dopiero, gdy o świcie czarna dziewczica weszła z wodą życia, zagoiła ciężkie rany, pokrzepiła członki i z trwogą zapytała, czy nie zrzekł się zamiaru wybawienia jej z mocy wroga.

Królewicz podniósł się zdrowy i silny, spojrzawszy na jej białe ręce i wzrok niespokojny i oznajmił, że pragnie dokończyć co zaczął i ma nadzieję przetrwać jeszcze noc ostatnią.

— Ta najcięższą pewno będzie — szepnęła czarna dziewczica, lecz Orlikowi zwalczone

trudności i przecierpiane męki dodawały męstwa.

— Tchórz cofa się w pół drogi, mężny pójdzie naprzód! — odparł stanowczo i zasiadł do stołu, gdzie już oczekiwało nań wyborne śniadanie.

Dzień upłynął mu jak poprzednio, z tą tylko różnicą, iż doznawał dzisiaj dziwnej ciekawości na myśl o zbliżającej się nocy. To, co zniósł dotąd, wydawało mu się tak okropnem, iż nie wiedział, czego jeszcze mógłby się lękać. Przekonał się, że śmierć sama nie ma nad nim mocy, odkąd poznał cudowną własność wody odżywiającej, więc rad był prawie, że znajdzie sposobność okazania się niewzruszonym wobec potężnego wroga.

Z zapadnięciem nocy udał się znowu do sali i spokojnie usiadł na ławie. Gdy północ uderzyła, zerwał się z pułapu uśpiony tam nietoperz i otworzył okno, przez które z szalonym śmiechem wpadać zaczęły potwory, zdolne zatrzeć samym swym widokiem najodważniejsze serce. To olbrzymia, ohydna głowa toczyła się niby piłka, ślad krwi za sobą znacząc, to zwierzęta dziwne z ludzkimi twarzami wlatywały na ognistych skrzydłach, to ludzkie członki albo kadłuby bez głowy. Po za tem wszystkim wpadło dwunastu dyabełków,

małych, krzykliwych, śmiejących się, z rogami i ogonami, ale wesołych jak dzieci.

Całe towarzystwo zasiadło na środku sali i zaczęli grać w kości. Ten, który przegrał, gwizdnął i oznajmił, że nie zapłaci, bo przegrał dlatego, że w sali jest dusza ludzka, którą swym towarzyszom odda za przegraną.

To powiedziawszy, zbliżył się do królewicza, który jednak kopnął go tak zręcznie, że dyablik fiknął kilka koziółków w powietrzu i stanął na równe nogi wśród gromadki. Wtedy całe to dziwaczne mrowisko, niby wzburzone morze, posuwać się zaczęło ku bohaterskiemu Orlikowi, który z zapalem w oku i zaciśniętą pięścią, gotów rozpocząć walkę, stał w rogu komnaty.

Wtem z rykiem i łoskotem otworzyło się sklepienie i między królewiczem a złowrogą zgrają stanął olbrzymi dyabeł z ognistym berłem w dłoni.

— Precz! — krzyknął i jak fala cofnęły się wściekle szeregi.

Potem grzecznym ukłonem pozdrowił młodzieńca i skinął berłem na prawo. Orlik pomimowolnie zwrócił wzrok w tym kierunku i z ust jego o mało nie wyrwał się krzyk przerażenia: W dali ujrzał rodzinny zamek, tak przejrzysty, jakby mury jego z najcieńszego były kryształu. Zamek ogarniały płomienie:

wróg zwycięzki je podłożył, aby tylko gruzy pozostawić na miejscu grodu. W głównym przedsionku siwy ojciec jego, broniąc wejścia do komnat, padł ugodzony toporem i kona samotny wśród krwi, dymów, błysków ognia, a w płonącym pałacu wróg gospodaruje; królowa w kajdanach, blada, czeka na wyrok śmierci, szepejąc imię męża i syna; waleczni jej obrońcy polegli albo w niewoli.

Królewicz Orlik patrzył na to wszystko z sercem skamieniałem z bólu, lecz szatan zaśmiał się głośno i szepnął:

— To przyszłość!

Potem skinął berłem na lewo i królewicz ujrział ojczyste gniazdo nietknięte, spokojne; ojciec z drużyną zasiadł do wieczerzy, pije ze srebrnego kubka, a rycerzom opowiadać każe, co który widział na świecie, a sam myśli pewno o swoim nieobecnym synu. Matka stoi na wieżyczce i przez wysokie okno patrzy na drogę, czy nikt nie powraca, czy gość spóźniony nie zapuka dzisiaj do bramy zamku. Kogo tak wygląda? — łatwo odgadnąć. A nie widzi tego, że ukryty wśród skał i lasów, zbliża się wróg potężny na czele zbrojnych tysięcy, by spokojny zamek zburzyć i spalić, a jego mieszkańców pomordować bez litości.

W zamku nikt o tem nie wie, nikt nie gotów do obrony.

— Żądaj, a w mgnieniu oka przeniosę cię tam na mury i ocalisz kraj i rodziców, których los okrutny ukazałem ci przed chwilą — podstępnie szepnął szatan.

“Kłamiesz, nikczemny!” — chciał zawołać Orlik, ale powstrzymał się znowu, przypomniawszy sobie, iż jeden wyraz przez niego wymówiony grozi zgubą i jemu i czarnej dziewicy. Więc oburzony, że podłym podstępem chciano mu wydrzeć z duszy jęk rozpacz, z całą wściekłością uderzył szatana ręką, której pierścień żelazny użyczył niezwyklej siły.

Zawył syn Lucypera, pociemniało wszystko, dyabliki i potwory rzuciły się na bohatera, lecz on, odbierają razy, nie żałował i swojej pięści i upadł wyczerpany dopiero w tej chwili, gdy głos koguta spłoszył piekielne straszysła.

Kiedy otworzył oczy i spojrzał wokoło, słońce świeciło jasno przez kryształowe okna i oblewało złotym blaskiem komnatę najwspanialszą na całym świecie. Złotem, drogimi kamieniami i perłami haftowane materye pokrywały ściany aż do ziemi, wkoło stały bogate sprzęty z koralu i perłowej muszli, a on spoczywał wygodnie na koralowem łożu i nie czuł żadnego bulu ani utrudzenia.

Uszczęśliwiony, zerwał się z posłania i w tejże chwili ciche lecz cudowne dźwięki niewi-

działnej muzyki zachwyciły słuch młodzieńca. Muzyka zwolna zbliżać się zdawała, otwarto drzwi szerokie i do pokoju wszedł orszak cudownych dziewic w strojach bogatych, a w pośród nich najpiękniejsza, złotowłosa królowna w dyamentowej koronie i szacie perłami tkanej.

Zbliżywszy się do Orlika, przecudna królowna odrzuciła z oblicza przejrzystą zasłonę i rzekła głosem do śpiewu słowika podobnym:

— Ja jestem czarna dziewica. Dzięki twej odwadze odzyskałam królestwo i własną postać. Czemże ci się odwdzięczę? Chcę być twoją niewolnicą, a państwo moje odtąd należy do ciebie. Rozkazuj, słuchać cię będę.

Królewicz przez chwilę stał olśniony, nie mogąc przemówić ani jednego wyrazu. Nagle wyciągnął ręce, pochwycił królownę i przycisnął ją do serca. Potem zawołał głośno:

— Tak jest, należysz do mnie i musisz być moją żoną! Niech zajedzie złota karetą, gdyż pragnę natychmiast zawieźć cię do najdroższych stęsknionych moich rodziców.

We trzy dni potem w pałacu królewicza Orlika odbywały się gody weselne; wszyscy byli szczęśliwi, stary król uradowany co chwila wznosił zdrowie swej przyszłej synowej, a



królowa matka ze wzruszeniem przyciskała ją do serca.

Odtąd królewicz Orlik nie opuszczał rodziców i żył w państwie swoim szczęśliwy z ukochaną żoną.

---

## Siostra Łabędzi.

Szczęśliwie przez długie lata żył sobie król z królową i mieli sześciu synów i córeczkę. Wszystkie dzieci były piękne i kochały się bardzo, a rodzice strzegli tej swojej gromadki od wszelkiego złego i cieszyli się nadzieją, że dzielni synowie sławę i szczęście zdobędą na świecie, a kochająca córka do późnej starości miłością i weselem życie zapromieniać im będzie.

Tymczasem pewnego razu królowa zasła-  
bła, i choć król z całego państwa wezwał mędr-  
ców i uczonych, nic jej poradzić nie mogli: u-  
marła wkrótce.

Po śmierci żony król wpadł w taką roz-  
pacz, iż nie przeżyłby tego nieszczęścia, gdyby  
nie przywiązanie do ukochanych dzieci. Osie-  
rocona córka i synowie opłakiwali matkę dłu-  
go i serdecznie, lecz nie chcąc martwić ojca  
widokiem łez swoich i powiększać jego cier-  
pienia, ukrywali smutek głęboki i pocieszali  
go, jak mogli. Wdzięczny król pojął szlachet-

ne ich serca i bardziej jeszcze kochał je od tego czasu.

Tak upłynęło lat kilka.

Stary król zawsze lubił polowanie, ale do śmierci żony częściej jeszcze szukał rozrywki, ścigając po lasach zwierzynę i tępiąc drapieżne potwory. Razu jednego wyjechał, jak zwykle, na łowy z licznym orszakiem rycerzy, a wytropiwszy pięknego jelenia, ścigał go przez dzień cały. Nagle zwierz zniknął mu z oczu, a obejrawszy się wkoło, monarcha spostrzegł, iż zbłądził w lesie.

Zmrok już zapadać zaczął ciemny i ponury, cisza złowroga panowała wkoło. Król podniósł do ust swój piękny róg srebrny w rubinowej oprawie i zagrał tak głośno, że chmury odpowiedziały mu przeciągłym echem. Lecz dworzanie nie usłyszeli tego głosu.

Wtedy zsiadł z konia i szukał ścieżki w lesie, lecz daremnie. Trudno się było nawet przedrzeć wśród gęstych zarośli i z niepokojem myślał, że noc tu spędzić musi sam jeden bez pożywienia i ognia.

Nagle z ciemnej gęstwiny wyszła stara czarownica, z dużym, śpiczastym nosem, trzęsącą się głową, ogromnymi zębami i oznajmiła królowi, że może go doprowadzić do stolicy.

— Bardzo ci wdzięczny będę, moja dobra kobieto i otrzymasz nagrodę, jakiej zażadasz

sama — rzekł król, uradowany obietnicą starej.

— Nagrody, królu, ja nie żądam żadnej — lecz musisz się zgodzić na mój warunek, inaczej umrzesz tu z głodu, gdyż bór ten jest pod moją władzą i kto raz się w nim znajdzie, staje się moją własnością.

— A jakiż to warunek? — zapytał król niespokojnie.

— Bardzo przyjemny. Mam córkę piękniejszą niż słońce, z oczyma jak gwiazdy w noc pogodną, z twarzą jak księżyc jasną, włosami kruczymi, a głosem jak śpiew słowika. Piękność jej godna królewskiej korony. Jeśli się z nią ożenisz, wyprowadzę cię na drogę, w przeciwnym razie czeka cię śmierć okrutna.

Król zamyślił się smutnie: co wybrać? Umrzeć i nie zobaczyć więcej drogich dzieci ani królestwa swego, czy dać im macochę? Wahał się długą chwilę, nakoniec powiedział, że chce obaczyć córkę czarownicy.

Świecąc mu swemi oczyma, które błyszczały niby dwa płomyki, stara przywiodła go do małej chatki na kurzych łapkach. Na jej rozkaz chatka zwróciła się wejściem do nich, a gdy weszli do izdebki, król ze zdziwieniem ujrzał strojną w jedwab i złoto córkę czarownicy. Siedziała przy kominku piękna jak noc miesięczna; na ciemnych włosach lśnił

sierp księżycyca z dyamentów, dwa sznury wielkich pereł otaczały białą szyję, a skoro przemówiła, głos jej brzmiał tak słodko, jak śpiew słowika w maju.

Król powitał ją uprzejmie i oczu oderwać nie mógł od tej czarodziejskiej piękności, a serce jednakże odpychało go od niej i podziwiając ją, pokochać nie mógł.

Pomyślał przecież, że takie jego przeznaczenie; dał królewskie słowo, lecz żądał, aby dziś jeszcze stanął w swoim zamku. Czarownica zadowolona wyprowadziła go na drogę i w kilka godzin potem wjeżdżał do stolicy.

Spieszył głównie dlatego, aby ukryć dzieci, gdyż nie dowierzał ich przyszłej macosze, a zanadto je kochał, ażeby pozwolił wyrządzić im najmniejszą krzywdę. Przy pomocy więc starej niańki osadził je w leśnym zamku, tak ukrytym wśród rozległych, nieprzebytych borów, że sam odnaleźćby go nie potrafił, gdyby niańka nie dała mu cudownej przędzy, z której jedną niteczkę gdy rzucił na ziemię, ta snuła się wciąż przed nim, ukazując drogę.

Tak zabezpieczywszy przed macochą ukochane dzieci, król, wierny danemu słowu, tegoż jeszcze wieczoru ogłosił królową córkę starej czarownicy i wyprawił świetne wesele.

Młoda pani w mężowskim domu robiła, co chciała: stroiła się w dyamenty, perły i sza-

firy, przędła promienie słońca, tkala blask księżycy i z tego szyła sobie nowe szaty; kąpała się w jasnej rosie, zbieranej z róż i lilii, śpiewała pieśni słowicze i codzień była piękniejszą i bardziej uroczą, a król patrzył na nią jak na prześliczny obrazek, a pokochać jej nie mógł.

Zgadywała to królowa i gniewało ją niezmiernie, iż król tak często zostawia ją samą i wyjeżdża na polowanie, a bez niczego powraca; zaczynała przypuszczać, że coś ukrywa przed nią, a gdy nie chciał pozostać nigdy na jej prośby, postanowiła odkryć tajemnicę. Darowała więc swej służebnej sznur prześlicznych koralu i obiecała wspanialszy jeszcze podarunek. jeśli się dowie, dokąd król tak często wyjeżdża.

Nie było to rzeczą trudną, gdyż cały dwór wiedział o ukochanych dzieciach z pierwszej żony; wkrótce więc za pomocą hojnych podarunków dowiedziała się królowa nie tylko o ich istnieniu, lecz i o cudownej przędzy, która do nich drogę wskazuje.

Zdobywszy tę tajemnicę, przebiegła kobieta podczas snu męża część przędzy zabrała. Potem z pajęczej nici utkała cienkie płótno, uszyła z niego siedem długich białych koszul, spięła je zamiast spinek pajęczymi oczyma, i gdy król rzeczywiście pojechał na polowanie,

skrycie wybiegła z zamku ze skradzioną przędzą.

Rzucone na ziemię włókno snuło się szybko przed nią, więc podążała spiesznie, aż jej tchu zabrakło, nim nakoniec w niedostępnej i dzikiej gęstwinie ujrzała wysoki, rowem otoczony zamek. Uradowana zaśpiewała jak słowik i natychmiast gromadka jasnych główek i różowych twarzyczek ukazała się w oknach zamku. Na widok zbliżającej się postaci chłopcy wybiegli z domu i pospieszyli naprzeciwko. Myśleli może, że to wysłaniec od ojca. Wtem zła kobieta, wymówiwszy słowa zaklęcia, puściła na nich z wiatrem siedem utkanych koszul; każda koszulka wpadła na jednego chłopczyka i w tejże chwili sześć białych łabędzi uniosło się ponad drzewa i z żalosnym krzykiem uleciało daleko.

Roześmiała się radośnie kruczowłosa pani i spiesznie zawróciła, by zdążyć do domu, nim mąż z polowania powróci; w pośpiechu tym nie spostrzegła, że jedna z koszulek upadła na krzak cierniowy, a córeczka jej męża nie doznała losu braci.

Król w tajemnicy codziennie odwiedzał dzieci ukochane i dziś więc, jak zwykle, choć na króciutką chwilkę wpadł do zamku. Lecz jakież było jego przerażenie, gdy dziewczynka wybiegła sama naprzeciw niemu, opowiada-



jąc, co widziała z okna. Król z rozpaczy płakał jak dziecko, ale nie przypuszczał nawet, aby młoda i piękna żona była przyczyną nieszczęścia. Nie chciał swej jedynej córki pozostawić tu dłużej, wolałby ją natychmiast zabrać z sobą do domu, ale dziewczeczka bała się macochy i uprosiła ojca, żeby jeszcze noc jedną przepędzić jej pozwolił w tem cichem ustroniu.

Gdy pozostała sama, zapłakała serdecznie, żegnając łzami wszystko, co kochała. Żal jej było ojca, ale gorzej jeszcze bała się nieznannej macochy, a przytem postanowiła iść w świat szukać braci. Ze swym zamiarem nie mogła zwierzyć się nikomu: ojciec nie zgodziłby się na to, służbawy jej nie puściła; więc czekała cierpliwie, aż wszyscy zasnęli i jasny księżyc zaświecił na niebie; wtedy cichutko wyszła ze swego pokoju, zbiegła ze stromej góry i doszła do miejsca, gdzie jej kochani bracia tak dziwnym sposobem w ptaki zamienieni zostali. Wtem na cierniowym krzaku spostrzegła koszulkę, którą macocha dla niej przeznaczyła, a zdziwiona widokiem delikatnej przędzy, zwinęła ją ostrożnie i zabrała z sobą.

Szła przez noc całą po ostrych szyszkach i kamieniach, ale gdy ranek zaświtał, nie było widać leśnego zameczyska. Znużona wypoczęła trochę pod cieniem białej brzozy, potem napiła się wody ze strumienia, zjadła trochę jagód

czerwonych i poszła dalej. Już wieczór się zbliżał, gdy spostrzegła w gęstwinie ubogi szalas z gałęzi; weszła do środka i ujrzała pod ścianą sześć gniazd okrągłych, białym puchem wysłanych, przy każdym dzbanuszek z wodą, a w wodzie biały kwiatek, do gwiazdeczki podobny, ze złocistym środkiem.

Dziewczynka nie śmiała dotknąć ani wody, ani kwiatków, ani miękkiego puchu w dużych gniazdach, i choć bardzo była znużona, wtuliła się w ciemny kącik i tam chciała przespać do rana. Nagle coś zaszumiało wysoko w powietrzu, sześć śnieżnopiórych łabędzi spuściło się przed szalaszem na zieloną, aksamitną trawkę; potem weszły do środka leśnego schronienia, przyglądziły piórka na sobie, każdy uskubnął z kwiatka, stojącego w wodzie, napił się ze dzbanuszka i w tej chwili spadły z nich łabędzie piórka i sześciu młodzieńców odzyskało postać ludzką.

Z krzykiem radości rzuciła się ku nim dziewczynka, gdyż poznała natychmiast ukochanych braci; oni także całowali i ściskali ją nawzajem, wypytując, skąd się wzięła. Odpowiedziała im, że uciekła z zamku, by ich odszukać, lecz na te słowa bracia zapłakali serdecznie i zaczęli namawiać siostrę, aby zaniechała tej myśli.

Ona nie dała się przekonać.

— Pozostanę tu z wami — powiedziała — i zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, byśmy mogli powrócić razem do naszego drogiego ojca.

— Nie możesz tu pozostać — odpowiedzili jej bracia — bo czarownica, matka naszej złej macochy, czuwa tutaj nad nami i gdyby cię spostrzegła, zmieniłaby cię zaraz w zwierzę lub roślinę.

— To mnie ukryjcie i brońcie, gdy przyjdzie.

— Bronić ciebie nie możemy, bo sami tylko na jedną godzinę odzyskujemy codziennie naszą ludzką postać, a skoro słońce zajdzie, stajemy się znów łabędziami i przez dzień cały latać musimy daleko.

— Lecz musi być przecież sposób ocalenia was od zaklęcia.

Bracia westchnęli smutnie.

— Nikt go spełnić nie może — odparli ze łzami w oczach.

— Dlaczego?

— Bo jest trudny.

— Powiedzcież mi, proszę.

— Możemy ci powiedzieć, lecz prosimy bardzo, abyś go nie próbowała, bo to nad ludzkie siły i nie chcemy wcale, abyś tak cierpiała dla nas.

— Powiedzcie mi tylko, proszę.

— Ocalić nas może tylko kobieta, która nie złego w życiu nie popełniła; musi nas kochać bardzo i dla tej miłości przez sześć lat nie mówić, nie uśmiechnąć się ani razu i uszyć w ciągu tego czasu sześć gwiazdzistych koszulek z tych białych kwiatków ze złocistymi środkami. Szyć musi nitką z pajęczej przędzy, z której zła macocha zrobiła dla nas czarodziej-skie koszulki, a jeśli jeden choć przemówisz wyraz, cała praca na nie i wszystko stracone.

Dobra siostra chciała jeszcze o coś zapytać, lecz skończyła się wieczorna godzina, słońce zaszło w czerwonym blasku i bracia zamienili się znowu w łabędzie, szukając wypoczynku na puchowych gniazdach.

Ona biedna nie miała gniazdka swego dzisiaj, ani żadnego schronienia nad głową. Pozostać tu nie mogła, bo zła czarownica spozstrzegłaby ją niezawodnie i zamieniła w zwierzę lub roślinę, a wtedy któżby ocalił jej braci? Płacząc więc cicho, poszła znowu dalej i dopiero gdy jej sił zabrakło, usiadła na mchu zielonym i zasnęła spokojnie.

Obudziwszy się o świcie, przypomniała sobie wszystko, co zaszło podczas dni ostatnich i postanowiła przy pomocy Bożej ocalić ukochanych braci.

Postanowiła mocno i zabrała się do pracy.

Nazbierała białych gwiazdek ze złocistemi środkami, obrała sobie miejsce na rozłożystym dębie, naznosiła tam gałęzi i mchu na posłanie; i nie schodząc z drzewa, chyba tylko dla posiłku, zaczęła szyć koszulki z białych kwiatków pajęczą przędzą ze znalezionej koszulki. Żywiła się jagodami, korzonkami, korą drzewną, nickiedy orzechami i szyszkami, piła wodę ze strumienia, sypiała na drzewie, nic nie mówiła, bo nie miała do kogo i nie uśmiechała się nigdy, nawet tego wieczoru, gdy pierwszą ukończyła koszulkę.

Kilka lat upłynęło jej w ten sposób, pracowała nie tracąc ani chwili czasu, od wczesnego poranku do późnego wieczoru i nie pragnęła żadnej przyjemności, póki nie spełni swego zadania.

Ale pewnego razu królewicz z licznym orszakiem polował w lesie i jeden z rycerzy ujrzał na drzewie siedzącą dziewczynę. Otoczyli ją dworzanie i strzelcy, obsypując pytaniami, usiłując się dowiedzieć kim jest i co tu robi. Dziewczę milczało z początku jak ryba i nie odpowiadało wcale na pytania, w końcu jednakże, aby się pozbyć natrętów, zdjęła z szyi złoty łańcuszek i rzuciła go stojącym na dole. Po łańcuszku oddała pasek złotolity, perlami naszywany, jedwabne podwiązki, przepaskę z

głowy, aż złote włosy płaszczem ją całą okryły i wreszcie tak rozdała wszystko, że w jednej pozostała koszulce.

Wówczas jeden z gromadki wdrapał się na drzewo, oderwał ją przemocą od gałęzi i zniósł na dół do towarzyszków. Tu nanowo obasypano ją pytaniami, a gdy milczała uparcie, przyprowadzono przed króla.

— Kto jesteś? — zapytał monarcha, zachwycony jej pięknością. — Co robisz tutaj i dlaczego milczysz? Co znaczy ten pęk kwiatów?

Lecz dziewczyna milczała, błagalnie tylko wznosząc ku niemu spojrzenie. Wówczas królewicz, aby ją osłonić od natarczywości swoich dworzan i rycerzy, wziął ją na konia, okrył własnym płaszczem i przywiózł do zamku królewskiego.

Przez kilka dni następnych zwoływano mędrców, którzy przemawiali do dziewczęcia wszystkimi językami, ale daremnie. Ubrano ją jednakże w kosztowne królewskie szaty, sadzano obok króla przy królewskim stole, przeznaczono w zamku wspaniałe komnaty. Młody królewicz widząc ją tak cichą, nieśmiałą, skromną, zajęętą swą pracą, a przytem piękną, jak poranna zorza, pomyślał, że nie znajdzie lepszej żony na świecie i oznajmił, że choć dziewczyna jest niemą i nikt nie zna jej ojca ani

matki, on się z nią chce ożenić i uczynić ją królową.

Tak się też stało, choć rodzona ciotka najbardziej opierała się temu małżeństwu. “Królowna żoną twoją być powinna — mówiła z gniewem — nie przybędą obca”. Ale król wicz odpowiedział na to, że sam Pan Bóg jest ojcem niewinnych i nieszczęśliwych i że nie zmieni zamiaru. Nie było więc rady. Śliczne, łagodne dziewczę zostało żoną króla, ale ciotka królewska nie lubiła młodej pani i starała się, jak mogła, dokuczyć jej i obmówić w obecności siostrzeńca.

Dziewczę nie przeczyło nigdy, nie odzywało się, nie uśmiechało i szyło swoje gwiazdziste koszulki.

W rok po ślubie urodził się królowi synek. Radość była niezmierna, ale pierwszej nocy ciotka królewska ukryła dzieciątko. śpiącej królowej usta krwią pomazała i z głośnym płaczem pobiegła do króla, oskarżając młodą matkę, iż własne dziecko pożarła.

— Ludożercą jest twoja żona! — wołała z obłudnym żalem. — Czegoż dożyłam, nieszczęśliwa! Wzięłaś za żonę przybłądę nieznaną, która dzieci swoje pożera!

Król zmartwił się niezmiernie stratą dziecka, lecz nie uwierzył ciotce, a chociaż królowa żadnych nie dała mu wyjaśnień, nie prze-



stał jej kochać jak dawniej i być dla niej dobrym i czułym. Żona okazywała mu wdzięczność spojrzeniem, lecz milczała i szyła swoje gwiaździste koszulki.

Nim rok upłynął, dał im Pan Bóg drugie dziecko. Król ucieszył się bardzo, kazał otoczyć dziecko piastunkami i czuwać nad niem we dnie i w nocy bez przerwy. Królewska ciotka czuwała również bez wytchnienia, a kiedy niańki usnęły znużone, uniosła małą dziecinę i, jak pierwszego wnuka, pozostawiła w lesie na pniu drzewa. Myślała, że biedne dziecko umrze z głodu i zimna, lub będzie zjedzone przez dzikie zwierzęta, więc nie troszczyła się o nie i skaleczywszy palec, pomazała znów usta uspionej królowej i pobiegła do króla ze skargą na żonę.

Lecz król oburzył się bardziej, niż za pierwszym razem.

— Jak możesz, ciotko, mówić tak potworne rzeczy! — zawołał. — Czyż nie widzisz, jak jest dobrą, i pobożną, cichą i pracowitą? Czyż nie patrzymy na nią, na jej życie? Cóż jej zarzucić można? Biedna, nieszczęśliwa, wróg jakiś niegodziwy zamknął jej niewinne usta, że bronić się nie może, a ja miałbym ją potępiać! Nie, nigdy, nigdy! Nie wierzę tej potwarzy. Ktoś krzywdzi mnie okrutnie, pozbawiając mnie dziatka, ale to nie jest winą mojej bied-

nej żony. Będę szukał złoczyńcy, a gdy go odkryję, biada mu — straszna kara go nie minie!

Zła kobieta zadrżała, lecz nienawiść ku obcej silniejszą była od trwogi w jej sercu. Gdy po raz trzeci przyszło na świat dziecko, potrafiła je porwać mimo czujnej straży i wynieść z zamku jak poprzednie. Potem oskarżyła królową. Pragnęła teraz jej śmierci już nie tylko przez nienawiść, ale z obawy, że prawda wydać się może kiedyś, gdyż królowa jedynie wiedziała jej zbrodnię i gdyby mogła mówić, wykryłoby się wszystko. Ażeby więc uniknąć zasłużonej kary, oznajmiła publicznie, że w jej własnych oczach królowa zjadła swe ostatnie dziecko i wobec tego świadectwa, sędziowie, mimo rozpaczy króla, na śmierć winną osądzili.

O potrójne ludożerstwo oskarżona królowa skazaną była na spalenie na stosie. Mąż widzieć się z nią nie chciał, bo żal rozdzierał mu serce, a wstydził się tej słabości przed siostrą ojca swego, która była świadkiem winy jego żony.

Na zamkowym podwórzu wzniesiono stos wysoki, na którym spłonąć miała oskarżona. Lecz królowa spokojnie wysłuchiwała wyroku i do ostatniej chwili siedząc zamknięta w pokoju, szyła, nie podnosząc oczu od roboty, gwiaz-

dziste swe koszulki. Pięć ukończonych związała nitką pajęczej przędzy, szóstą kończyła pilnie. Już tylko ledwie ramię nie zostało spiętem, gdy wszedł kat, by ją na stos zaprowadzić. Wstała posłuszna, nie składając igły, stanęła na wysokim stosie, który natychmiast podpalono od dołu, a wówczas ona wzniosła w górę ręce i pracę swą rzuciła daleko od siebie, nie wymawiając przytem ani jednego wyrazu.

Silny wiatr uniósł gwiazdziste koszulki z gęstych obłoków dymu i w tejże godzinie upłynęło sześć lat potrzebnych do wybawienia braci. Sześć śnieżnopiórych łabędzi ukazało się w powietrzu, każdy z nich schwycił jedną gwiazdzistą koszulkę i zarzuciwszy ją na siebie, stanął na ziemi w postaci człowieka. Jeden tylko brat najmłodszy zamiast lewego ramienia miał skrzydło łabędzie, gdyż nieszczęśliwa siostra nie zdążyła ukończyć swej trudnej roboty.

Stanąwszy na ziemi, bracia w mgnieniu oka stos ugasili i siostrę z niego zdrową sprowadzili. Błada i smutna, z rozpuszczonym włosem stanęła przed obliczem króla, który wybiegł z zamku na wieść o dziwnych wypadkach. Teraz już mówić mogła i zawołała głośno:

— Mężu mój, jam niewinna!

W tejże chwili bracia przynieśli z lasu niewinne dzieciątka, któremi się opiekowali, a

król uszczęśliwiony z odzyskania żony i dzieci, z surową twarzą zwrócił się do ciotki.

Zła kobieta upadła przed nim na kolana, wzywając miłosierdzia; tak był jednak rozgniewany, iż byłby ją kazał spalić na tym samym stosie, na którym zginąć miała niewinna królowa, gdyby się ona właśnie za nią nie wstawiła. Król jednak nie chciał więcej widzieć ciotki, nie wierzył jej obietnicom i przysięgom. więc wysłano ją z królestwa na daleką wyspę, gdzie sama jedna odtąd żyć musiała i raz tylko na rok okręt przywoził jej żywność, dopóki nie umarła.

A król i królowa z dziećmi żyli szczęśliwie w zgodzie i miłości, a z sześciu braci mieli sześciu sławnych rycerzy, którzy zasłynęli wkrótce siłą i owagą.

---

## STARY WOJAK.

Stary żołnierz wysłużył w wojsku długie lata, nie nauczył się nic takiego, czem mógłby na chleb zarabiać, ale powiedział sobie: “Kto się niczego nie boi, ten się o nic nie troszczy”, — i poszedł w świat śmiało, mając parę groszy w kieszeni, stary płaszcz, stary mundur i juchtowe buty, przewieszane na kiju, który niósł na ramieniu.

I szedł tak długo od wioski do wioski, opowiadając ciekawe historye, za co dawano mu chętnie kawałek chleba, sera, kubek mleka lub wiązkę słomy na poślanie.

Ale pewnego razu zamyślił się jakoś i nie zauważył, kiedy wszedł do lasu i w którą stronę się skierował. Gdy mu głód dokuczył, obejrzał się wkoło i nie zobaczył nigdzie chaty ani drogi.

— Ba! mój stary — mruknął sobie — zapomniałeś już, widzę, co to znaczy: baczność! Wstyd, panie żołnierzu, do stu piorunów! Hola! panowie zające może mi który ofiaruje swoją pieczeń na obiad?

Ale zające nie miały widocznie ochoty okazać mu tak gorącej życzliwości, gdyż żaden nie wysunął z krzaków nawet końca uszu. Żołnierz kłął i szedł dalej, aż w końcu zmęczony, postanowił odpocząć.

Wtem na pniu ściętego drzewa ujrzał młodzieńca, w pięknym mundurze myśliwskim, patrzącego nań uważnie. Przyjemna jego twarz podobała się wojakowi, więc usiadł sobie tuż obok na trawie i podał mu życzliwie rękę.

— Hm, hm, paniczek! — mruknął, oglądając sąsiada od stóp do głowy: cienkie sukno, złoto, a buciki jak cacka. Dobrze to dla dziewczyny do tańca na noc jedną, ale jeśli ci się zdaje, że daleko w tem zajdziesz po twarдых-kamieniach, to mylisz się mój zuchu! No no, nie potrzebujesz się obrażać, staremu żołnierzowi wolno mówić prawdę: kto się niczego nie lęka, ten nie troszczy się o nic. Ot, patrz na moje buty: długo mi służyły, a jakie jeszcze grube! Będzie z nich spadkobierca miał pociechę, a jeśli mnie w nich pochowają, święty Piotr w dniu zmartwychwstania jeszcze mi ich powinszuje.

— Zwłaszcza, jeśli tak zawsze będziesz je nosił na ramieniu.

— Buty, nie buty! — rzekł żołnierz, powstając; głodny jestem, mój piękny panie, i

wolałbym kawał chleba, niż wszystkie twoje złocone guziki. Którędy droga do wsi?

— Poszedłbym nią, gdybym wiedział — odparł nieznajomy — lecz sam zbłąkałem się w lesie i nie wiem, gdzie jestem, ani dokąd iść należy.

— Takiś mi, ptaszku! — zaśmiał się udo-bruchany żołnierz — no, to możemy iść razem, bośmy koledzy. Chodźmy szukać drogi.

Roześmiał się myśliwy i uścisnął podaną kę; potem poszli razem.

Chodzili do wieczora, ale nadaremnie — nie znaleźli ani drogi, ani wioski: las zdawał się nieskończonym, drzewa szumiały w górze, jakby opowiadały sobie co widziały, a noc coraz czerniejsza zapadała zwolna.

Wtem między drzewami błysnęło światło.

— Wiwat! — zawołał żołnierz — nie pomrzemy z głodu, nie napiją się wilki naszej krwi gorącej. Marsz do szturm, mój chłopcze, zaraz się pokrzepisz, bo wyglądasz nie lepiej od swoich woskowanych bucików. Z jednej skóry was robiono!

Stanęli przed starym, dużym, posępny domem z ogromnych kamieni, z drewnianym dachem i wązkiemi oknami. Żołnierz zapukał śmiało; otworzyła stara kobieta.

— Zabłąkani podróżni proszą o nocleg. A przygotujcie nam, matko, co pocziwego na



wieczere, bo żołądek mam pusty, jak stary tornister. Ten oto złożony panicz ma, jak widzicie. dość złota, to i zapłacić może.

— Idźcież sobie do licha — mruknęła stara — jeśli wam życie miłe! To jest dom rozbójników którzy powrócą zaraz, i jeśli was zastaną, zginęliście baz ratunku.

— No, moja dobra matko, tak źle może nie będzie: żołnierz się nie lęka niczego i o nic się nie troszczy, a że od rana nic nie jadłem, noc ciemna, las czarny, to wolę spróbować szczęścia, niż dostać się wilkom na zęby. Śmierć sądzona, nie mnie, więc puśćcie nas do stu dyabłów!

— Zostańmy lepiej w lesie — szepnął myśliwy z wahaniem.

Eh, eh to tak? Nie bój się, bratku, tak odrazu przecież głowy nam nie zdejmą; poprobujemy się jeszcze. We dwóch, braciszku, widzisz, i w piekle niestraszno. Co ma wisieć, nie utonie.

I wszedł, śmiejąc się głośno. Myśliwy wszedł także; nie było śladu trwogi na jego młodej twarzy, ale nie spuszczał oczu ze starego żołnierza, jakby podziwiał jego humor i odwagę. Stara kobieta, ujrawszy młodzieńca, popatrzała nań z litością; w końcu, mruknąwszy coś cicho, umieściła gości za piecem i przyrzekła nawet, skoro zbójcy się pośpią,

przynieść im co do jedzenia.

Nie było zresztą czasu na dłuższe rozprawy, gdyż w tejże chwili zastukano do drzwi, stara pospieszyła otworzyć, i dwunastu mężów olbrzymiego wzrostu, zarosłych jak niedźwiedzie i z dzikim wejrzeniem weszło do sali i zasiadło wkoło stołu, wołając o wieczerzę.

Staruszka uwijała się, jak mogła. Stół był nakryty, wszystko przygotowane, więc wybiegła i po chwili wróciła, niosąc na półmisku pieczeń, z której rozkoszny zapach rozszedł się po całej izbie.

— Nie wytrzymam! — mruknął żołnierz do ucha towarzyszowi. — Nie, nie, nie dosiedzę tutaj!

— Życie narażasz — odparł tamten równie cicho, przytrzymując za rękaw starego wojaka.

— Co mi po życiu, kiedy jestem głodny. Pfe. do pioruna! jak żyję, nie chowałem się przed nikim, nie lękałem się nikogo, a dzisiaj...

Kichnął tak głośno, że zbójcy zerwali się od stołu, sądząc w pierwszej chwili, że to wystrzał.

Żołnierz kichnął po raz drugi i wysunął głowę.

Rozbójnicy odetchnęli, lecz porzuciwszy jedzenie, otoczyli piec i odkryli gości.

— A tuście, ptaszki! — zawołał herszt, mierząc ich wzrokiem. — Ciasno wam w tej pułapce? Podziękujcie temu, kto was tu przysłał. Dalej, chłopcy, to szpiegi, na gałąź z nimi! Będzie im tam swobodnie, mogą się uczyć fruwać!

I zaśmiał się grubym głosem, a jeden z podwładnych już podawał postronki.

— Nie tak prędko, panowie! — zawołał żołnierz. — Śmierci się nie lękam, zaglądałem jej w oczy nie jeden raz w życiu, ale nigdy jeszcze nie byłem tak głodny. Dajcie mi się pokrzepić, a potem wola wasza. Szpiegami nie jesteśmy, a umrzeć żołnierz gotów tak czy inaczej. Ach, jak ta pieczeń pachnie!

I kichnął znowu. Zbójcy spojrzeli na siebie! Zabawiła ich mina starego żołnierza i jego nieklamany apetyt; pomyśleli też, że uciec im przecież nie może, a i kot bawi się myszą, nim ją udusi; nakoniec herszt przemówił:

— Zuch jesteś, więc wart pieczeni. Tylko nie myśl sobie, że się wykpisz od śmierci. Skoro jednak pragniesz z pełnym żołądkiem spróbować mocy tego postronka, niech i tak będzie. Nie powiesz przynajmniej, że nie znamy litości.

Wskazali mu miejsce sami zajęli swoje.

— No, a ty, braciszku — rzekł stary żołnierz z zadowoleniem, ocierając usta i brodę. to morzyć się głodem w ostatniej godzinie.

Lecz młodzieniec jeść nie chciał i usiadł na boku, poważnie myśląc nad czemś i nie spuszczać oczu ze starego żołnierza. Jadł on z takim apetytem, jak gdyby się chciał przygotować na całoroczny post na tamtym świecie: pełne talerze znikały w ustach jego jak pianka. co chwila sięgał znowu do półmiska, a śmiał się przytem i żartował, jak gdyby nie śmierć okrutna, lecz największa radość czekała go po uczcie.

Zbójcy podziwiali go pomimowolnie i żartowali z nim razem, radzi z wesołego towarzysza, który może był szpiegiem i zginąć musi w ciągu godzin kilku, lecz jest dowcipnym i odważnym chłopcem, a to cenić umieją nawet rozbójnicy.

— No, dosyć mam nakoniec — rzekł żołnierz, zwracając się do myśliwego — nie war — Kuchnię macie wyborną, łaskawi panowie, ale czy u was taki głupi zwyczaj, że po dobrem jedzeniu nie podawają wina? Warto być zbójcem, żeby nie mieć nawet czem ust przepłókać po wieczerzy!

Herszt klasnął w ręce.

— Masz słuszność. sąsiedzie — odezwał się do żołnierza. — Hej, stara, skocz-no pręd-

ko do piwnicy i przynieś nam butelkę, tę z samego kąta, wiesz przecie.

Stara wkrótce przyniosła szklanki i butelkę; stary wojak sięgnął po nią nieproszony.

— Teraz wam pokażę sztukę — zawołał, spoglądając na nich pokolei — a ty braciszku, w woskowych bucikach, przypatrz się także. Bacznosc! Piję wasze zdrowie. Nos i ręka do góry!

Sam pochylił głowę, podniósł butelkę i połowę prawie wlał od razu do gardła.

— Patrzcie teraz, braciszku!

Te ostatnie wyrazy zwrócił do myśliwego, który oczom nie wierzył, patrząc, co się dzieje. Gdy żołnierz skomenderował, zbójcy przychyliłi głowy, pootwierali usta i podnieśli ręce, chociaż nic w nich nie mieli; a teraz on śmiał się, a oni stali ciągle w tej samej postawie, jak gdyby skamienieli, jakby czarodziejskiem słowem pozamieniał ich w posągi bez życia.

— Widzę! — rzekł zapytany. — Umiesz sztuki nielada, kochany generale, lecz korzystajmy z chwili i opuśćmy ten dom przeklęty.

— Mleko masz, zamiast wąsów, pod nosem, mój drogi; któryż wódz ucieka z placu, pokonawszy wroga? Chodź-no, posil się trochę, bo to z pustego żołądka pochodzą takie myśli. Twoje zdrowie, synu!

Pili i jedli, a młodzieniec, widząc, że zbójcy nie poruszają się z miejsca, z coraz większym podziwem patrzył na żołnierza. Nakoniec zaczęło świtać.

— Teraz musi nas stara najkrótszą drogą zaprowadzić do miasta — przemówił żołnierz. — Ci pozostaną tutaj; możemy być spokojni: do mojego powrotu żaden z nich palcem nie kiwnie.

Poszli natychmiast i w parę godzin ujrzeli mury stolicy. Żołnierz pokręcał węża, gwizdał, śpiewał i udał się prosto do swoich starych kamratów.

— Hej, słyszycie! — zawołał, — znalazłem tam w lesie całe gniazdo szerszeni, chodźcie na polowanie.

Nie potrzebował dwa razy powtarzać, nie brakło ochotników; kilkunastu żołnierzy z bronią w ręku w jednej chwili oczekiwało na rozkazy.

— Wróć-no się i ty z nami jeszcze, bracie — rzekł wtedy żołnierz do młodzieńca — trzeba, żebyś zobaczył koniec mojej sztuki.

Udali się wszyscy razem do zbójckiego domu i zastali w nim wszystko tak, jak zostawili; twarze zbójców tylko pobladły, a oczy krwią zaszły.

Żołnierz zakomenderował, i towarzysze jego otoczyli stół dokoła, potem wziął flaszkę z winem, podniósł ją znów do góry i zawołał:

— Ręce na dół, dość tej zabawy, panowie!

Wypił łyk z flaszki, resztę rzucił na ziemię, aż szkło rozprysło się w kawałki, i zbójcy nagle odzyskali wolność ruchu, porwali się z miejsc swoich, ale po to tylko, ażeby ich pochwytano i związane w mgnieniu oka.

Gdy leżeli jak worki na ogromnym wozie, żołnierz kazał jechać prosto przed więzienie, sam zaś z myśliwym szedł sobie piechotą, stanowiąc aryergardę. Wóz ruszył już z miejsca, kiedy myśliwy skinął na jednego z żołnierzy i coś mu szepnął do ucha. Ten pospieszył naprzód.

Już południe minęło, gdy zbliżali się do miasta, które wyglądało teraz bardzo uroczyście, przybrane w wieńce i kwiaty, pełne gwaru strojnych tłumów, które spieszyły ku nim z okrzykami radości.

— Cieszą się ludziska, żeśmy ich uwolnili od tych niegodziwców — rzekł żołnierz skromnie, z tryumfem spoglądając na sąsiada.

Ten uśmiechnął się tylko.

Tymczasem dała się słyszeć muzyka, gwardya królewska w paradnych mundurach ukazała się na drodze, za nią dwór cały i kró-



lowa matka, następnie wojsko pod bronią. Huknęły wystrzały.

— Co to wszystko ma znaczyć? — rzekł żołnierz zdziwiony. — Toć nie może być, żeby o tych rozbójników... Nie wiesz ty, bracie?

— Owszem: król powraca z dalekiej podróży, więc dwór, wojsko i naród spieszą go powitać.

— Król! Ale gdzież on?

— Obok ciebie, zuchu: ja jestem królem.

Żołnierz zbladł i zadrzał pierwszy raz w życiu, przypomniawszy sobie, w jaki sposób od wczoraj traktował młodzieńca. Padł na kolana, prosząc o przebaczenie i tłumacząc się nieświadomością.

— Takich mi potrzeba zuchów — rzekł wesoło; — cenię twoją odwagę i przebaczam wszystko. Być może, iż ocaliłeś mi życie. Od-tąd na niczem zbywać ci nie będzie. Weź ten pierścień; gdy czego będziesz potrzebował, on cię do mnie doprowadzi. Pozwalam ci także zaspakajać głód żołnierski z królewskiego stołu, ale zastrzegam sobie, że zdrowia nie wzniesiesz nigdy bez mojego pozwolenia. A teraz bądź zdrów, przyjacielu; widzisz, że czekają wszyscy. Do zobaczenia!

— Do zobaczenia — szepnął osłupiały żołnierz.

---

## SZKLANA GÓRA.

Pewna królowa miała śliczną córeczkę, która nie umiała jeszcze ani mówić, ani chodzić, lecz śmiała się tak wdzięcznie, jakby dzwonił srebrny dzwonek, a na czole miała cudną złotą gwiazdkę, świecąca wśród ciemności księżycowym blaskiem. Matka kochała bardzo to jedyne dziecko, stroiła je w drogie klejnoty, najpiękniejsze sukienki, lecz nie była cierpliwa, gdy maleństwo płakało i zdawało jej się wtedy, że jest najnieszczęśliwszą.

Razu jednego piastunka oddała królowej śliczne, uśmiechnięte dzieciątko, a sama poszła do zamku po jakąś zabawkę. Królowa była w ogrodzie, siedziała na złotej ławce pod zielonym jaworem i pieściła się z córeczką, życząc jej, aby była najszczęśliwszą i najpiękniejszą na świecie.

I nie daremnie królowa wyrażała te życzenia, wiedziała ona, że skoro na wiosnę jawor okryje się liściem zielonym, dopóki słowik nie przestanie śpiewać, cudowne drzewo ma własność ziszczenia wszelkich pragnień i nadziei, wyszeptanych w jego cieniu.

Nie każdy wiedział o tej własności jaworu, lecz król powiedział o niej młodej żonie, która dziś właśnie usiadła pod cieniem drzewa, aby jej życzyć wszystkiego, co szczęście dać może.

Wtem dziecina zaczęła płakać i grymasić; matka uspakajała ją, ale napróżno; w końcu, jak zwykle, straciła cierpliwość, a że nianka nie powracała, chcąc postraszyć maleńką, podniosła ją w górę i zawołała głośno do kruków przelatających:

— Kawki, kruki i wrony, weźcie sobie to niegrzeczne dziecko, nie chcę go widzieć więcej!

Nieszczęśliwa królowa zapomniała, że stoi pod cudownym jaworem. W tej samej chwili kruki, wrony, kawki otoczyły ją w nieprzebranem mnóstwie, porwały śliczną królową i uleciały daleko.

Biedna matka w rozpacz głośnym wybuchnęła płaczem, potem — zapominając o przestroгах męża — chciała skorzystać z własności jaworu i odzyskać dziecinę; lecz za ledwie wyraziła życzenie przeciwne temu, które wypowiedziała przed chwilą — zagrzmiało, piorun błysnął, drzewo stanęło w ogniu, a królowa upadła na ziemię zemdlona.

Teraz przez jedną lekkomyślność nieszczęśliwa kobieta straciła dziecko i cudowne

drzewo, naraziła się na gniew męża i w smutku i żalu pędziła odtąd życie.

Kruki tymczasem uniosły prześliczną królowną do ciemnego lasu, zamieniły w kruka z białą gwiazdką na głowie i puściły na wolność, żeby sam, pod opieką starej czarownicy, szukał sobie żywności. żył na drzewach, jak ptak i nigdy nie odzyskał już ludzkiej postaci.

Wiele lat upłynęło od tej smutnej chwili; królowna dnia każdego na jedną godzinę zrzucała ptasie pióra, lecz zła czarownica czuwała nad nią, aby w ciągu tego czasu nie znalazła sobie wybawcy.

Pewien ubogi rycerz przejeżdżał raz przez bór ciemny; szukając służby u jakiego króla, gdzieby mógł swoją odwagę okazać i zdobyć sławę i mienie. Wtem na gałęzi dębu usłyszał głos kruka, wzywającego go po imieniu.

Zatrzymał się zdziwiony i zbliżył do drzewa.

— Dzielny młodzieńcze — przemówił ptak smutnie — znam twoje myśli i wiem, czego szukasz na świecie, lecz ulituj się nade mną i uwolnij mię od zaklęcia, gdyż jestem najnieszczęśliwszą księżniczką.

— Cóż mam czynić? — spytał rycerz. — Z całego serca pragnę dopomóc ci, księżniczko.

— Wszystko zależy od ciebie. Idź śmiało w głąb tego lasu, a trafisz na chatkę czarownicy, która czuwa, by mnie nikt wybawić nie mógł. Zrób wszystko, co ci każe i pozostań tam przez trzy dni. ale nie przyjmuj od niej żadnego pokarmu ani napoju, bo uśniesz twardo i zbudzić cię w czas nie zdołam. Każdego dnia w południe przyjadę do chaty i będę cię szukała w ogrodzie pod dębem. Czy mi przyrzekasz nie przyjąć nic od czarownicy, choćbyś umierał z głodu?

—Przyrzekam ci, księżniczko, nie lękaj się o mnie, wyzwolę cię z pod opieki niegodzivej jędzy, choćbym miał umrzeć z głodu.

— Dziękuję ci, mój rycerzu — przemówiła królowna — ale chociaż ci wierzę, obawiam się bardzo, że przebiegła wiedźma namówi cię do skosztowania jadła albo napoju.

— Bądź spokojną księżniczko, nie godzien byłbym dłużej być rycerzem, gdybym nie dotrzymał słowa i nie wykonał twej woli. Przyśięgam ci, że nie spocznę aż do chwili, w której odzyskasz swe prawa.

Ucieszyła się biedna zaklęta królowna, a rycerz pospieszył naprzód. Szedł długo, bardzo długo, do późnego wieczoru, nim odnalazł w lesie starą chatkę. Czarownica oczekiwała go na progu, a widząc, że jest znużony i głodny, wyniosła mu kubek wina i kawałek chleba.

— Posił się, piękny rycerzu — przemówiła z dobrocią — język ci usechł z pragnienia i oczy wpadły z głodu; mam litościwe serce i patrzeć nie mogę na cierpiącego człowieka.

Przemawiała tak słodko, iż trudno było uwierzyć, że coś złego ma na myśli, rycerz jednak, pamiętny na swą obietnicę, nie przyjąć nie chciał. Staruszka dziwiła się bardzo, sama posłała mu łóżko, nakarmiła konika. umieściła go w sieni i znowu powróciła do rycerza, zachęcając, by się choć napił, nim uda się na spoczynek.

Rycerz pamiętał, co przyrzekł księżniczce, ale był tak spragnionym, że język jak kawał kości sterczał mu w ustach sztywny i suchy; mówić prawie nie mógł; zdawało mu się, że zbawienie wieczne oddałby za szklankę wody; więc gdy stara podała mu pachnące wino, nie miał siły oprzeć się strasznej pokusie i umaczał w niem usta.

Rozkoszne uczucie ogarnęło go natychmiast: nie czuł pragnienia i głodu, kropla wina nasyciła go i napoiła, a prócz tego pogrążyła w śnie tak słodkim i błogim, jakiego nie kosztował jeszcze nigdy w życiu. Sen ten był jednakże zarazem tak twardy i tak głęboki iż żadna moc ludzka spłoszyć go nie była w stanie.

W południowej godzinie zatętniało w lesie, zajechała karetą w cztery białe konie, wysiadła z niej królowna ciemnowłosa, ze złotą gwiazdą na czole, z perłowymi zębami i smutnymi oczyma. Wysiadła i pobiegła prosto do ogrodu; ale pod dębem nikogo nie było, więc zapłakała łzami, a gdzie łezka padła, rozwijał się kwiat biały, podobny do dzwonka, z kroplą rosy w kielichu, a tak cudnie pachnący, że cały las napełnił się tą śliczną wonią, piękniejszą niż zapach róży i fijołka.

Nic to jednak nie pomogło. nie obudził się rycerz, więc królowna zbliżyła się do czarownicy i zapytała ze smutnym wyrzutem:

— Gdzie mój wybawca?

— Zobacz, jak smacznie zasypia! Do roboty go nawet obudzić nie mogę.

Weszła do izby królowna, popatrzała na rycerza, potrząsnęła go za rękę, wołała po imieniu, wszystko nic nie pomogło: leżał bezwładny jak kamień.

Uderzyła godzina, zarżały konie przed chatą, z płaczem wybiegła królowna, wsiadła do karety i zniknęła w ciemnym boru.

Teraz i rycerz obudził się nagle, zerwał się przestraszony, spojrzął, że słońce zaszło już z południa. ze wstydem i rozpaczą wybiegł do ogrodu, ale pod starym dębem ujrzał tylko cudne białe dzwoneczki, z kroplą rosy w kieli-



chu, pachnące piękniej niż fijołki i róże.

— Cóż uczyniłem? — szepnął nieszczęśliwy młodzieniec: — nie godzien jestem imienia rycerza!

A w tem kropelki rosy upadły na ziemię, a kwiaty zamieniły się w białe motylki ze złotymi gwiazdkami na skrzydełkach i otoczyły rojem smutnego rycerza.

— Przysięga! przysięga! przysięga! — szemrały jedne cichutko. — Biedna zaklęta królewna! — skarżyły się drugie. — Tak daleko do Szklanej góry, daleko do Szklanej góry! — zawołały wszystkie razem, i uleciały w górę, i zniknęły między drzewami.

A rycerz usiadł pod dębem i rozmyślał z goryczą o swej słabości i biednej księżniczce. Postanowił nie ruszyć się już z tego miejsca do drugiego południa i błąd popełniony naprawić.

Tymczasem nadeszła stara i spojrzawszy na niego, rzekła łagodnym głosem:

— Proszę cię, mój synu, narąb mi trochę drzewa, bo sama sił nie mam. a chciałabym ogień rozpalić i zgotować sobie posiłek. Wiem, żeś dobry i nie zechcesz odmówić mi tej przysługi za okazaną gościnność. Jeśli jesteś głodny, może zjesz kawałek chleba i popijesz winem.

Rycerz za wszystko grzecznie podziękował, lecz uczuł, że za gościnność winien odsłużyć starej, więc poszedł na podwórze i tępą siekierą zaczął rąbać kłodę drzewa, twardą jak żelazo.

Rąbie godzinę, drugą, pot spływa mu z czoła, język w ustach kołkiem stanął, a zaledwie kilka szczepków odłupać zdołał. Zmęczył się tak strasznie, że padł wreszcie na ziemię bezsilny i wyczerpany, a gdy litościwa babula podała mu wino, gdy wspomniał rozkosz, jakiej doznał wczoraj umoczywszy usta w tym dziwnym napoju, nie miał siły oprzeć się słodkiej pokusie i wypił łyk jeden.

Natychmiast ogarnęło go głębokie uczucie, miłe, rozkoszne ciepło przeniknęło członki, w uszach zabrzmiała cudowna muzyka, przed oczyma zajaśniały tęczowe blaski i gwiazdy, i zapadł w sen głęboki, pełen najslodszych marzeń, ale twardy, jak sen-śmierci.

Nazajutrz o południu zatętniało w lesie, przed chatę czarownicy prześliczną karetą, we cztery siwe konie zaprzęzoną, zajechała królewna z jasną gwiazdą na czole, z perłowymi ząbkami i smutnemi oczyma. Wysiadła i pobiegła prosto do ogrodu, ale pod dębem nikogo nie było, więc zapłakała łzami, a gdzie łezka padła, rozwijał się prześliczny dzwonek purpurowy z kroplą rosy w kielichu, pełen cudnej

woni. piękniejszy od zapachu róży i konwalii.

Potem poszła przed chatę i zapytała starej:

— Gdzie mój wybawca?

— Śpi na podwórzu, podźwigał się wczoraj siekierą.

Zbliżyła się królowna, potrząsnęła młodzieńca, zawołała go po imieniu, ale nie pomogło: nie zbudził się ze snu twardego.

A w tem uderzyła godzina, zarżały koniki, biedna królowna wsiadła do karety, i poniosły ją siwki w głąb czarnego boru.

A rycerz w tejsze chwili obudził się także, spojrzął na słońce i jęknął z rozpaczą i wstydu. Zerwał się na równe nogi i wybiegł do ogrodu, ale pod dębem nie było nikogo; spoglądały nań tylko purpurowe dzwonki z perłami rosy w swych wonnych kielichach.

— Jakże nikczemny jestem! — szeptał zrozpaczony młodzieniec — czemuż mnie święta ziemia nie pochłonie! Wolałbym zginąć niż przeżyć wstyd taki!

Wtem zadrżały leciuchno dzwonki purpurowe, spadły wonne krople rosy na ziemię, a kwiaty zamieniły się w rój złotych motyli z purpurowemi gwiazdkami na pływających skrzydełkach i otoczyły rycerza.

— Przysięga! przysięga! przysięga! — szumiały, — Biedna królowna! Jeszcze jedna

dość! Ostatnia doba! Do Szklanej góry daleko, daleko!

Uniosły się wysoko i zniknęły między drzewami.

A młodzieniec stał długo na tem samym miejscu, rozmyślał gorzko o swej ciężkiej winie i postanowił nie ruszyć się stąd i nie tknąć więcej żadnego napoju.

Lecz na samo wspomnienie cudownego wina, ogarniał go taki smutek i tęsknota, iż czuł, że gotów oddać życie i sławę za czarodziejski napój i rozkosze snu kamiennego.

Wtedy zrozpaczony przypomniał sobie świętą przysięgę, rycerskie swe słowo, los niešťczęśliwej księżniczki, jej wdzięczność, własną sławę... Ach, gdybym mógł stąd uciec! nie zobaczyć więcej niegodziwej kusicielki i jej zatrutego wina, którego zapach osłabiał w nim wolę i zacierał wszystkie wspomnienia.

Zbliżyła się do niego staruszka łagodna jak zawsze.

—Piękny rycerzu — rzekła — oddaj mi przysługę za gościnność, której udzielam ci chętnie. Oto złote żołędzie dojrzały na dębie. zbierz je do twego worka, nim słońce zajdzie.

Ucieszył się bardzo rycerz, bo mógł oddać starej żadaną przysługę i nie opuszczać miejsca, gdzie postanowił wytrwać do jutrzejszego

południa. Robota przytem łatwa i przyjemna skracała mu godziny żalu i oczekiwania, więc zabrał się do niej chętnie; wdrapał się na drzewo, wstrząsał gałązki, a które żołądźcie spadać nie chciały, zrywał je z osobna.

Dąb był olbrzymi, stary, gałęzi moc wielka, więc ta robota dosyć czasu mu zajęła, przytem siedząc na drzewie. narażony był więcej na palące promienie złocestego słońca; to też zmęczył się bardzo, i kiedy strudzony, aby dokończyć pracy, wspiał się aż do szczytu drzewa, złamała się pod nim zbyt cienka gałązka i spadł na ziemię na twarde gałęzie.

Wielkiej szkody nie poniósł w tym nagłym wypadku, gdyż nie połamał kości lecz podrapał się mocno, potłukł i pokaleczył. Teraz uczuł dopiero, jak niezmiernie jest zmęczony, jak go dręczy pragnienie... Och, wino, czarodziejskie wino.

Starał się nie myśleć o niczem, pamiętać o swej przysiędze. o nieszczęśliwej królownie, lecz stara już spieszyła z kubkiem pełnym i słodkimi wyrazy.

— Napij się, piękny rycerzu — mówiła — raz wychył do dna ten puhar rozkoszy, a wtedy poznasz dopiero całą jego potęgę. Pij! więcej w życiu nie skosztujesz tego nektaru.

Rycerz jak oszalały sięgnął po kubek, pełen aż po brzegi, i wychylił go do dna. Ale w

teżże chwili gorycz okropna napęłniła mu usta, członki zesztyniały, tchu zabrakło w piersi, straszny śmiech starej zabrzmiał mu w uszach, i stracił zupełnie przytomność.

W południowej godzinie zatętniało w lesie, zajechała kareta w kare konie zaprzężona, wysiadła z niej królowna ze smutnymi oczyma, w czarnej żałobnej szacie, ze złotą gwiazdką na czole, wysiadła i pobiegła prosto do ogrodu, pod stary dąb stuletni. Pod dębem na ziemi leżał uśpiony rycerz, nieruchomy jak posąg, jak marmur biały, z wyrazem bólu na twarzy i śladem krwi na czole.

Zapłakała królowna, ale nadaremnie wzywała go po imieniu, oblewała łzami, ze snu twardego zbudzić go nie mogła, i tylko z łez jej, które padały na ziemię, wyrastały czarne dzwonki cudnego zapachu z perłami rosy w kielichu.

Uderzyła godzina, zarżały koniki, królowna wstała zwolna, wzięła trzy żołędzie i wetknęła je w ziemię, potem załamała rączki, podniosła je do góry i zawołała głośno:

— O gwiazdko moja, ty użyż mu siły!

Wsiadła do karety i odjechała pospiesznie.

Rycerz spał długo jeszcze; kiedy się obudził, czuł znużenie i wstyd wielki. Nie rozpaczal głośno, lecz serce jego pełne było żalu.

Wstał, złamał miecz swój, zbroję odrzucił daleko i rzekł:

— Rycerzem zwać mi się nie godzi; jak żebrak pójdę dalej i będę się starał krwawą zasługą zdobyć na nowo to wszystko, co utraciłem przez nikczemną słabość. A ty, księżniczko, jeśli mogę jeszcze co uczynić dla ciebie, błagam, wskaż mi drogę i pozwól życie poświęcić za ocalenie.

Zadrżały czarne dzwonki, spadły rosy kropelki, a kwiaty się zmieniły w rój czarnych motyli, i jeden brzęknął cicho:

— Królowa z gwiazdką na czole mieszka na Szklanej górze.

— Zostawiła ci dary — dodał drugi.

— Bułeczkę niedojadkę.

— Butelkę niedopijkę.

— Pieczeń niedogryzka.

— I pierścień z jej imieniem.

W tej chwili jeden z motylków usiadł na palcu rycerza i zamienił się w pierścień złoty z czarnym kamieniem, na którym wyryte było imię zaklętej królowny; a na miejscu zasadzonych przez nią trzech żółdzi, leżała bułeczka niedojadka, której nie zabrakło nigdy, choćby kto karmił całe rzesze ludu, butelka niedopijka, zawsze pełna wina, i pieczeń niedogryzka, która również odrastała po każdym użyciu.



Rycerz ułamał sobie gałąź z dębu, wziął dary, pozostawione przez królową, i udał się niezwłocznie w drogę. Szedł długo ciemnym lasem, potem przez łąki, pola, góry i rzeki, lecz nie wiedział wcale czy zbliża się do Szklanej góry czy od niej oddala, bo nikt mu powiedzieć nie mógł, w której stronie się znajduje.

Nakoniec dnia pewnego po długiej wędrówce usłyszał w wielkim lesie dziwne, straszne wycie, lecz nie mógł dojść skąd pochodzi. Szedł, jak mu się zdawało, w kierunku tego głosu, ale i wieczór zapadł, a on nie natrafił na ślad żadnego dzikiego zwierzęcia. Dopiero kiedy zupełnie ściemniało, dostrzegł w dali światło. Pospieszył w tę stronę i ujrzał stojącego przed domem olbrzyma, który okropnym wyciem napełniał las cały.

Rycerzowi przyszło na myśl, że zły potwór może pozbawić go życia, ale rozważywszy, że olbrzymy przebiegają świat cały w różnych kierunkach i mogą mu dać wskazówki co do Szklanej góry, powiedział sobie, że dość już narobił, nie powinien tchórzostwem powiększać swej winy, śmiało więc postąpił naprzód.

Olbrzym ujrzał go wreszcie i wyć przestał, ale na pozdrowienie odpowiedział tylko wzgardliwym ruszeniem ramion.

— Dobrze, żeś mi się trafił — odparł szyderczo, — wytępiłiśmy zwierzynę w tym lesie i jeść co nie ma; marny z ciebie wprawdzie kasek, ale cóż robić?

— Jeśli ci o to chodzi — odparł rycerz — nakarmię cię wnet do sytości. Chodźmy do chaty.

I weszli obadwaj, a gdy olbrzym głód zaspokoił za pomocą pieczeni niedogryzki, bułki niedojadki i butelki niedopijki, zaczął z gościem rozmawiać na pozór łaskawie, rozmyślając, jakby mu odebrać te skarby.

Rycerz zapytał go o Szklaną górę.

Zaśmiał się olbrzym.

— Sami się tam wybieramy z bratem — rzekł wreszcie — by zabrać księżniczkę i jej nieprzebrane skarby.

Przestraszył się młodzieniec, słyszawszy, że takie niebezpieczeństwo grozi zaklętej królownie, lecz nie okazał tego i rzekł bardzo uprzejmie:

— Jeżeli się zgodzicie, poszedłbym tam z wami. Całą drogę będę was karmił, a za to dacie mi część skarbów.

— Mnie się to podoba, ale za brata nie ręczę. Zatrzymaj się do jutra, a tymczasem on powróci i zobaczymy, co powie.

Rycerz udał się wcześniej na spoczynek, gdyż był zmęczony drogą, lecz około północy, gdy wrócił drugi olbrzym, obudził go hałas, i udawał tylko śpiącego, by poznać zamiary braci.

Młodszy potwór opowiedział wszystko, co się stało i dodał, iż chciał zabić gościa, aby mu zabrać jego skarby, lecz zdecydował się czekać na powrót starszego brata i zasięgnąć jego rady.

— Dajmy mu pokój teraz — odparł drugi — ludzie to małe i nędzne stworzenia, lecz mają czasem wielki rozum, więc i ten może się nam przyda w tej wyprawie, a gdy zdobędziemy księżniczkę, nie trudno nam będzie pozbyć się takiego robaka.

Tak uradzili i nazajutrz w zgodzie wszyscy udali się ku Szklanej górze. Rycerz karmił olbrzymów, a oni go nieśli, gdyż inaczej nie mógłby nadążyć im w biegu. Przebywszy tym sposobem ogromne przepaście, dnia dziewiątego stanęli наконец u stóp olbrzymiej Szklanej góry.

Na szkło przynieśli młoty, które je skruszyć miały, lecz nieprzewidzieli tego, że góra dookoła była obrosła nieprzebytym, niezmierniej wysokości płotem cierniowym. Olbrzymy kaleczyli ręce i twarze, a zbliżyć się nie umieli do tej niebezpiecznej zapory.

Nakoniec przyszło im na myśl podpalić żywopłot.

— Zaczekajcie — rzekł rycerz — z ogniem nie można żartować, kto wie, czy nie spłonęłaby cała Szklana góra z królewną i skarbami, a wtedy wszystko stracone.

— Więc cóż mamy robić? — pytali.

— Posłuchajcie mej rady: ja się przemknę od spodu pod cierniowym płotem, zobaczę z tamtej strony, czy niema ukrytego przejścia. i jeżeli je znajdę, wskażę wam natychmiast.

Podobało się to olbrzymom, pomogli rycerzowi przesunąć się pod płotem, a kiedy dostał się wewnątrz, powiękrzył znacznie otwór, nie zważając na ostre kolce, które raniły mu ciało, i powiedział towarzyszom, iż za jego przykładem tedy przesunąć się mogą ostrożnie.

Aby im pomódz, zrobił pętlicę ze sznura; jeden olbrzym wsunął w nią głowę i zaczął pełzać, pociągany przez rycerza. Gdy uwiązał dosyć mocno, młodzieniec odciął mu głowę i przerzucił pętlicę drugiemu, utrzymując, że razem łatwiej przebędą te kolące wrota. Drugi olbrzym uwierzył i zgiął, jak brat starszy, z ręki odważnego przeciwnika.

Ocaliwszy tym sposobem królewnę od zguby, rycerz czuł, że choć w części naprawi swą winę, i pilno mu było teraz dostać się na

Szklaną górę. Lecz trudności wzrastały przed nim niewyciężone.

A naprzód: płot cierniowy. Gdyby nań spadł ze ślizkiej góry, zabiłby się na miejscu: trzeba się go było pozbyć. Więc ciężką pracą, siekierą i nożem podrzynał ostre krzaki, krwią zlewając ziemię, aż po kilku miesiącach jedna strona góry wolną była zupełnie od tej strasznej zagrody.

Przez ten czas widział codzien zaklętą księżniczkę, przejeżdżającą się w złotej karecie dokoła zamku, — lecz jakże daleko była od niego!

Próbował wdrapać się na Szklaną górę konno i pieszo, ale nadaremnie: zsuwał się z niej zawsze, i zrozumiał nakoniec, że musi innego szukać sposobu przebycia tej drogi.

Rok cały przebył już pod Szklaną górą, żywiąc się wyłącznie darami, pozostawionemi mu pod dębem, lecz postanowił sobie, że choćby miał umrzeć nie ruszy się z tego miejsca niktogo innego na górę nie dopuści, a sam albo zginie, albo zaklętą królownę ocali.

Gdy raz tak rozmyślał smutnie, ujrzał pięknego konia, którego aż dwóch ludzi prowadziło za cugle, a każdy trzymał mocno i nie spuszczał z niego oczu. Gdy się zbliżyli do góry, każdy chciał wsiąść na rumaka, a drugi go nie dopuszczał. Wkońcu zaczęli się kłócić, ko-

nia przywiązali do drzewa, a sami uderzyli na siebie z dziką zawziętością.

Nasz rycerz patrzył na to, a podszedłszy ku nim, zapytał, o co im chodzi.

— Jesteśmy złodziejami — odparli mu szczerze — ukradliśmy konia, który ma ostre kopyta i podobno może się wedrzeć nawet na Szklaną górę. Otóż chcemy go spróbować, lecz nie dowierzamy sobie, i stąd walka.

— Ja was pogodzę — rzekł rycerz. — Wsiądę na waszego konia i w waszych oczach spróbuję, co on potrafi; ażebyście jednak nie myśleli, że was chcę skrzywdzić, powierzę wam tymczasem rzeczy sto razy więcej warte od tego rumaka.

I pokazał im dary królowny.

Złodziejom podobały się te rzeczy i przystali na układ, ale ponieważ dawał im do ręki tylko bułeczkę i pieczeń, chcąc go uspokoić i skłonić do zostawienia im także butelki, ofiarowali mu wzamian jeszcze płaszcz niewidkę. Potem, zasiadłszy pod drzewem, niezwłocznie zabrali się do posiłku, gdyż głodni byli bardzo, a myśleli sobie, iż skorzystają, zostawiając konia i płaszcz nieznajomemu, a zabierając w zamian jego skarby.

Rycerz dosiadł rumaka, płaszcz zarzucił na ramiona i tak rozpędził się na Szklaną górę, że w mgnieniu oka stanął na jej szczycie.

Serce mu biło mocno, kiedy zbliżył się do zamku i zapukał do złotej bramy. Lecz ta otworzyła się natychmiast, gdyż dotknął jej pierścieniem, otrzymanym od królowny. Teraz szedł naprzód śmiało. Zamek zdawał się pustym, lecz wspaniałe komnaty pełne były skarbów i klejnotów wielkiej wartości. Minawszy salę srebrną, złotą, kryształową, wszedł do olbrzymiej zielonej altany. Na środku stał jawor stary, okryty świeżymi, zielonymi listeczkami, obok biała fontanna i perłowe krople czystej jak kryształ wody bezustannie skrapiały drzewo, wkoło pięły się rośliny i tysiące kwiatów okrywały plecione, przezroczyste ściany tego ukrytego ogrodu. Na gałęzi jaworu siedział kruk czarny z białą gwiazdką na głowie i niespokojnie patrzył na drzwi sali, któremi wszedł rycerz w swym płaszczu niewidec.

Rycerz spojrział na kruka, potem zdjął pierścień z palca i rzucił go do fontanny, a w tej samej chwili spadły złote kajdanki z nóg ptaka, rozsypały się wkoło czarne piórka, i pod starym jaworem stanęła dziewczica z gwiazdką złotą na czole, z perłowymi ząbkami i dyamentową koroną na kruczych warkoczach.

— Gdzież jesteś, mój wybawco? — zawołała głosem, który brzmiał jak srebrny dzwonek.



Lecz rycerz zachwycony nie śmiał odrzucić płaszcza, teraz dopiero przypomniawszy sobie, że zamiast zbroi ma szaty żebracze.

— Cudna królewno — przemówił nareszcie — wybacz, że nie śmiem stanąć przed twojem obliczem w sukniach nędzarza, które nosiłem od chwili, gdy stałem się niegodny rycerskiego imienia.

— Wiem wszystko — rzekła królowna — wiem, coś uczynił dla mnie, widziałam walkę twoją z olbrzymami i pokutę za słabość, wszystko już minęło. Teraz mocą tego cudownego jaworu chcę, abyś stanął przy mnie w srebrnej, kutej zbroi, gdyż pilno mi powrócić do zamku rodziców, którzy dotąd opłakują swe stracone dziecię.

Jeszcze nie domówiła tych słów piękna królowna, gdy rycerz w srebrnej zbroi stał obok niej pod jaworem. Milezał i z wdzięcznością tylko patrzył na nią, a królowna rzekła znowu:

— Przez moc tego jaworu chcę być u ojca, matki, w naszym starym zamku.

Zadrżała ziemia, podniósł się wiatr tak gwałtowny, iż komnata przez chwilę kołysała się jak na morzu, a gdy rycerz i królowna otworzyli olśnione oczy, znaleźli się przed starym zamkiem, w pięknym, obszernym ogrodzie. Z bram zamku król wyjeżdżał na czele

orszaku, złożonego z dworzan i rycerzy; w otwartem oknie siedziała królowa, otoczona damami dworu.

Nagle królowa krzyknęła radośnie: ujrzała stary jawor na swem dawnem miejscu, a pod niem cudną dziewicę ze złotą gwiazdą na czole i rycerza w srebrnej zbroi.

Król spostrzegł także gości i zsiadł z konia natychmiast; królowa rzuciła się do nóg drogim rodzicom, a potem rzekła:

— Oto jest szlachetny zbawca, któremu zawdzięczam wolność. Jeśli pozwolicie, chciałabym zostać jego żoną, gdyż inaczej nie mogę odwdzięczyć się za to, co uczynił dla mnie.

Rodzice uszczęśliwieni uściskali córkę i zięcia; tegoż jeszcze wieczoru odbyło się wesele, które przez trzy dni trwało, a zaproszeni goście bawili się tak wesoło, iż wyjeżdżać nie chcieli. Więc młody król z piękną żoną udał się do zamku swego na Szklanej górze, obiecując za powrotem nową wydać ucztę i zaprosić wszystkich życzliwych.



## SPIS RZECZY.

---

---

	Strona.
Pod starą wierzbą - - - - -	3
Śpiewak z pod strzechy. - - - - -	26
Towarzysz Podróży. - - - - -	31
Królowa Śniegu. - - - - -	64
O Janku i Marysi. - - - - -	66
O ogródku u starej kobiety. - - - - -	76
O księżniczce i jej mężu. - - - - -	84
O małej rozbójniczce. - - - - -	90
O staruszce i jej kumie. - - - - -	95
O pałacu Królowej Śniegu, oraz o wszystkim, co się tam później wydarzyło. - - - - -	101
Dary Karzełków. - - - - -	108
Janek Wyrwidąb. - - - - -	125
Lew, królewicz i jego żona. - - - - -	141
Wróżka Skoronóżka. - - - - -	160
Żołnierz i dyabeł. - - - - -	181
Królewicz Orlik nieustraszony. - - - - -	195
Siostra Łabędzi. - - - - -	215
Stary wojak - - - - -	232
Szklana góra. - - - - -	243

---

---











WOLUMIN PO  
DEZYNFEKCJI